- **Klęczę tylko na scenie... — wywiad z Urszulą Koszut**
- **Jak się wybiera najpiękniejszą?**
- **Uzdrowienie i upadłość przedsiębiorstwa**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 25 (1316) ROK XXVI 18 CZERWCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

VII Łódzkie Spotkania Baletowe str. 7

Foto: Mirosław Zajdler

Korespondencja własna z Krakowskiego Festiwalu Filmów Krótkich

Nagrody i codzienność

GRZEGORZ GAZDA

Już od paru dobrych lat film krótki na skutek utraty swoich dotychczasowych obszarów w obrębie kinematografii anektowany jest przez supermocarstwo pośród mass-mediów, czyli przez telewizję. Jakkolwiek początkowo ta aneksja wydawała się działaniem jedynie rozsądnym, tak teraz jej imperialny charakter rodzi poważne wątpliwości. Obrazy krótkiego metrażu wtłoczone w zhomogenizowany program tv zyskały wprawdzie — i to wiele — na liczbie odbiorców, ale jednocześnie straciły — też niemało — na swojej oryginalnej wartości.

Funkcje informacyjne, nieskomplikowany dydaktyzm, aktualność (co często znaczy — powierzchowność), prostota formy (oglądają miliony!) — oto czego oczekuje się od filmu krótkometrażowego w telewizyjnych redakcjach. Tak — telewizja zdynamizowała żywot „małego kina", stała się dlań nową atrakcyjną szansą, ale jednocześnie podyktowała nowe prawa i sobie tylko właściwe formuły wyrazowe. Ciągle nienasycona — wydaje się być i mniej wybredna. Zatem krajowe przeglądy i festiwale międzynarodowe są jakby ostatnim już azylem dla filmu krótkometrażowego, ostatnią redutą, gdzie można manifestować swoje ambicje i artystyczne aspiracje, prawo do eksperymentu i warsztatową swobodę.

Tak odbierałem i tegoroczną imprezę w Krakowie, czyli pełen nadziei, która — niestety — przeradzała się w — narastające z dnia na dzień — zniecierpliwienie. Coraz miałem wrażenie określane zwrotem „déjà vu", a odnosi się to w równym stopniu do festiwalu krajowego jak i międzynarodowego.

Na szczęście Kraków przyjął nas jakby gościnniej i normalniej niż w ubiegłym roku. Obstawione wówczas rusztowaniami kamieniczki tego czerwca jaśniały nowymi tynkami. Choć tego blasku rzeczywiście przybyło i wciąż trwają prace rewaloryzacyjne koniec trudno sobie wyobrazić.

Błyszczy jak nowy ołtarz Wita Stwosza, straszy natomiast i napawa grozą wywieszony w kościele Mariackim plakat, w którym porównuje się lekarzy przerywających ciążę do „medyków-eksperymentatorów" z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Na obskurantyzm i porażającą demagogię tego chwytu propagandowego zwracali uwagę także zagraniczni uczestnicy festiwalu, którzy rozglądali się po Krakowie z wnikliwą ciekawością. A tu nikt nie umiera z głodu na ulicy — czego oczekiwali po lekturach gazet w swoich krajach — a wiosna jest równie piękna jak gdzie indziej. Obok biura organizacyjnego festiwalu mieści się recepcja dla przybywających z okazji papieskiej wizyty dziennikarzy z całego świata. W piwnicy „Pod Baranami" Andrzej Warchał rozśmiesza zgromadzoną tłumnie publiczność wspomagając swą pamięć książką, którą mu właśnie opublikowało Wydawnictwo Literackie.

A i ci, którzy w ubiegłym roku uprawiali bojkot bądź chyłkiem przemykali przez hol festiwalo-

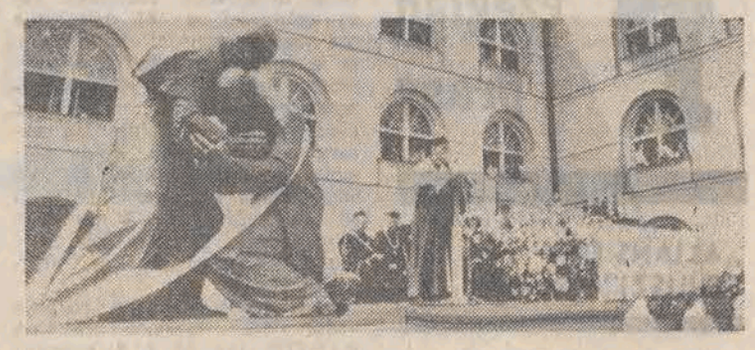

Wanda Karczewska

Stary poeta mówi

Od drzwi do okna
od okna do drzwi
chodzę
chodzę

Włączam i wyłączam
otwieram i zamykam
Zewsząd
z ekranów i głośników płynie
nie ma nie ma niczego nie ma
trzeba pomóc

Jak ja ci mam pomóc
kraju mój
narodzie

Jestem bardzo stary park maszynowy
zużyte serce
zniszczone naczynia krwionośne
nitki nerwów poszarpane
Jak ja ci mam pomóc
ziemio Moja

2.

Teraz wiem co to bezradność
niemoc niesienia pomocy
Teraz wiem Janie Pawle
dlaczego Ty się modlisz
Jesteśmy oboje bezradni

to nam tylko pozostaje
modlitwa

Więc modlę się pisaniem
i Ty módl się ze mną tak
jak tutaj trzeba
Boże oświeć umysły głupich
daj rozum zaciekłym i popędliwym
spraw aby uschły ręce zażegające pożary
takie abyśmy ich sami ugasić nie mogli
Boże spraw by odpadły ręce prowokatorom
One bezczeszczą groby obcych żołnierzy
poległych na naszej ziemi
a trafiają w trzewia narodu
w stos pacierzowy Niepodległej

Módl się ze mną Janie Pawle
Boże spraw aby uschły te ręce

To nie bluźniercza modlitwa
a jeśli nawet
to ja Ci wybłagam potem rozgrzeszenie
u Niego
zażądam go

Patrz jestem zuchwała
mogę więcej niż Ty
mogę bluźnić
Niech mi to nie będzie nigdy odpuszczone
ale Boże spraw by odpadły ręce prowokatorom

3.

Biały habicie
biały uśmiechu
głowo biała
szanuj się dla nas

Odszedł w krypty katedry
Wielki Rozjemca Brat Stefan
Teraz Ty w dwójnasób
musisz ostrzegać nas
byśmy nie błądzili
ocalać od klęski

Zabraniam Ci beztroski
z jaką schodzisz pomiędzy tłumy
Tam jest szaleniec Agca
broń wymierzona w Twoje trzewia
w Twoje istnienie

Biały habicie
uśmiechu biały
głowo biała święt.
proszę Cię
szanuj się dla nas

Czerwiec 1981

Przegląd prasy

„ALIANS CZY SOJUSZ?"

— pyta Julitta Głembocka w „RZECZYWISTOŚCI" (nr 23 z 5 czerwca 1983 r.), a pytanie to odnosi się do wzajemnego stosunku robotników i chłopów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że *„sojusz robotniczo-chłopski stanowi fundament naszego ustroju"* i już choćby dlatego *„powinien być naczelną przesłanką trwałości porozumienia narodowego"*. Podstawą tego sojuszu jest wspólnota walki z wyzyskiem w przeszłości i jedność celów w teraźniejszości i przyszłości. Tak więc *„klasowa istota tego sojuszu pozostaje stała i niezmienna"*, ale *„jego treść podlega w procesie historycznego rozwoju dialektycznym zmianom"*. Czyli odpowiedź na postawione pytanie powinna być jednoznaczna — sojusz.

Sojusz jest bowiem czymś trwalszym niż alians. Sojusz zakłada właśnie wspólnotę celów. Alians natomiast może być umową doraźną, wynikiem taktyki. Alians na ogół zawierają państwa, które nie zawsze mają wspólne cele dalekosiężne, ale doraźnie coś je łączy. W wypadku wzajemnego stosunku dwu klas wyzyskiwanych w przeszłości i walczących o wyzwolenie społeczne mowa może być tylko o sojuszu. Nie jest to jednak dla wszystkich takie pewne.

Rzecz całą można więc traktować — pisze Julitta Głembocka — *dokrtynalnie i realnie. Traktując realnie można wszakże posiłkować się marksistowską i niemarksistowską metodologią, marksistowskimi i niemarksistowskimi narzędziami badawczymi, pozostawać w zgodzie z klasową analizą lub w zgodzie z solidaryzmem klasowym"*.

A jakie są realia? Autorka przypomina, że około 30 tys. wsi nie posiada żadnej placówki kulturalnej, że różnice w rozwoju dzieci w mieście i na wsi wynoszą około 2 lat na niekorzyść dzieci wiejskich, że młodzież chłopska stanowi 7,4 proc. przyjmowanych na pierwszy rok studiów. Przypomina też, że klasa robotnicza w Polsce jest zróżnicowana, wielu robotników ma stosunkowo krótki staż zawodowy, do klasy tej napływają ludzie z innych grup społecznych, co powoduje, że *„nie jest... wolna od wewnętrznych sprzeczności"*. Te sprzeczności zachodzą *„między obiektywnym interesem klasowym a subiektywnymi interesami poszczególnych grup robotników, które ulec mogą wpływom postaw i dążeń drobnomieszczańskich"*.

Tak więc odpowiedź na pytanie: *„Alians czy sojusz?"* jest potrzebna przede wszystkim dlatego, że młodzi muszą zrozumieć prawa rozwoju społecznego, a po drugie — twierdzi Julitta Głembocka — że w prasie pojawiają się fałszywe tezy i poglądy w tej sprawie. I tak: *„w większości publikacji położono akcent na uzasadnienie tezy, że wzrost produkcji rolnej zależy od wprowadzenia konstytucyjnej gwarancji dla prywatnego sektora w rolnictwie"*, albo że *„na łamach niektórych czasopism (pojawia się) apologetyczny stosunek do żywiołu drobnomieszczańskiego"*.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że są ludzie, którzy wyobrażają sobie przyszłość socjalizmu w Polsce jako „symbiozę" dwu przeciwstawnych form własności: społecznej w przemyśle i prywatnej w rolnictwie. Nie zdają oni sobie sprawy z tego, że występowanie tych dwu form własności już obecnie rodzi różne sprzeczności między przemysłem i rolnictwem, między miastem i wsią. Te sprzeczności niewątpliwie zaważyły też na naszych kryzysach. Dlatego trudno nie zgodzić się z poglądem J. Głembockiej, że *„uspołecznienie — uwzględniając tu cały wachlarz form i metod — wydaje się być, niezależnie od nazwy, naturalnym przejawem postępu społecznego. Potwierdzają to doświadczenia większości krajów socjalistycznych. Staje zatem pytanie: czy bez zmiany stosunków własnościowych na wsi można w Polsce zbudować socjalizm?"*

Odpowiedź na to pytanie nie ulega wątpliwości: nie można! Jest to bowiem podstawowe założenie, o które nie ma co pytać. Pytać natomiast trzeba o drogi i sposoby realizacji tego celu, bo w tej dziedzinie nie mamy jasności. Rozumiem, że o zmianach form własności można mówić przy silnym, dobrze wyposażonym rolnictwie, kiedy to niejako staje się naturalnym procesem, kiedy stosunki produkcji zaczynają nie odpowiadać poziomowi rozwoju sił wytwórczych. A do tego nam jeszcze daleko. Jak więc taki stan w rolnictwie osiągnąć?

Inne bardzo ważne pytanie zadał na łamach „ŻYCIA PARTII" (nr 12 z 8 czerwca 1983 r.) Edward Grzelak. Pytanie to brzmi:

„CZY WIERZĄCY MOŻE BYĆ CZŁONKIEM PARTII?"

Autor na początku stwierdza, że pytanie to budzi wiele wątpliwości również wśród członków partii. A dzieje się tak *„z powodu niedostatków w znajomości teorii marksizmu-leninizmu... i słabej edukacji partyjnej"*. Ale pogląd, jakoby wierzący nie mógł być członkiem partii wiąże się też z tendencjami występującymi na obrzeżach partii: *„oportunistyczną, charakteryzującą się całkowitym lekceważeniem marksistowsko-leninowskich zasad światopoglądowych o charakterze sekciarsko-lewackiej „nadgorliwości ateistycznej", która czyni kryterium światopoglądowe miarą politycznej i ideologicznej wartości człowieka"*.

W odpowiedzi na to pytanie trzeba brać realia. Chociażby to, że *„olbrzymia większość społeczeństwa polskiego, także klasy robotniczej, to ludzie wierzący"*. *Poza tym* — stwierdza E. Grzelak — *„podziały wedle stosunku ludzi do religii nie pokrywają się z podziałami wedle stosunku do socjalizmu"*. I wreszcie — partia różnice światopoglądowe traktuje *„jako wtórne wobec stosunku do społecznego i politycznego programu"*.

E. Grzelak przypomina też odpowiedź, jaką dał Włodzimierz Lenin, gdy go zapytano, czy ksiądz może być członkiem partii? A więc i już wówczas problem ten budził wiele wątpliwości i dyskusji. Oto odpowiedź W. Lenina:

„Jeśli ksiądz zbliża się do nas w celu wspólnej pracy politycznej i sumiennie wykonuje pracę partyjną, nie występując przeciw programowi partyjnemu, to możemy go przyjąć..."

Na realiach też oparł zapis w uchwale IX Zjazd PZPR, tak oto stwierdzając:

„Partia przyjmuje w swoje szeregi także wierzących ludzi pracy. Umożliwia im działalność polityczną w myśl zasad swego programu, opowiada się jako całość za naukowym światopoglądem oraz prowadzi w tym duchu działalność edukacyjną i wychowawczą".

Ale — pisze dalej Edward Grzelak — *„wyraźnie powinniśmy powiedzieć, że w partii nie ma miejsca dla klerykałów. Członek partii, wierzący czy zachowujący wierzenia religijne, nie może dawać się wciągać w publiczną działalność religijną, musi umieć odróżnić religijne funkcje instytucji kościelnych od politycznych działań funkcjonariuszy. Członek partii, który wykorzystuje swoje przekonania religijne do celów niezgodnych z ideologią partii, działa wbrew jej zasadom ideowym i statutowym, narusza jedność, łamie dyscyplinę partyjną"*.

Artykuł Edwarda Grzelaka wyjaśnia wiele wątpliwości, stawia sprawę jasno i może być pomocnym w dyskusjach na temat tego, czy wierzący może być w partii?

Pytanie z innej dziedziny — to nie znaczy, że mniej ważne — stawia Leszek Sobczak w „PROBLEMACH" (nr 5 z maja 1983 r.). Pyta on:

„CO ROBIĆ Z REZERWATEM DRUŻNO?"

Szosa „E—81" biegnie z Gdańska do Elbląga i dalej do Ostródy. Za Elblągiem, po prawej stronie, jak się jedzie do Ostródy, między szosą „E—81" a miejscowością Węgle leży jezioro Drużno. Przechodzi ono później w Kanał Elbląski i szlak wodny do Ostródy. Jego powierzchnia wynosi 1 790,1 ha. Jest do 3 m głębokie, długie do około 15 km i 5 km szerokie. Leży we wschodniej, depresyjnej części Żuław Elbląskich. Jest — jak pisze L. Sobczak — *„nie odwodnioną pozostałością Zalewu Wiślanego"*. W XIII wieku było jeszcze częścią tego Zalewu. Dzisiejsze jezioro Drużno otoczone jest 44 km wałów ochronnych o wysokości od 3 do 3,5 m. Do jeziora wpada 21 rzek i potoków. O poziomie wód w Drużnie decyduje przede wszystkim największa rzeka — Elbląg. Poziom wody w jeziorze zmienia się w granicach jednego metra. Na przykład *„przy silnych wiatrach północnych poziom wód podnosi się, gdyż rzeka Elbląg zmienia kierunek"* i wtedy wody z Zalewu wpływają do jeziora. Przy wiatrach południowych odwrotnie. Rzeka ta ma 16 km długości, nie ma żadnego spadku naturalnego, a kierunek może zmieniać nawet i dwa razy w ciągu doby, w zależności od kierunku wiatru. Drużno jest powodem licznych powodzi. Wały przeciwpowodziowe stoją na maziowatym gruncie i topią się w nim. Trzeba je ciągle naprawiać.

Jezioro Drużno jest rezerwatem przyrody. Jest to jezioro płytkie, a przebiegający przez nie 8-kilometrowy szlak wodny do Ostródy musi być nieustannie pogłębiany. Zarasta więc i w niedalekiej przyszłości może zarosnąć całkowicie. Jest to jednak *„jedna z najbogatszych ostoi ptactwa słodkowodnego i bagiennego"*. Można tu spotkać około 150 gatunków tego ptactwa. Jest tu więc między innymi gęś gęgawa, kaczka płaskonosa, kormoran czarny, czapla siwa, ślepowron, zimorodek, wąsatek, mewy, mewki, kurka zielona i gil dziwonia. Niektóre gatunki ptaków występują tylko na jeziorze Drużno. To wszystko decyduje, że część ludzi — a wśród nich mieszkańcy Wybrzeża Wschodniego, konserwator przyrody w Elblągu i Liga Ochrony Przyrody — opowiadają się za utrzymaniem tego rezerwatu przyrody.

Ale są też i opinie przeciwne. Oto, co pisze na ten temat Leszek Sobczak:

„Poszkodowanym rolnikom PZU wypłaca co roku kilkusetmilionowe odszkodowania. Po doliczeniu do tego kosztów wielu akcji przeciwpowodziowych, straty zbliżają się do 1 mld zł. Do kosztów tych należałoby jeszcze dodać straty wynikłe z powodu utraconej mocy produkcyjnej przez żyzne ziemie żuławskie o powierzchni 3000 ha, zajęte pod sztuczne rozlewisko wodne i malaryczne bagno".

Tak więc podział sądów w sprawie jeziora Drużno przebiega dość wyraźnie. Po jednej stronie stoją miłośnicy przyrody, którzy chcieliby *„zachować unikalny rezerwat jeziora Drużno w dotychczasowym nienaruszonym stanie"*, a po drugiej — rolnicy i melioranci, którzy są *„za likwidacją rezerwatu i domagają się osuszenia terenu"*. Domagają się tego ze względu na straty gospodarcze i wysoki koszt utrzymania rezerwatu.

„Co robić?" — pyta Leszek Sobczak. Odpowiedź na to pytanie jest tym trudniejsza, że ze względu na niepowtarzalny charakter rezerwatu pieczę nad nim przejęło UNESCO, a więc straty byłyby to niepowetowane dla nauki i dla przyrody. Ale z drugiej strony mamy kryzys i pytanie, czy stać nas na utrzymywanie tak drogiego rezerwatu, też nie jest bez racji.

Nie mam zamiaru szukać na to pytanie odpowiedzi. Niech decydują specjaliści. Ale, jeśli można — mimo wszystko — wtrącić swoje trzy grosze, to chciałbym tylko zwrócić uwagę, że każde naruszenie jakiejkolwiek równowagi ukształtowanej wiekami w przyrodzie prowadzi do nieprzewidzianych i wielce niekorzystnych skutków dla człowieka. Może więc — mimo wysokich kosztów — warto zostawić w spokoju jezioro Drużno.

Tenże Leszek Sobczak, w tychże samych „Problemach" relacjonuje — na podstawie materiałów Morskiego Instytutu Rybackiego oraz raportu dr Jerzego Falandysza z Zakładu Higieny Weterynaryjnej w Gdańsku — wyniki badań nad rybami z Bałtyku i stawia kolejne pytanie:

„RYBY W BAŁTYKU — NIEZDATNE DO SPOŻYCIA?"

A nie jest to pytanie błahe, bowiem — jak sam pisze — *„w pewnych okresach roku, szczególnie na wiosnę, spotyka się, wprawdzie sporadycznie, w sprzedaży sklepowej ryby bałtyckie z plamistymi zmianami skóry"*. Takie zmiany spotyka się przede wszystkim u dorszy, węgorzy i śledzi. Co prawda — nie mogę powstrzymać się od tej uwagi — bardzo trudno spotkać w sklepie w ogóle węgorze i śledzie, nawet z plamami na skórze. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Co grozi rybom w Bałtyku?

„Z dotychczas przeprowadzonych badań wynika — pisze L. Sobczak — *że główne niebezpieczeństwo dla środowiska morskiego i jakości zdrowotnej ryb stanowią syntetyczne związki chemiczne wprowadzane do morza w minimalnym stężeniu przez dziesiątki lat, powodujące jego stałe zanieczyszczenie"*.

Skażenie środowiska morskiego jednorazowym wylaniem do morza trucizny zdarza się dość rzadko. Mała to jednak pociecha, bo — jak wiadomo, choćby z literatury — trucie małymi dawkami, ale systematycznie przynosi zawsze spodziewany skutek. W morzu również — jak się okazuje.

Co zatem jemy razem z rybami?

„Ano — powiada uczenie L. Sobczak — *problemem higienicznym w przypadku ryb Zatoki Gdańskiej i wszystkich łowisk bałtyckich jest obecność w ich tkankach pozostałości związków polichlorowych"*. A wśród tych związków dwa są szczególnie groźne, to polichlorowane dwufenyle i DDT. Wprawdzie od 1976 roku, kiedy to kraje bałtyckie wprowadziły zakaz używania DDT, jego obecność w tkankach ryb stale się zmniejsza, ale u dużych dorszy, mających ponad 60 cm długości *„stężenie DDT w ich wątrobach przekracza tolerancję"*.

Natomiast *„zawartość polichlorowanych dwufenyli w rybach bałtyckich od około 10 lat utrzymuje się na stałym poziomie"*. Ryby dorszowate mają szczególnie dużo PCB. (Zupełnie nie wiem i sądzę, że Czytelnicy również, co to jest, ale to mi wcale nie przeszkadza, abym poczuł się zagrożony. A tak lubię wątróbkę z dorsza). Znaleźć go można w wątrobach ryb. I dlatego L. Sobczak stwierdza:

„Wątroby bałtyckich ryb dorszowatych i otrzymywane z nich przetwory są jedynymi produktami, spożywanie których (zgodnie z posiadaną wiedzą) przedstawia potencjalne ryzyko dla zdrowia. Dzieci, młodzież, młode kobiety, kobiety ciężarne i karmiące matki z tego właśnie powodu nie powinny spożywać przetworów bałtyckich ryb dorszowatych".

Szkoda, że nie mamy dostępu do oceanu jakiegoś, bo może w oceanie ryby byłyby zdrowsze. Chociaż błękitka też nam już dokładnie obrzydzono. O krylu słychać tylko różne legendy, a kalmary jakoś się mimo wszystko nie przyjęły. Ocean więc też nam się na nic nie przyda. Może raczej przestańmy truć Bałtyk!

Obraz ryb bałtyckich nie jest jednak taki najgorszy — przekonuje nas dalej Leszek Sobczak. Przede wszystkim nie ma w rybach metali szkodliwych: ołowiu, cynku, kadmu, miedzi, chromu, rtęci, arsenu i selenu. Dobre i to. Nie ma poza tym pierwiastków promieniotwórczych. I nie ma też... iperytu. Skąd mógłby się wziąć iperyt? Ano w rejonie Bornholmu zatopiono znaczną ilość bomb iperytowych z zapasów z czasów II wojny światowej. Bomby kruszeją, iperyt wydostaje się do wody, trafia do ryb, a później my go sobie spokojnie konsumujemy. Ale nie ma obawy. Iperyt jest związkiem *„względnie nietrwałym w środowisku wodnym"*. Jest więc nadzieja, że nawet jeśli się wydostanie do wody, to zginie nim trafi do ryby, a przez nią do nas.

Odetchnąłem z ulgą! Co wcale jednak nie znaczy, że w ogóle możemy oddychać z ulgą, pamiętając, że w każdej minucie, w każdej godzinie, każdej doby produkujemy sami, własnymi rękoma trucizny, które pozornie unieszkodliwiamy — wylewając je na przykład do rzeki — a które później trafiają do nas z powrotem, zatruwając nasz organizm.

Nim wszakże weźmiemy się solidnie do ochrony środowiska, trzeba najpierw pozbyć się stonki. Stonka, jak twierdzą specjaliści, lęgnie się w dużej obfitości cyklicznie, właśnie 1983 rok jest kolejnym szczytem tego cyklu. Stonka przenosi się chmurami niczym szarańcza. Samica składa około 3000 jaj. Larwy są mniej odporne na środki chemiczne. A więc znów trująca chemia. Ale jeśli nie zniszczymy stonki, to ona zniszczy nas...

LUCIAN BOGUSZ

Obrady szóstej konferencji UNCTAD

Pilna potrzeba równoczesnego zapewnienia trwałego ożywienia gospodarczego państw wysoko uprzemysłowionych, jak też uruchomienia procesu rozwoju krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, potwierdzona została już na samym początku obrad szóstej konferencji UNCTAD, które rozpoczęły się w poniedziałek, 6 czerwca, w Belgradzie. W konferencji tej, która trwać będzie do 30 czerwca, bierze udział około 3 tys. delegatów, w tym wielu ministrów, wysokich funkcjonariuszy państwowych i ekspertów z blisko 160 krajów. Celem obrad jest m.in. dokonanie wspólnej oceny obecnej sytuacji gospodarczej świata, a także ustalenie, jakie kroki należałoby podjąć dla przełamania najpoważniejszego kryzysu ekonomicznego ostatniego 30-lecia.

Sekretarz generalny ONZ, Javier Perez de Cuellar, występując w pierwszym dniu konferencji, wskazał na ścisłą współzależność między krajami bogatymi i biednymi, a także rozliczne powiązania handlowe i finansowe całego świata. Nawiązując do „pierwszych oznak ożywienia gospodarczego" w niektórych wysoko uprzemysłowionych krajach zachodnich sekretarz generalny wyraził pogląd, że ożywienie to jest wciąż jeszcze kruche i że państwa rozwijające się jeszcze przez długi czas nie będą mogły korzystać z tego powolnego wzrostu gospodarczego. Wskazał on na ścisły związek między zyskami, jakie ciągną zachodnie banki, a losem państw Trzeciego Świata. Zaapelował on o „pilne rozwiązania" dla podtrzymania aktywności gospodarczej krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Otwarcia obrad dokonał szef państwa jugosłowiańskiego, Mika Spiljak. Również jego wystąpienie zawierało apel o „konstruktywny dialog między krajami wysoko uprzemysłowionymi i rozwijającymi się". Szef państwa jugosłowiańskiego ostro potępił „szaleńczy wyścig zbrojeń", zwłaszcza w dziedzinie broni nuklearnej. Przypomniał on, że w roku 1982 wydano na całym świecie 600 miliardów dolarów na zakup broni. W tym czasie na pomoc dla krajów rozwijających się przeznaczono tylko 35 mld dolarów.

DEPESZA PAPIEŻA

Jan Paweł II w depeszy do uczestników VI konferencji UNCTAD wezwał do podjęcia na nowo i na nowych podstawach dialogu Północ-Południe, kierując ten apel przede wszystkim do krajów wysoko rozwiniętych. „Byłoby naganne — głosi depesza papieża, odczytana podczas inauguracji obrad — gdyby kraj rozwinięty, powołując się na własne trudności wewnętrzne, posłużył się nimi jako pretekstem do uchylenia się od swej odpowiedzialności międzynarodowej".

Na wstępie swego posłania do uczestników konferencji UNCTAD Jan Paweł II oświadczył: „Rola Kościoła ma przede wszystkim charakter duchowy i religijny, ale nie waha się on nigdy przed zabraniem głosu i zaoferowaniem swej pomocy również tam, gdzie obowiązkiem nas wszystkich jest zajęcie się podniesieniem poziomu życia i zapewnieniem lepszej przyszłości wszystkim narodom, a zwłaszcza najbardziej potrzebującym".

„Dialog, który prowadzicie na polu gospodarki i handlu, rozwoju i technologii — zwraca się dalej papież do uczestników konferencji UNCTAD — powinien wyrażać szacunek, jaki żywicie wobec narodów i krajów, z którymi prowadzicie negocjacje. Chodzi tutaj o wzajemne poznawanie się i jednoczesne podejmowanie wzajemnych zobowiązań. Chodzi o rozwijanie dialogu Północ—Południe, który by ucieleśniał i wyrażał tę wzajemną współzależność, w której wszystkie interesy znajdują swój prawdziwy i dobry wymiar. W ten sposób można osiągnąć konkretne etapy, prowadzące do urzeczywistnienia ludzkiej godności i wspólnego dobra wszystkich".

W najbliższych numerach:

- POLSKA WYSTAWA SZTUKI W PARYŻU — KORESPONDENCJA WŁASNA
- PLAN „BARBAROSSA" — DOKUMENTY
- „ŻÓŁTY KUBEK" — AFERA W ŁÓDZKIM HOTELU
- ESPERANTYŚCI W MIEŚCIE ZAMENHOFA
- O CZŁOWIEKU, KTÓRY ODCZYTAŁ PISMO.
- SYLWETKA REŻYSERA ANDRZEJA MAJA I RECENZJA ZE SPEKTAKLU WG. „OZIMINY" BERENTA
- INWAZJA STONKI ZIEMNIACZANEJ NA WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE
- MÓWIĄ LUDZIE Z RUDERY — REPORTAŻ Z ŁÓDZKIEJ KAMIENICY
- „BEE GEES" I SEX

Święto czytelników „Głosu Robotniczego"

W ubiegłą sobotę i niedzielę odbyło się tradycyjne święto „Głosu Robotniczego" i czytelników tej najpopularniejszej w regionie łódzko-piotrkowsko-skierniewicko-sieradzkim gazety.

Zespół „GR" przygotował dla mieszkańców czterech województw szereg atrakcyjnych imprez artystycznych i sportowych pod tradycyjnym już hasłem „Głos Robotniczy wszędzie z Tobą".

Zespół gazety spotkał się z władzami politycznymi i administracyjnymi województw, w których ukazuje się „GR". W spotkaniu wzięli również udział przedstawiciele zaprzyjaźnionych redakcji gazet partyjnych z NRD, Węgier i Rumunii.

Życzenia owocnej pracy złożył zespołowi i kierownictwu redakcji „GR" członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz Komitetu Łódzkiego Partii TADEUSZ CZECHOWICZ. Miłym akcentem spotkania było wręczenie (po raz drugi) nagrody im. Henryka Rudnickiego „Hendryka".

Za publikacje o szczególnych walorach, zgodnych z maksymą sformułowaną przez nieodżałowanego publicystę, a brzmiącą „ręka prowadzi pióro, ale pisze serce" nagrody otrzymali: red. WALINA BATOROWICZ i red. KRZYSZTOF SPYCHALSKI.

Gratulujemy!

Uzdrowienie i upadłość przedsiębiorstwa

WITOLD KASPERKIEWICZ

Wprowadzenie do systemu gospodarczego twardych warunków egzystencji ekonomicznej opartych na konsekwentnym przestrzeganiu reguły samofinansowania (lub innymi słowy twardych ograniczeń pieniężno-budżetowych) prowadzić może w przypadku pojawienia się trudności finansowych przedsiębiorstwa do jego bankructwa (upadłości). Rodzi się więc problem dotychczas nieznany w praktyce funkcjonowania gospodarki socjalistycznej w Polsce. W systemie prawnym polskiej reformy kwestia upadłości przedsiębiorstwa stanowi nadal terra incognita, chociaż ustawa o przedsiębiorstwach państwowych i prawo bankowe przewidują w stosunku do przedsiębiorstw przynoszących straty procedurę uzdrowienia stanu jego finansów lub podjęcie postępowania upadłościowego. Należy oczekiwać, iż w najbliższym czasie prawna regulacja problemu upadłości przedsiębiorstwa będzie przedmiotem obrad Sejmu. Świadczy o tym fakt przesłania projektu ustawy o uzdrowieniu i upadłości przedsiębiorstwa państwowego do laski marszałkowskiej. Projekt ustawy po długich deliberacjach obfitujących w liczne kontrowersje opracował Zespół X Komisji d.s. Reformy Gospodarczej.

Wokół kwestii upadłości przedsiębiorstwa w systemie gospodarki socjalistycznej narosło wiele nieporozumień i uproszczeń. W dyskusjach poświęconych tej sprawie można wyróżnić dwa skrajne stanowiska. Pierwsze oparte jest na tradycyjnym, żeby nie powiedzieć dogmatycznym podejściu do omawianej kwestii zawartym w zwięzłej formule: „reforma tak, upadłość nie", drugie zaś wyróżnia się radykalizmem w interpretowaniu zasady samofinansowania graniczącym z likwidatorską skłonnością w traktowaniu nieefektywnych jednostek gospodarczych. Obydwa stanowiska nie wytrzymują krytyki — pierwsze ze względu na zasadę efektywności ekonomicznej, która nie pozwala tolerować jednostek gospodarczych notorycznie niewypłacalnych, drugie ze względu na jego sprzeczność z niektórymi etycznymi normami socjalizmu i współczesnymi tendencjami w zakresie pojmowania problemu bankructwa przedsiębiorstwa.

Doświadczenia płynące z reformy węgierskiej wskazują, że w praktyce niezwykle trudno jest dokonać likwidacji nierentownego przedsiębiorstwa. W przekonaniu J. Kornaia, jednego z twórców węgierskiego modelu gospodarczego, podstawową przeszkodą w konsekwentnym egzekwowaniu reguły samofinansowania jest sprzeczność występująca między zasadą efektywności, zgodnie z którą przedsiębiorstwa nierentowne powinny zostać zlikwidowane w interesie zapewnienia wyższej efektywności funkcjonowania całej gospodarki narodowej, a zasadami etycznymi socjalizmu, które gwarantują społeczeństwu pełne zatrudnienie, poczucie bezpieczeństwa pracy etc.

Podczas pierwszych dziesięciu lat reformy gospodarczej na Węgrzech żadne nierentowne przedsiębiorstwo nie zostało całkowicie zlikwidowane. Ograniczono się do rozwiązań polegających na zmianach organizacyjnych, najczęściej na połączeniu kulejącego przedsiębiorstwa z przedsiębiorstwem rentownym. Robotnikom gwarantowano nie tylko pracę, lecz także zatrudnienie w ich obecnym miejscu pracy. Również znaczny wzrost cen na rynku światowym nie doprowadził do bankructwa żadnego przedsiębiorstwa. W każdym przypadku zagrożenia bytu przedsiębiorstwa budżet państwa pokrywał straty mniej rentownych przedsiębiorstw.

Podjęty w 1982 r. na Węgrzech kolejny etap modyfikacji systemu gospodarczego zawiera w swoich założeniach bardziej rygorystyczną i śmielszą niż dotychczas realizację zasady samofinansowania. Zapowiada się uchylenie parasola ochronnego państwa socjalistycznego wobec przedsiębiorstw przynoszących straty ekonomiczne. Ekonomiści węgierscy reprezentują pogląd, że utrzymywanie z kiesy państwowej niegospodarnych jednostek jest symptomem nieracjonalnego rozmieszczenia zasobów, zabija ducha przedsiębiorczości oraz jest wysoce demoralizujące, gdyż producenci efektywni i rzutcy pracują po części na rachunek outsiderów. Chcąc dochować wierności pryncypiom socjalistycznym proponuje się, by nie likwidować przedsiębiorstw w terenie, na którym ze względu na brak innych zakładów może powstać lokalne bezrobocie. Stanowi to przejaw praktycznego kompromisu zasad efektywności ekonomicznej w systemie wartości polityczno-etycznych socjalizmu.

Rozważając problem upadłości przedsiębiorstwa należy wspomnieć o dezaktualizacji „klasycznego bankructwa" we współczesnej ekonomii kapitalistycznej. Ogólną tendencją w gospodarce kapitalistycznej jest łagodzenie ograniczeń pieniężno-budżetowych, co modyfikująco wpływa na zjawisko bankructwa firm prywatnych. Przyczyny tej modyfikacji są rozliczne. Jedną z nich jest powstanie w rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej wielkich korporacji działających w warunkach monopolistycznych bądź oligopolistycznych struktur rynku. Firmy te w przeciwieństwie do organizacji funkcjonujących w okresie wolnej konkurencji są bardzo odporne na wstrząsy kryzysowe. Ze względu na silne powiązanie wielu potężnych korporacji z sektorem państwowym poprzez system zamówień rządowych oraz unię personalną członków zarządów firm z przedstawicielami rządu (tworzy to według J. K. Galbraitha system symbiozy biurokratycznej) bankructwo potentatów jest obecnie bardzo skomplikowane i niekiedy niemożliwe do realizacji. Tarapaty finansowe wielkich korporacji stają się przedmiotem zainteresowania i troski rządów państw kapitalistycznych. Tak było w przypadku niewypłacalności znanych firm jak np. AEG-Telefunken w RFN czy International Harvester w USA. Upadłość gigantów, jeśli już występuje, przybiera z reguły charakter spektakularny, natomiast tysiące bankructw mniejszych przedsiębiorstw pozostają bez większego rezonansu.

Istotną rolę w procesie rewizji klasycznego bankructwa odgrywa także silna pozycja związków zawodowych w niektórych krajach kapitalistycznych (np. W. Brytania, RFN) oraz wcale niebagatelne społeczne aspekty polityki zatrudnienia. Bankructwo dużej firmy może spowodować poważne perturbacje w postaci zwiększenia bezrobocia. Dlatego też instytucje rządowe stosują wobec chylących się ku upadkowi wielkich firm rozmaite instrumenty mające na celu rozluźnienie twardych ograniczeń pieniężno-budżetowych (np. subsydia, korzystne kredyty, ulgi podatkowe itp.).

W świetle przedstawionych stwierdzeń uzasadniony wydaje się pogląd, iż bankructwo w gospodarce uspołecznionej stanowić powinno ostateczne rozwiązanie w przypadku, gdy zawiodą działania mające na celu poprawę gospodarki słabych przedsiębiorstw. Płonne i nierealne są oczekiwania, że przygotowywana ustawa o upadłości przedsiębiorstwa wywoła falę bankructw. Skoro w rozwiniętych krajach kapitalistycznych państwo pomaga potężnym „słabeuszom", to w imię jakich racji miałoby tego nie czynić w naszej gospodarce. Społeczeństwo jako całość nie jest zainteresowane bankructwem przedsiębiorstw, dlatego też stanowić powinno ono (tzn. bankructwo) potencjalną groźbę, rodzaj psychologicznego nacisku pobudzającego przedsiębiorstwa do uzdrowienia swojej działalności.

Projekt ustawy o upadłości i uzdrowieniu przedsiębiorstw w sposób wyważony reguluje omawianą kwestię biorąc pod uwagę zarówno względy efektywności ekonomicznej, jak i społeczne. W projekcie tym przewiduje się różne fazy postępowania uzdrawiającego (tzw. sanacji przedsiębiorstwa), a dopiero w przypadku ich fiaska upadłość przedsiębiorstwa. Autorzy projektu przyjęli słuszne założenie, że kardynalną sprawą jest skoncentrowanie uwagi na stworzeniu systemu działań profilaktycznych. Można więc stwierdzić, że propozycje legislacyjne zmierzają w kierunku opracowania ustawy eksponującej nie tyle upadłość przedsiębiorstwa, ile zapobieganie owej upadłości.

Pierwszym etapem uzdrawiania przedsiębiorstw jest — w myśl projektu ustawy — postępowanie wewnętrzne, do którego przedsiębiorstwo zobowiązane jest przystąpić, jeśli powstanie sytuacja zagrożenia w postaci straty finansowej. Obowiązek ogłoszenia „alarmu" spoczywa na dyrektorze przedsiębiorstwa, który powinien zawiadomić o tym radę pracowniczą oraz organ założycielski. Obowiązek taki spoczywa również na banku kredytującym przedsiębiorstwo oraz na organach kontroli państwowej. Dyrektor zobowiązany jest najpóźniej w ciągu miesiąca od uruchomienia sygnału alarmowego przedstawić radzie pracowniczej przedsiębiorstwa szczegółową informację o przyczynach zagrożeń, a także program uzdrowienia sytuacji. Projekt ustawy przewiduje, że rada pracownicza powinna w ciągu 14 dni zająć stanowisko wobec informacji dyrektora i podjąć uchwałę w sprawie programu uzdrowienia. Rada może w tym celu skorzystać z opinii ekspertów lub z usług przedsiębiorstwa specjalistycznego zajmującego się doradztwem.

Projekt ustawy w sposób bardzo ogólny określa rodzaje przedsięwzięć, przy pomocy których należy leczyć podupadające przedsiębiorstwo; np. zaciąganie kredytów bankowych, zmiana zawartych umów i porozumień itp. Można domniemywać, że konkretyzacja treści programu sanacji będzie zależała od sytuacji finansowej i potrzeb danego przedsiębiorstwa.

W przypadku, gdy stan chorego przedsiębiorstwa okaże się na tyle groźny, iż terapia zarysowana w postępowaniu wewnętrznym nie jest celowa może nastąpić likwidacja przedsiębiorstwa. Z wnioskiem o likwidację może wystąpić dyrektor bądź rada pracownicza, która ma obowiązek zatwierdzenia wniosku dyrektora w ciągu 14 dni. W tym momencie do akcji wkracza organ założycielski, który rozpatruje zasadność wniosku o likwidacji przedsiębiorstwa. Jeśli interes społeczny wymaga utrzymania przy życiu danego przedsiębiorstwa, organ założycielski odrzuca wniosek o likwidację i ustala nad przedsiębiorstwem „anioła stróża" w postaci zarządu komisarycznego. W kontekście tej regulacji należy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo manipulowania przez organ założycielski kategorią interesu społecznego i wynikający z tego mechanizm przetargów. Z pewnością interes społeczny powinien być argumentem na rzecz ratowania zakładu produkcyjnego, np leki, ale wątpliwe jest czy posługiwanie się tym argumentem ma sens np. w odniesieniu do firmy budowlanej notorycznie deficytowej i zorganizowanej wg. humorystycznych recept prof. Parkinsona. Powoływanie się w drugim przypadku na interes społeczny graniczy z demagogią.

W myśl projektu ustawy postępowanie wewnętrzne przedsiębiorstwo prowadzi na własny rachunek i ryzyko. Organ założycielski pełni w tej fazie funkcję biernego obserwatora, by nie stwarzać wrażenia, że wespół z przedsiębiorstwem dźwiga odpowiedzialność za rezultaty postępowania wewnętrznego. Organ ten przejmuje częściową odpowiedzialność za wyniki działalności przedsiębiorstwa dopiero po ustanowieniu nad nim zarządu komisarycznego. Zarząd komisaryczny pozbawia przedsiębiorstwo samodzielności i przejmuje kompetencje jego organów. Dyrektor zostaje odwołany, a organy kolegialne przedsiębiorstwa, w tym również samorząd załogi — ulegają rozwiązaniu. Projekt ustawy przewiduje, że zarząd komisaryczny powoływany jest na czas z góry określony, jednak nie dłuższy niż 2 lata. Jeśli w tym okresie nie odnotuje się postępu w sytuacji finansowej przedsiębiorstwa, powinno ono ulec likwidacji, z wyjątkiem przypadku, gdy istotne względy społeczne uzasadniają przedłużenie czasu działania zarządu komisarycznego, a organ założycielski zagwarantuje odpowiednie dofinansowanie na pokrycie strat.

Podstawą ogłoszenia upadłości jest, zgodnie z projektem, niewypłacalność przedsiębiorstwa przejawiająca się w tym, że jego majątek nie wystarcza na pokrycie długów, a bank i organ założycielski odmawiają poręczenia za długi przedsiębiorstwa. Wniosek o rozpoczęcie postępowania upadłościowego może być zgłoszony przez dyrektora przedsiębiorstwa, jego likwidatora bądź przez osoby sprawujące zarząd komisaryczny. Wniosek taki może być zgłoszony także przez organ założycielski, bank kredytujący przedsiębiorstwo oraz przez wierzyciela, jeśli jego należność pieniężna nie została uregulowana w ciągu roku od dnia zgłoszenia. Projekt ustawy stwierdza, że jedyną instancją orzekającą o upadłości przedsiębiorstwa jest sąd wojewódzki, a więc upadłości nie może ogłosić ani przedsiębiorstwo, ani organ administracji gospodarczej czy państwowej.

Najdelikatniejszym aspektem problemu upadłości jest bez wątpienia sprawa losu pracowników. Projekt ustawy ustala w tej sprawie kompromis między interesami wierzycieli, przedsiębiorstwa i jego załogi. Odrzucono w projekcie ustawy rozwiązanie rygorystyczne polegające na niezwłocznym rozwiązaniu stosunku pracy z chwilą ogłoszenia upadłości przedsiębiorstwa. Zaproponowano rozwiązanie umów o pracę za zwykłym wypowiedzeniem. W trosce o interes płacowy załogi nie przewidywano w projekcie żadnych obniżek wynagrodzeń należnych pracownikom. Należy uznać to za przejaw zbytniego liberalizmu w podejściu do kwestii sankcji związanych z upadłością przedsiębiorstwa. W toku dyskusji zgłaszane były propozycje zmniejszenia funduszu płac dla załogi o 15 do 20 proc. Zespół opracowujący projekt ustawy przyjął jednak stanowisko, że sam fakt upadłości przedsiębiorstwa jest dla załogi wystarczająco dokuczliwy i dlatego nie mają uzasadnienia sankcje płacowe.

Z chwilą ogłoszenia upadłości sąd wyznacza tzw. syndyka masy upadłościowej spośród osób znających ekonomikę i organizację przedsiębiorstw. Syndyk przejmuje zarząd nad upadłym przedsiębiorstwem. Do obowiązków syndyka należy zgłoszenie upadłości w rejestrze przedsiębiorstw państwowych oraz umieszczenie w centralnym dzienniku wezwania do wierzycieli o zgłaszanie w ciągu trzech miesięcy swych roszczeń. Po upływie tego czasu sędzia-komisarz wyznacza z urzędu rozprawę dla zawarcia układu z wierzycielami. W przypadku, gdy do takiego układu nie dojdzie sędzia wyznacza termin, w ciągu którego jednostki gospodarki uspołecznionej mogą zgłaszać oferty nabycia upadłego przedsiębiorstwa. Jeśli nie będzie nabywców całego przedsiębiorstwa, syndyk przystąpi do sprzedaży poszczególnych elementów majątku.

Ważną częścią projektu ustawy jest problem odpowiedzialności dyrektora i samorządu załogi za spowodowanie upadłości przedsiębiorstwa. W projekcie ustawy silnie zaakcentowana jest odpowiedzialność dyrektora; przewiduje się niezwłoczne odwołanie dyrektora, jeśli ustanowienie zarządu komisarycznego lub ogłoszenie upadłości było skutkiem zaniedbań czy niekompetencji dyrekcji. Przewidziano także sankcje finansowe wobec dyrektora, a mianowicie odszkodowanie za straty powstałe z tzw. „winy nieumyślnej" w wysokości sześciomiesięcznego wynagrodzenia. Oprócz tego proponuje się wprowadzenie dodatkowej sankcji dla dyrektora upadłego przedsiębiorstwa w postaci zakazu zajmowania w okresie 5 lat stanowisk kierowniczych w gospodarce uspołecznionej. Uchylenie tej sankcji może nastąpić wówczas, gdy postępowanie sądowe ustali, iż dyrektor nie ponosi winy za bankructwo przedsiębiorstwa, którym zarządzał.

Odpowiedzialność członków rady pracowniczej za upadłość przedsiębiorstwa można określić jako symboliczną. Polega ona na pozbawieniu ich biernego prawa wyborczego do organów samorządu załogi w okresie 5 lat od odwołania rady. Również i w tym przypadku zaproponowano możliwość uchylenia tej sankcji przez sąd.

W formie rekapitulacji należy stwierdzić, że myśl przewodnia przebijająca w projekcie ustawy o uzdrowieniu i upadłości przedsiębiorstwa jest słuszna. Wyeksponowanie w projekcie problemu uzdrowienia przedsiębiorstwa i potraktowania upadłości jako rozwiązania ostatecznego zasługuje na pozytywną ocenę. Nie oznacza to, że projekt ustawy jest wolny od uchybień czy uproszczeń, a nawet pewnych mielizn, które powinny być wyeliminowane, jeśli kategorie uzdrowienia i upadłości przedsiębiorstwa mają skutecznie pełnić funkcję pobudzania zainteresowania załogi i kierownictw efektywnością gospodarowania. Do omawianych wcześniej słabości projektu należy dodać inne: np. ograniczenie możliwości uzdrowienia przedsiębiorstwa tylko przez organ założycielski. A przecież w procesie uzdrowienia można by wykorzystać środki finansowe innych podmiotów np. wierzycieli, przedsiębiorstw bądź zrzeszeń zainteresowanych ratowaniem upadającego przedsiębiorstwa.

Dzieci z ulicy Tkackiej

WŁODZIMIERZ MIECZKOWSKI

Powstała w roku 1963 staraniem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Początkowo mieściła się przy ul. Wólczańskiej, gdzie przebywało sześćdziesięcioro dzieci tylko z terenu Łodzi. Później — w roku 1972 — przeniesiono ją na ul. Tkacką, gdzie znajduje się do dziś. Dzielnica to wymarzona: spokój, cisza, a pod bokiem Park im. 3-Maja. Brak ruchliwych skrzyżowań, ale jednocześnie wszędzie stąd blisko.

Dziś uczy się tam setka dzieci od 8 do 17 roku życia. Piętnaścioro z nich przebywa na stałe — po prostu nie ma ich kto zabrać. Ale te liczby nie ukazują potrzeb, lecz tylko możliwości szkoły.

Z badań przeprowadzonych przez Polską Akademię Nauk na temat sytuacji ludzi niepełnosprawnych i stanu rehabilitacji w Polsce wynika, że owi ludzie stanowią ok. 14 proc. ogółu ludności naszego kraju. Wiadomo również, że wiele dzieci upośledzonych nie podlega opiece specjalistycznej, jak również nigdzie nie pracuje. Ukryci przed światem przebywają w domach rodzinnych. I jest to zrozumiałe, gdy są to domy z tzw. ciepłem rodzinnym. Ale życie uczy, że nie zawsze tak bywa. Jednak nawet w tych prawdziwych domach przychodzi moment, kiedy rodzice starzeją się, niedołężnieją i coraz trudniej jest im sprawować należytą opiekę nad swymi kalekimi dziećmi. Wtedy — na wszelką pomoc jest już zbyt późno. Nadto, a może przede wszystkim, stracona jest już na zawsze szansa przystosowania ich do życia w społeczeństwie — gdyby nawet było to tylko wyizolowane środowisko ludzi ułomnych.

Właśnie takie warunki, a w miarę upływu czasu coraz lepsze, może im stworzyć szkoła połączona z warsztatami, po ukończeniu której znaleźliby odpowiednią pracę w spółdzielczości inwalidzkiej.

Czy istnieje szansa na zrealizowanie takiej idei w naszym mieście, gdzie potrzeby wspomnianych osób są bardzo duże?

We wrześniu 1976 roku dyrekcję Państwowego Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Upośledzonych im. H. Jordana w Łodzi obejmuje pani ZOFIA SZYMUROWA. Właśnie od tego czasu zaczęło się współdziałanie ze środowiskiem lokalnym tj. samorządem mieszkańców i Łódzkimi Zakładami Wytwórczymi Kopii Filmowych.

„To było wzruszające — wspomina pani dyrektor — *kiedy ludzie z własnej woli przychodzili z łopatami i grabiami, by porządkować teren. Dziś nie warto już tego wspominać, ale... trochę nam było przykro, gdy opuszczająca teren inna szkoła, w której uczy się młodzież zupełnie sprawna, zabrała z sobą drzewa, krzewy, a nawet... warstwę gleby. Pozostały wykopki i pagórki. Naszym dzieciom było bardzo ciężko. Bo widzi pan, u nas przebywają dzieci upośledzone w stopniu umiarkowanym i znacznym. Te najbardziej upośledzone są na ul. Spadkowej. Część z nich pochodzi z Domu Małego Dziecka — są bez rodziców, 20 proc. pochodzi z domów normalnych, a reszta to tacy, z których rodzicami trudniej nawiązać kontakt niż z naszymi wychowankami".*

— Skąd taka nazwa — „szkoła życia"?

„Nazwa wskazuje co my tutaj robimy — właśnie przygotowujemy do życia. Widzi pan, u nas jedynie w sporadycznych przypadkach dziecko potrafi się podpisać — właściwie to odwzorować swoje nazwisko. Ale to nawet wcale nie jest ważne. Ważne jest to, żeby ono umiało się ubrać, najeść i jakoś się zachować w normalnym środowisku, a więc w tramwaju, na ulicy. Po prostu, żeby swoim zachowaniem nie zwracało uwagi innych. Aby umiało but zasznurować."

Młodzież, która uczęszczała do tej szkoły odbywa praktyki w spółdzielczości inwalidzkiej. Po ukończeniu szkoły dzieci, które znajdą tyle szczęścia, by trafić do spółdzielczości — pracują tam i stają się potrzebne. Mają stałe środowisko, coś wykonują i dostają za to wynagrodzenie. Po pracy mają możliwość rehabilitacji fizycznej. Ta grupa stanowi 15 do 20 proc. Pozostali, jeśli mają zdrowszych rodziców niż sami są, pozostają w domu. Ale jest bardzo dużo takich, których czeka ciężki los.

— I co się dalej z nimi dzieje? — pytam pana MARIANA SKOTNICKIEGO Przewodniczącego OKON, pracownika Zakładów Wytwórczych Kopii Filmowych.

— Niestety, trafiają wtedy do domów opieki społecznej, gdzie są skazani na pobyt z ludźmi starymi, schorowanymi. I siłą rzeczy... umierają na żywo. Umierają w tym sensie, że zaprzepaszczone są szanse odzyskania ich dla społeczeństwa. Po prostu niedołężnieją razem z tymi ludźmi. Właśnie to jest najbardziej przykre. Dlatego ludzie, którzy zauważyli ten problem starali się znaleźć jakieś wyjście. I w ten sposób powstała myśl budowy Domu Stałego Pobytu i Rehabilitacji Młodzieży Niepełnosprawnej.

— Co zmieniłby w ich życiu ten Dom?

— Młodzież, która opuszcza „szkołę życia" otrzymuje pierwszą grupę inwalidzką i z tego tytułu dostaje skromny dodatek w wysokości tysiąca złotych.

— Dodatek do czego?

— Właściwie — dodatek do życia, do niczego więcej. Jeśli dziecko jest pod opieką rodziców, to jakoś żyje. Ale jeśli nie — to jest z nim bardzo źle.

— Czyli, jeśli dzieci nie są na tyle sprawne, by znaleźć pracę w spółdzielczości, to owe tysiąc złotych stanowi dla nich jedyny środek do życia...

— Tak, tak nie inaczej. A w tym domu znaleźliby stanowisko pracy przez pięć lat, mogliby przebywać na stałe i wypracować sobie rentę inwalidzką, do której w myśl ustawy otrzymaliby trzydziestoprocentowy dodatek z tytułu inwalidztwa. I to pozwoliłoby im żyć na jakimś poziomie.

Obecnie spółdzielczość inwalidzka jest w stanie zatrudniać jedynie najzdolniejszych absolwentów „szkoły życia". Ale chciałaby przyjąć dużo więcej. Tak się składa, że Zarząd Spółdzielni Inwalidów MORS umie połączyć przyjemne z pożytecznym. Czyli znaczny zysk ze sprzedaży swoich produktów z rehabilitacją zawodową i fizyczną swych pracowników. Istniejący tam od roku 1966 Zakład Pracy Chronionej przeznaczony jest właśnie dla młodzieży umysłowo upośledzonej. Z uwagi na duże potrzeby środowiska łódzkiego zakład ten przy ogromnym wysiłku kierownictwa spółdzielni został na przestrzeni wielu lat znacznie rozbudowany i zatrudnia dziś 170 osób. W roku 1972 z inicjatywy kierownika spółdzielni została uruchomiona klasa przysposobienia zawodowego dla dzieci upośledzonych w szkole na Tkackiej. Za tę inicjatywę i osiągane efekty w wychowaniu Spółdzielnia MORS została dznaczona Medalem Pamiątkowym Komisji Edukacji Narodowej. Z wieloletnich doświadczeń Prezesa Zarządu Spółdzielni Inwalidów MORS ALFREDA ŁUKOWICZA wynika, że istnieje pilna potrzeba objęcia opieką inwalidów poza godzinami pracy, przez stworzenie im warunków domowo-rodzinnych. Znaczna ich część cierpi na brak elementarnej pomocy ze strony rodziny, złe odżywianie, nieprzestrzeganie higieny osobistej. Znane są przypadki sprzedawania ich własnej odzieży przez opiekunów, nakłaniania do niemoralnego prowadzenia się i wyrzucania dzieci z własnego domu.

Osiągnięcia spółdzielni w rehabilitacji zawodowej i społecznej są w ten sposób od wielu już lat niweczone przez środowisko, w którym młodzież bytuje. Ale na szczęście istnieje również znaczna grupa opiekunów z prawdziwego zdarzenia. Właśnie ci stale przypominają o problemie dalszej opieki nad młodzieżą kaleką, która do samodzielnego życia nie jest przygotowana. W takiej sytuacji grozi im wyłącznie zakład zamknięty.

W roku 1975 Prezes Spółdzielni MORS wystosował pismo do Dyrektora Centralnego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych dotyczące projektu budowy domu opieki dla inwalidów upośledzonych umysłowo. Już wówczas, w oparciu o ośmioletnie doświadczenia, widziano taką potrzebę.

— Ale nasza sprawa — mówi prezes ŁUKOWICZ — *została odstawiona na boczny tor, tzn. na półkę spraw, które nie doczekają się nigdy realizacji. W tym momencie największy optymista stałby się największym pesymistą. Mógłbym napisać powieść o tym, jak chodziłem wokół tego tematu. Ponadto przez ostatnie piętnaście lat nie było klimatu dla rozwoju spółdzielczości. Dominował wielki przemysł. Ale nie załamaliśmy się. Jednak już dziś nie wyobrażam sobie, aby ten temat został potraktowany jako niemożliwy do realizacji. Myślę tu zarówno o względach społecznych, jak i humanitarnych.*

Rok 1981 był ogłoszony przez UNICEF Rokiem Osób Kalekich i Niepełnosprawnych. W kwietniu tegoż roku w „szkole życia" przy ul. Tkackiej zebrali się przedstawiciele terenowych ogniw FJN, władz partyjnych, administracyjnych i oświatowych, służby zdrowia oraz spółdzielczości inwalidzkiej, którzy podejmując myśl budowy Domu Stałego Pobytu i Rehabilitacji Młodzieży Niepełnosprawnej — powołali Komitet budowy tego Domu.

Młodzież będzie tam mogła znaleźć:

— miejsce stałego zamieszkania, jeżeli dom rodzinny nie będzie w stanie zapewnić odpowiedniej opieki;

— miejsce przyuczenia do zawodu odpowiedniego do stopnia upośledzenia i rodzaju kalectwa;

— miejsce pracy pod kierunkiem specjalistów ze spółdzielczości inwalidzkiej i stałą opiekę służby zdrowia.

Sprawa dojrzała już na tyle, aby mogły ją przejąć władze naszego miasta, które dotąd jakby nie dostrzegały istoty problemu. Bowiem wydawać by się mogło naturalne, że istnieje w społeczeństwie grupa ludzi kalekich, którzy zawsze pozostaną na uboczu normalnego życia. Mają przecież swoją specjalną szkołę i spółdzielczość inwalidzką, więc cóż im więcej potrzeba poza naszym współczuciem? A jednak... Tylko w ciągu kilku ostatnich lat Zakład Pracy Chronionej opuściło dziewiętnaścioro dzieci, które przeszły do pracy w zakładzie otwartym, a trzy osoby mogły podjąć pracę poza spółdzielnią inwalidów. A co znaczy dla tych ludzi wyrwanie się ze środowiska kalek i życie wśród ludzi zdrowych — tego chyba mówić nie trzeba.

Dzieci z ul. Tkackiej 34/36 nie są już dziś „naszymi biednymi dziećmi." Dzięki ludziom oddanym sprawie mają już na koncie ponad osiem milionów złotych.

Chcę misia...

JACEK BINKOWSKI

Z dzieckiem zawsze kojarzy się nam zabawka. Również dziecku świat zaczyna się kojarzyć poprzez zabawki. Trudno sobie wyobrazić dziecinny pokój bez pudła albo regału z zabawkami. Sprawa oczywista i bezdyskusyjna.

Tymczasem z naszymi rodzimymi zabawkami coraz gorzej. Mój sześcioletni przyjaciel zwierzył mi się, że jego największą radością jest otrzymywać paczki z zagranicy, bo w paczkach są ładne zabawki. A zabawki, które mu kupuje tatuś i mamusia wcale mu się nie podobają i już...

Mamusi mojego małoletniego przyjaciela też się nasze zabawki nie podobają. Ale cóż zrobić jak zbliża się gwiazdka albo imieniny. Trzeba brać to co jest w sklepach. I drogo płacić, bo ceny też kosmiczne.

Nie jedyne to, niestety, opinie na temat misiów, lalek i innych cacek dla miłusińskich.

Z przemysłem zabawkarskim jest bardzo kiepsko. Brakuje przede wszystkim surowca, brakuje też maszyn i brakuje ludzi. Krótko mówiąc — brakuje wszystkiego. Co prawda przemysł zabawkarski to ponad 5 milionów produkcji, to 20 tysięcy zatrudnionych w 47 spółdzielniach. Niemniej jednak wizja jest nieomal katastroficzna.

W roku wychodzi około 2500 wzorów różnych zabawek. Nie pofatygowałem się policzyć w sklepie jaki jest asortyment, ale z czystym sumieniem można stwierdzić, że słaby. Jak mówią kierownicy sklepów — 200—300 wzorów w najlepszym układzie.

Dziwnym wydaje się również fakt, że półki w sklepach zabawkarskich, w przeciwieństwie do innych są pełne. Niemniej jednak handel oświadcza, że tylko w kilkudziesięciu procentach zrealizowane jest zapotrzebowanie. Z czego to wynika? Sądzę, że z miernoty. Nasze zabawki są brzydkie i tandetne. Dzieci można nimi co najwyżej straszyć.

W SKLEPIE ZABAWKARSKIM

można poznać opinie osób bezpośrednio zainteresowanych, krótko mówiąc klientów.

Irena Barczewska — kierowniczka:

— Proszę pana, towar zaczyna się już odkładać. Niektóre zabawki zapełniają magazyny. Raz, że brzydkie, dwa, że ludzie zaczynają się liczyć z pieniędzmi. Po co wyrzucać w błoto. Chociaż zabawki to specyficzny towar, w końcu trzeba je kupować jakie by nie były. Klienci na temat drogich i brzydkich zabawek mówią różnie. Jeden powie, że świństwo, wielkie g..., inny nazwie lalkę potworem, a jeszcze inny zdaje sobie sprawę, że coś dziecku trzeba jednak kupić. I kupuje, bo nie ma innego wyjścia, innej możliwości.

Jest popyt na zabawki importowane. Kiedy jest dostawa, ludzie ustawiają się w kolejce. I nic w tym dziwnego, zabawki importowane nie są wcale droższe, a o wiele ładniejsze. Podam przykład. Ostatnio mieliśmy niemieckie lalki po 370 zł. Naprawdę śliczne, ładnie ubrane, z przyjemnym wyrazem twarzy. Tymczasem nasza, krajowa, lalka za 400 zł jest o wiele brzydsza i mniejsza. Dlatego leży na półce i nikt się po nią w kolejce nie ustawi.

Albo pokażę panu dwa pociągi. Jedna kolejka niemiecka za 160 złotych — ładna kolorystycznie, lekka, ładnie opakowana. A teraz kolejka z wytwórni w Strykowie. Cena prawie o sto złotych wyższa, a jaka szkaradna. Zwykłe drewno, nieestetyczna, ciężka, prawie bez opakowania. I kto ją kupi, ja się pytam?

W tymże sklepie widziałem prawdziwą paskudę. Małą laleczkę wyprodukowaną przez Sp-nię „Miś" w Siedlcach. Laleczka z potwornym wyrazem twarzy z wytrzeszczem oczu, paskudnie ubrana i w ogóle niezgrabna i obrzydliwa. Za jedyne osiemdziesiąt złotych. — Pytanie — kto ją kupi i kto dopuścił taki wzór do produkcji? Podobno istnieje Komisja Oceny Zabawek, w skład której wchodzą przedstawiciele oświaty, handlu, lekarze i psycholodzy. Komisji pewnie laleczka się podobała. Moim zdaniem jest świetnym prezentem dla dzięci niegrzecznych. Za karę.

Nie jedyny to przykład, niestety. Podobno forma, czyli kształt i wyraz twarzy lalek nie jest uzależniony od wykonawcy tylko od opracowania plastycznego. Plastycy mają więc kiepskie gusty. Faktem jest, że opinie o zabawkach są bardzo subiektywne, niemniej jednak bywają zabawki, które nie podobają się nikomu. Nawet dzieciom...

TE POTWORKI PRZESTANĄ BYĆ W KOŃCU KUPOWANE

powiedział dyrektor Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Zabawkarskiego i Artykułów Politechnicznych w Łodzi Krzysztof Wagner.

— Przemysł zabawkarski przeżywa kryzys. Przede wszystkim brakuje surowca. Proszę sobie wyobrazić, że samoloty do klejenia z tworzywa sztucznego wykonujemy z ...pojemników na mleko. Kupujemy zużyte pojemniki, następnie przechodzą przez młyny i już jest surowiec.

Albo opakowania. Proszę porównać dwa modele samolotów — czeski i polski. Opakowanie czeskie zachęca do kupna, chociaż w środku model beznadziejny. Nasz samolocik nawet znośny, ale opakowanie odstrasza. A szkoda, wytworzenie takiej zabawki kosztuje około 12 złotych, na Zachodzie można dostać dolara. Czysty zysk i są dewizy na zakup surowca, barwników, maszyn.

— Jeżeli chodzi o lalki, jesteśmy bardzo daleko z tyłu w porównaniu z innymi krajami w technologii — nie mamy się z czym wychylać. Zabawki tzw. miękkie — pluszowe misie i szmacianki — brak surowca. Koło się zamyka.

Najbardziej bulwersujący jest fakt, że dla najmłodszych dzieci, niemowlaków zabawek nie ma w ogóle. Ani ładnych, ani brzydkich. Po prostu w ogóle. Podobno brakuje również barwników, a te, które posiadamy mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia dziecka. Tak więc za wyjątkiem smoczka lub innego gryzaczka nasze maluchy nie mają nic do zabawy. Muszą dać sobie radę bez zabawek.

Brakuje też zabawek dla dzieci starszych, o tzw. wyższym wykształceniu politechnicznym. Cóż, wbrew temu, co mówiono kilka lat temu o rozwoju polskiej elektroniki — jesteśmy bardzo do tyłu — nie ma podzespołów do sterowania. Co prawda w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym są projekty takich mechanicznych czy elektronicznych zabawek, ale wyliczono, że cena takiego cacka wynosiłaby przynajmniej połowę średniej pensji. Zdecydowano się nie produkować, po co jątrzyć, bulwersować klientów. Właściwie słusznie, nawet gdyby tatuś kupił synkowi jeżdżący samochód, to skąd weźmie baterie...

W ZASADZIE PRZERABIAMY ŚMIECI...

zwierzył się reporterowi z-ca prezesa d.s. technicznych Łódzkich Zakładów Zabawkarskich „Spójnia" — Edward Filirski.

— Otrzymujemy tylko 20 procent surowca, jaki jest nam potrzebny. Niemniej jednak przemysł zabawkarski się rozwija. Ano, produkujemy z surowców wtórnych. Z worków po nawozach, ze zmielonych cewek przędzalniczych, z pojemników różnego rodzaju. Wiadomo, że z takiego surowca nie uzyskamy odpowiedniej kolorystyki i odpowiedniej jakości. Poza tym, co wydaje się paradoksalne, wpływa to również na koszt zabawek. Okazuje się bowiem, że w większości przypadków taki przerób surowca wtórnego jest droższy od normalnego...

Tak więc zabawki mamy również ze „śmieci" i co ciekawe są one droższe od tych robionych z przydziałowego surowca. Ciekawe tylko czy bardziej zdrowe? A swoją drogą, każdy zdrowo myślący człowiek zaproponowałby przerabianie starych zabawek na ten przykład, na plastykowe nocniki. Nigdy odwrotnie. Dlaczego tak się dzieje, że jest inaczej, nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Prezes Edward Filirski:

— W rządowym programie operacyjnym przemysł zabawkarski nie został uwzględniony, jeżeli chodzi o przydział surowca. Zabawki zostały wyłączone z listy artykułów pierwszej potrzeby. Uważam, że to jest błąd, jakaś nieuzasadniona psychoza. Dopóki tak będzie nie ruszymy do przodu z przemysłem zabawkarskim.

Tyle bezradni przedstawiciele przemysłu. Co na ten temat mówią specjaliści od rozwoju dziecka?

Barbara Urbaniak — psycholog z Zakładu Propedeutyki Pediatrii Instytutu Pediatrii AM:

— Zabawka jest jednym z bodźców rozwojowych dziecka. Zabawka kształci i rozwija. Wiadomo, że małe dziecko poznaje świat poprzez zabawki. Tymczasem zabawek brakuje.

Nie ma nic dla najmłodszych dzieci — nie ma klocków, które rozwijają wyobraźnię i sprawność ruchową, nie ma grzechotek, bączków. Na razie nie wiadomo, jak to może wpłynąć na psychikę, niemniej jednak za parę lat okaże się czy pokolenie „bezzabawkowe" rozwija się prawidłowo.

— To co mamy aktualnie na rynku jest szkaradne. Zabawki są bardzo brzydkie, spaczają obraz świata, nie wyrabiają wyobraźni i poczucia estetyki. Czy widział pan na przykład zabawkę — zwierzątko, która byłaby podobna do prawdziwego zwierzaka? Te, które są, dejormują rzeczywistość, to widzenie małego dziecka. W przypadku dzieci wychowywanych w normalnym domu nie ma wielkiego problemu. Dziecko ogląda zdjęcia, telewizję, chodzi do ZOO i w ten sposób sobie te braki rekompensuje. Natomiast w Domach Dziecka jest inaczej. Tamte dzieci właściwie poprzez zabawki i tylko zabawki poznają świat. Nie mają możliwości konfrontacji. Jak one ten świat sobie wyobrażają oglądając paskudną lalkę, albo do niczego niepodobnego pieska lub kotka?

— Zabawki powinny być realistyczne i ładne. Tymczasem zalewa nas tandeta, która jest bardzo szkodliwa. Ani nie rozwija, ani nie kształci. Nie spełnia więc swojej roli. Są, bo są i na tym koniec.

— Na szczęście niektóre dzieci mają dobry gust i odrzucają w kąt brzydkie lalki lub miśki.

— Inną, skandaliczną sprawą są ceny. Okazuje się, że do w miarę przyzwoitych zabawek mają prawo tylko dzieci zamożnych rodziców. Do zabawek, które są przecież artykułem pierwszej potrzeby...

Kontrowersje wokół zabawek trwają. Z jednej strony brakuje surowca, z drugiej jednak szwankują plastycy, którzy projektują potworki. Misia podobnego do psa, albo słonia do małpy nie można tłumaczyć obiektywnymi trudnościami. Osiemset złotych za pluszowego niedźwiadka to też lekka przesada.

Projektowanie zabawek odbywa się przy nikłym udziale pedagogów, psychologów i przedstawicieli handlu, którzy najlepiej znają gusty potencjalnych odbiorców. Rzemieślnicy wypuszczają na rynek tandetę robiąc na tym niezłe pieniądze samofinansujące się spółdzielnie myślą o „utrzymaniu się przy życiu" nie dbając o innowacyjność.

Sytuacja jest o tyle niedobra, że bez zabawki dziecko trudno wychować. Kupuje się więc drogie i brzydkie przedmiociki przypominające samochód, psa, lalkę lub pociąg.

Dzieci muszą się po prostu przyzwyczaić do kryzysowej tandety. A te najmłodsze, dla których zabawek po prostu nie ma... mają przecież w domu szklankę, widelec, talerzyk i inne przedmioty zastępcze.

Mamo, kup misia ŁADNEGO!!! — pewnie kiedyś zagrzmi.

Świat ginących wiatraków (4)

Korespondencja z Węgier

Don Kichot by się ucieszył

Bezrobotny byłby dziś Don Kichot na Węgrzech. Błędny rycerz z La Manchy ruszał do boju wówczas, kiedy śmigła wiatraków poruszały się niby olbrzymie skrzydła potworów. Na Węgrzech nie uświadczysz już kręcących się śmig wiatracznych. Nie, przepraszam, jest mały wyjątek. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Na zagraniczną, reporterską „herbergę" wiatraczną wyruszyłem wiedziony wiadomością, że my Polacy, myśl konstrukcji wiatraków mieliśmy ponoć przejąć od braci Czechów i Madziarów. Tak oświadczył w pierwszym zdaniu swojego artykułu Wojciech Plutowski w „Głosie Wielkopolskim" nr 34 (z dn. 10.II.1978). Niestety, nie znalazłem potwierdzenia tej informacji ani w Czechosłowacji, ani na Węgrzech.

W Budapeszcie, w Zespole Badań Etnograficznych Węgierskiej Akademii Nauk, byli nieco zaskoczeni tą wiadomością i obiecali, że sprawdzą ją, ale na to trzeba czasu.

— U nas nie trzeba już walczyć z wiatrakami — powiedział mi dr Szelmeczi-Kovàcs Attila — kiedyśmy siedli nad starymi szkicami młynów i mapą Węgier, na którą, dla potrzeb naszych turystów — miłośników młynarstwa wietrznego chciałem nanieść lokalizację wiatraków węgierskich. — U nas, w znacznie większym niż w Polsce stopniu, skuteczną walkę z wiatrakami podjął nie Don Kichot a czas.

POZNAJĘ HISTORIĘ I TECHNIKĘ

— Od którego wieku datuje się historia waszych młynów wietrznych?

— Od chwili zajęcia przez Węgrów terenów nad Cisą i Dunajem, a więc od 1050—1060 roku. Pisane wiadomości o wiatrakach pochodzą z pierwszej połowy XV wieku.

I tu przerwę relację z rozmowy w Budapeszcie, by przypomnieć Ci, Czytelniku, informacje historyczne o naszych młynach wietrznych. Zaczerpnąłem je z książki Bohdana Baranowskiego pt. „Polskie młynarstwo". Na stronie 17 profesor pisze: „...Na ziemiach polskich pierwsze młyny pojawiły się z pewnością już w XII wieku, a być może jeszcze w końcu XI stulecia. Są to jednak wciąż zagadnienia sporne, wywołujące wiele zastrzeżeń i powodujące pewne kontrowersje między badaczami. Mimo tych różnych niejasności można przecież wysunąć przypuszczenie, że w XII w. młyny były jeszcze na ziemiach polskich bardzo nieliczne i o ich powszechności raczej nie należy mówić. Miała ona miejsce dopiero w XIII w., a raczej w drugiej połowie tego stulecia..."

Z innych źródeł wiemy, że najwięcej było ich w XVIII wieku.

Na Węgrzech, mówiąc o początkach, także wspomina się o XI stuleciu. Były to koźlaki budowane z drewna (w kierunku wiatru ustawiało się cały budynek osadzony na trójkątnym koźle). W XVII w. zaczynają się pojawiać wiatraki typu holenderskiego (ruchoma jest tylko górna, dachowa część tzw. czapa lub hełm, zawierająca urządzenia śmigowe). I tu powracam do rozmowy z dr Kovacsem.

— „Holendry" były bardziej wydajne i zaczęły wypierać „koźlaki". W dodatku w czasie częstych wojen dawały one schronienie większym grupom ludzi i wojska, były bardziej odporne na ogień. „Koźlaki" pozostały w nielicznych zagrodach, służąc jako młyny gospodarcze dla potrzeb właściciela, ale pod koniec drugiej wojny światowej większość z nich została zniszczona.

Generalnie trzeba jednak powiedzieć, że u nas powszechniejsze od wiatraków były młyny wodne i młyny suche...

— Młyny suche?

— Tak. Na Wielkiej Nizinie Węgierskiej uważano, że wiatr jest mniej godny zaufania niż siła wołu czy konia. Dlatego budowano tam inne młyny. Był to budynek w kształcie stożka, w którym było płasko usytuowane koło, rodzaj ogromnego kieratu napędzanego przez zwierzęta.

— To rozumiem już te stare ilustracje, na których widzę dwa obok siebie stojące budynki. Jeden właśnie o stożkowym dachu, często nie obudowany, jedynie oparty na konstrukcji słupowej. To był właśnie ten maneż z kieratem...

Tu znowu sięgam do moich notatek historycznych przywiezionych z Polski. Cytowany już prof. Baranowski pisze („Młynarstwo polskie", str. 45):

„...Poruszane kieratami młyny zwierzęce przeważnie konstruowane były w ten sposób, że w trzykondygnacyjnym budynku w najniższej kondygnacji znajdował się kierat, natomiast na wyższych, podobnie jak w wiatraku, umieszczone były urządzenia produkcyjne. Młyny konne pracowały przeważnie przez niewielką liczbę dni w roku, jedynie tylko może w większych miastach przez większą jego część. Wydajność młyna była też na ogół niezbyt duża. Biorąc pod uwagę wysokie koszty wyżywienia sprzężaju, eksploatacja takiego młyna wynosiła znacznie drożej niż poruszanego siłą wody lub wiatru. Natomiast jego plusem było to, że mógł pracować niezależnie od złych warunków meteorologicznych, które paraliżowały niekiedy działalność innych młynów, a więc gdy nie było wiatru, w okresie suszy czy też zamarznięcia wód..."

Mój węgierski gospodarz zwrócił uwagę na duże koszty sprzężaju.

— W okresie, kiedy we młynach było szczególnie dużo pracy, a więc po żniwach, na Wielkiej Nizinie Węgierskiej, przyjeżdżający do przemiału chłopi, do kieratu zaprzęgali swoje zwierzęta. To przyspieszało pracę, skracało czas oczekiwania i zmniejszało opłatę za przemiał...

Skoro korzystam z informacji prof. Baranowskiego, godzi się też dodać, że w Polsce...

„...Osobnym typem młynów zwierzęcych były tzw. deptaki. Funkcjonowały one na tej zasadzie, że konie lub rzadziej woły drepcząc w miejscu na samym wierzchu koła poruszały go swym ciężarem... Na przełomie XVIII i XIX w. było w Warszawie kilka deptaków. Młyny te jednak spotykało się tylko w większych miastach, gdzie ze względu na brak miejsca trudno było instalować kieraty. Z uwagi na znaczny koszt budowy i spore trudności eksploatacyjne nie rozpowszechniły się one nigdy..." („Młynarstwo...", str. 45).

Uzupełniwszy naszą wiedzę na temat polskich młynów suchych, wracam do rozmowy z dr Kovacsem. Dowiaduję się z niej, że nad rzekami, a najczęściej na rzekach, budowano tzw. młyny statkowe. Główny budynek wznoszony był na barce, a na mniejszej łódce czy pływaku, osadzone było koło turbinowe. Często znajdowało się ono na osi między pływakiem, a budynkiem młyńskim. W ubiegłym stuleciu, w samym Budapeszcie, na Dunaju pracowało ponad 100 takich młynów statkowych. U nas takie młyny na łodziach znane były już w XIII wieku. Spotykało się je na Wiśle, Odrze, Warcie i Dunajcu.

— Tak więc patrząc na dawną mapę Węgier, to w środkowej części dzisiejszego kraju, między Dunajem a Cisą, najwięcej było wiatraków, a obok nich młyny suche, jako uzupełnienie. Praktycznie we wsiach, na jeden wiatrak przypadało 10 młynów suchych. W terenach górzystych, bardziej na północ, gdzie więcej było strumyków i rzeczek, budowano młyny wodne. Podobnie w części zachodniej, na tzw. Zadunaju. Ale i tam spotykało się młyny suche. Bywało, że nad jednym potokiem zlokalizowanych było 8—10 młynów, a korzystali z nich rolnicy ze wsi oddalonych nawet o 40—50 km. W tej sytuacji po żniwach, kiedy we młynach ruch był duży i ziarna też sporo, bywało, że wyprawy do młyna trwały nawet i dwa tygodnie (zwłaszcza z oddalonych wsi). Często więc chłopi zabierali ze sobą część rodziny i inwentarza. Taki wyjazd do młyna dla ówczesnej rodziny chłopskiej był wielkim wydarzeniem, zwłaszcza na Wielkiej Nizinie Węgierskiej. Wokół młyna koczowały całe rodziny, a młynarz był postacią niezwykle ważną, animatorem życia, często swatem i rozjemcą.

— A formy zapłaty?

— Za przemiał pobierano cło. Stanowiło to 1/10 przemielanego ziarna.

— U nas była to „miara", najczęściej 1/16, a więc 6,25 proc. mąki i otrąb. I tu dochodziło do konfliktów. Jak pisze prof. Bohdan Baranowski w Łódzkich Studiach Etnograficznych (tom VII z 1965 r., str. 79) „...dość często spotykane są opowiadania o młynarzach pokutujących „za złą miarę..." Bo u chłopów najwięcej nieufności wzbudzała miara używana przez młynarzy... Nie bardzo rozumiał on dlaczego raz mierzono „z czubem", kiedy indziej zaś „pod strych". Nieufnością napełniało go potrząsanie miarą, co powodowało, że do danej miary (drewnianego naczynia — przyp. aut.) wchodziło więcej ziarna, niż gdy je wsypywano w delikatny sposób. A wreszcie wspomnieć trzeba o różnych sposobach ugniatania ziarna, mąki lub otrąb. Naturalnie tego rodzaju podstępy obracały się prawie zawsze na korzyść młynarza..."

— U nas było identycznie. W dodatku sprytny młynarz zanim przystąpił do wyspywania zboża do kosza wsypowego, pytał czeladnika.

— Pobrałeś cło?

— Tak — odpowiadał młynarczyk.

— A gospodarz widział?

— Nie.

— To idź i pobierz jeszcze raz, ale tak by to widział.

MŁYNY DZIŚ

Oj, oj, Don Kichocie, ależ się rozpędził w tych opowieściach folklorystycznych! A tematem tej korespondencji miały być wiatraki na Węgrzech. Przed stu laty było ich wiele. Węgrzy lubili wiatraki, bo młyny suche uważane były za męczące dla zwierząt, zwłaszcza dla koni, w których bracia Madziarzy są zakochani. W latach sześćdziesiątych minionego stulecia i tu zaczęły pojawiać się młyny parowe, a z czasem i silnikowe (benzynowo-ropne i elektryczne).

W czasie drugiej wojny światowej zorganizowano tzw. młyny centralne, w których można było kontrolować ilość przemielanego zboża i ustanawiać opłaty, bardzo niekorzystne dla rolników.

Bardziej uświadomieni politycznie chłopi zdawali sobie sprawę, że każdy przemiał w tych młynach centralnych wzmacniał administrację skompromitowaną współpracą z Hitlerem. I wówczas, także po części dla własnych oszczędności, zaczęto wznosić wiatraki miniaturowe (1/4 lub 1/5 wysokości normalnych), w których mielono dla celów gospodarczych, na karmę dla zwierząt. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że w tych wiatrakach gospodarczych mielono także mąkę i to nie tylko dla siebie.

Starzy młynarze, z których wielu od kilkunastu lat było bezrobotnych, wróciło do zawodu budując właśnie te wiatraki gospodarcze. Najwięcej ich powstało na terenie świata węgierskiej tanii, gdzie poszczególne zagrody oddalone są od siebie nawet o wiele kilometrów. Budowa tych młynków (tak się tu je potocznie nazywa) miała świetne uzasadnienie wobec władz.

— Z takimi wiatrakami gospodarczymi można spotkać się i u nas, zwłaszcza na Pogórzu. Ale nie tylko. Ja osobiście, w czasie minionych wakacji, taki sprawny i czynny, 5—6 metrowej wysokości, napędzający kamienie młyńskie, sieczkarnię, młockarnię i pilę tarczową, spotkałem na stodole p. Michała Babulewicza, mieszkającego we wsi Barczewo koło Bielska Podl., w woj. białostockim.

— Podobny do pańskiego, jeden z moich kolegów spotkał w miejscowości Hódmezövàsarhely koło Mindszent. Zbudowany z desek, do wiatru obracało się cały budyneczek. O, byłbym zapomniał. U nas istnieje jeszcze jeden typ wiatraków. Między miejscowościami Szentes a Kunszentmarton, gdzie płynie rzeka Körös, na jej rozlewiskach budowano wiatraki typu holenderskiego, których konstrukcja opierała się na trzech kołach. Dzięki temu cały wiatrak można było przetaczać w miejsce, gdzie aktualnie wiał silny wiatr.

— Czy takie „wędrujące" wiatraki można jeszcze spotkać na Węgrzech?

— Nie mogę powiedzieć. Ostatnio widziałem tam taki przed 15 laty. Tutaj muszę też zwrócić pana uwagę, że od czasu rozpoczęcia, w latach pięćdziesiątych, kolektywizacji rolnictwa węgierskiego, młyny, a zwłaszcza małe młynki gospodarcze, przestały mieć rację bytu. Na wsi nie piecze się już chleba w domowych piecach, nie ma więc potrzeby samemu mleć mąkę. Jest gotowa w sklepach. Także do celów paszowych śrutówki się już nie wytwarza. Dla dużych hodowli paszę dostarczają przemysłowe wytwórnie pasz. A o tym, że wiele z młynów to zabytki architektury i techniki wiejskiej, pomyślano dopiero kilka lat temu. Najczęściej jest już za późno...

Spoglądamy więc na mapę Węgier i próbujemy nanieść na nią istniejące jeszcze młyny wietrzne.

— Czy macie orientację ile jest w tej chwili wiatraków?

— Uratowanych 5—6.

— Tylko?

— Dziś tradycyjne wiatraki, ściślej ich szkielety, najczęściej spotyka się na Wielkiej Nizinie Węgierskiej. Najładniejszy, odbudowany, spotkać można w miejscowości Kiskundorozsma. Mniejszy w skansenie Pusztaszer. Niewielką ilość innych młynów, można jeszcze spotkać w okolicach Szegedu i w mieście Kiskunsag, gdzie urządzono Park Narodowy, gromadząc kilka wiatraków, niewielkich i niezupełnie oryginalnych.

— Czy w tej chwili macie opracowany generalny plan ratowania wiatraków? Sytuację niewątpliwie utrudnia fakt, że na Węgrzech dominują murowane „holendry", wiatraki ciężkie i trudne do przeniesienia do skansenów. Winny być zatem remontowane lub konserwowane in situ.

— Ma pan rację. Ostatnio zrodził się pomysł przestawienia jednego z wiatraków do centralnego skansenu w Szentedre. Prace konserwatorskie prowadzone są też w Hortobag i Kiskunsag. Gdyby w innych miejscowościach społeczność lokalna zmobilizowała się do akcji ratowania wiatraków i młynów, można by urządzić w nich ciekawe muzea młynarstwa czy mini-muzea wsi. Tak jak pan to proponuje w swoich publikacjach i audycjach. Ale my nie mamy radiowego Don Kichota, co to walczy nie z wiatrakami, a o wiatraki...

— To pan zna nasz cykl „Świat ginących wiatraków"?

— Oczywiście. Otrzymuję wycinki prasowe wszystkich krajów socjalistycznych na ten temat. A polscy przyjaciele znając moje zainteresowanie młynami, przysłali mi takie „Odgłosy", o, a pańskie artykuły nawet mam już przetłumaczone. Wynika z nich, że pana interesuje także folklor młynarski?

— Właśnie. I to jest drugi temat naszego spotkania.

— Ale nie dzisiaj. Muszę się do tego przygotować i ściągnąć „posiłki". Przyznam, że trochę zazdrościmy polskim wiatrakom, że mają swojego Don Kichota, walczącego o ich uratowanie i utrzymanie w krajobrazie.

— Jest nas wielu.

— To widać po ilości zachowanych i restaurowanych wiatraków...

Miałem zaprzeczyć, stwierdzić, że z tymi restaurowanymi i remontowanymi wiatrakami, to mała przesada, ale uprzytomniłem sobie, że faktycznie zaczyna się coś w tej mierze dziać. O wiatrakach przypomnieli sobie niektórzy wojewódzcy konserwatorzy zabytków (np. sieradzki), prywatni właściciele widzący szansę sprzedaży lub wynajęcia amatorom wypoczynku na łonie natury, czy ludziom łaknącym emocji w postaci zamieszkiwania pod jednym dachem z diabłami, z którymi niejeden młynarz miał spółkę. Ciekawe czy i na Węgrzech posądzano młynarzy o takie spółki? O tym niebawem.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI
„Don Kichot" Lata z Radiem

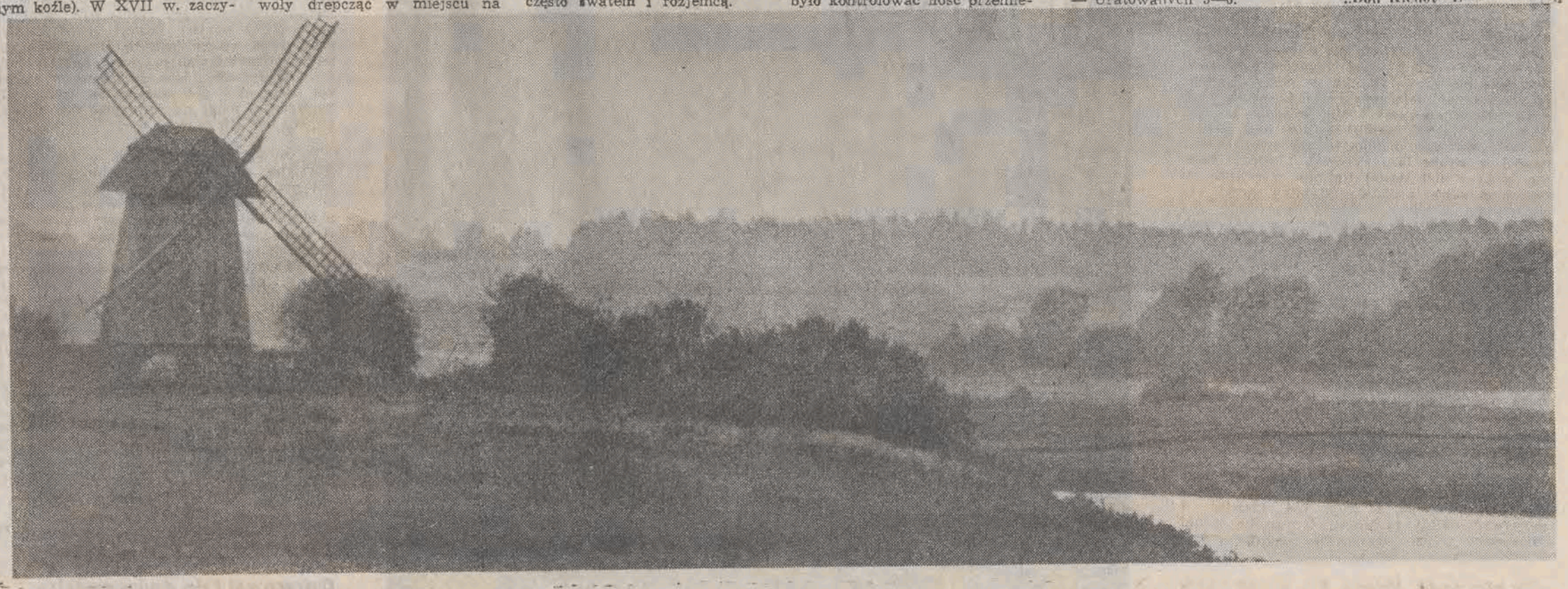

Foto: Archiwum

Tam gdzie dachy słomą kryte (5)

JERZY ŻUKOWSKI

VI. ODDZIAŁ GÓRALA

Pod koniec lipca 1944 r. armia radziecka wraz z oddziałami wojska polskiego zbliżyła się klinem w kierunku Warszawy. Spodziewano się jej dojścia do Wisły w ciągu najbliższych dni.

Sukcesy oddziału Sama, który działał już w terenie od miesiąca, skłoniły Komendę Okręgu Łódzkiego Armii Krajowej do podjęcia decyzji o utworzeniu drugiego oddziału partyzanckiego. Ochotników do niego było wielu, ale żaden z nich nie miał leśnego przeszkolenia. Dowództwo poleciło więc oddelegować kilku ludzi od Sama do dyspozycji por. Górala (Stanisław Krupczyński), który miał objąć dowództwo nowego oddziału.

Początkowo nikt nie chciał się zgodzić, ale później, po zapewnieniu, iż będzie można wrócić do oddziału Sama, zgłosili się: Melania, Wit, Koszka, Bąk, Mur, Leliwa oraz Nurek i na krótki czas — Gajda. W ten sposób powstał trzon oddziału Górala, który działać miał głównie w okolicy Głowna, zaś oddział Sama — w rejonie Koluszek. Obydwa oddziały miały nie wchodzić sobie w paradę, a jedynie na wypadek jakiejś większej akcji występować razem.

Po odejściu ochotników do Górala, w oddziale Sama zrobiło się smutno, gdyż wszyscy zdążyli już zżyć się ze sobą. 2 sierpnia 1944 r. przed południem na kwaterę do Felusia, gdzie znów zawitano, przybyła łączniczka Krystyna (Maria Cechnowska) z wiadomością o wybuchu w Warszawie powstania. Z związku z tym oddział prawdopodobnie ruszy na pomoc walczącej stolicy, ale dopiero po dozbrojeniu się.

Wiadomość ta wywarła na wszystkich bardzo silne wrażenie oraz wywołała radość, gdyż spodziewano się, że już niedługo — za przykładem Warszawy — cały kraj wystąpi przeciw Niemcom, tym bardziej, że wojska polskie i radzieckie były już blisko linii Wisły. Spodziewając się teraz jakichś poważniejszych zadań, chłopcy pełni byli zapału do walki z okupantem, wierząc w jej powodzenie. Liczono, że Niemcy pozostaną w kraju parę tygodni, zupełnie nie zdając sobie sprawy z możliwości oraz sytuacji politycznej w Polsce i całej Europie.

Tymczasem szóstka ochotników od Sama dotarła na kwaterę do wsi Florentynów i zameldowała się u por. Górala. Była już przy nim nieliczna grupa ludzi — głównie z Kedywu z okolic Głowna — bardzo słabo uzbrojonych, choć pełnych chęci do walki. Mając za sobą miesięczne doświadczenie partyzanckie, chłopcy od Sama zdziwieni byli już samym sposobem stania na kwaterze i swobodą zachowania się ludzi Górala. Nasuwały się pewne wątpliwości co do właściwej organizacji tworzenia oddziału, które Melania i Wit przekazali dowódcy, opowiadając także o sposobie prowadzenia oddziału Sama. Uwagi te przyjęte zostały ze zrozumieniem, ale wprowadzenie ich w życie nie było łatwe — głównie ze względu na brak doświadczenia i wyobraźni ludzi z Głowna.

Po paru dniach głowieński Kedyw zorganizował likwidację szpicla gestapo — niejakiego Sowińskiego, właściciela sklepiku przy samym rynku w Głownie. Zgodnie z planem, miejscowi ubezpieczać mieli całą akcję, a dwaj ludzie z oddziału — wykonać wyrok. Zgłosili się do tego „weterani" — Bąk i Mur, którzy uzbrojeni w pistolety z dwoma magazynkami, doprowadzeni zostali do miasta w dzień targowy, gdyż w tłumie łatwiej ukryć się po „robocie".

Tak więc początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem, ale organizator akcji, głowieński Kedyw nie był w stanie przewidzieć jednego — że na krótko przed dojściem Bąka i Mura na rynek, zatrzymają się tam trzy ciężarówki z niemieckim wojskiem, które chciało napić się piwa. Widząc kręcących się po rynku żołnierzy, Bąk i Mur nie zawrócili, a żaden rozkaz dowództwa nie mógł już do nich dotrzeć. Zuchwali, zbyt pewni siebie i powodzenia akcji, nie bacząc na niespodziewane niebezpieczeństwo weszli obaj do sklepu i otrzymawszy informację, że Sowiński znajduje się na piętrze, poszli na górę, a po wyjawieniu przyczyny swego przybycia, oddali do niego kilka strzałów przy otwartym oknie.

Echo strzałów poniosło się po rynku, co zaalarmowało Niemców. Chłopcy szybko zbiegli na dół i zaczęli oddalać się w kierunku z jakiego przyszli. Być może nie doszłoby do pościgu, gdyby z mieszkania nie wybiegł wspólnik Sowińskiego i nie wskazał Niemcom sprawców. Żołnierze puścili się za nimi w pogoń, strzelając, co z kolei zaalarmowało żandarmerię, obok posterunku której Bąk i Mur musieli przejść. Następnie biegnąc wzdłuż skraju łąk, minęli kościół, cmentarz, przedostali się przez szosę i ruszyli w stronę lasu Borówki. I wtedy właśnie jeden z nich został trafiony. Skryli się w dole przy starej cegielni i stamtąd zaczęli się ostrzeliwać. Walka trwała krótko, gdyż szybko skończyła im się amunicja, a nie chcąc wpaść w ręce Niemców, ostatnimi nabojami sami zadali sobie śmierć. Od lasu dzieliło ich tylko niespełna sto metrów.

Po śmierci Bąka i Mura w oddziale Górala zapanowało przygnębienie, bo chłopcy ledwo wyszli „do lasu", a już stracili dwóch kolegów. Wydarzenie to wpłynęło również na zmianę decyzji dowództwa okręgu, które doszło do wniosku, iż na tak ograniczonym terenie nie mogą działać aż dwa oddziały partyzanckie, i postanowiło oddział Górala rozwiązać.

Decyzja dowództwa była słuszna.

Bohaterska śmierć strzelców Bąka i Mura nie poszła jednak na marne, gdyż dała wyraźnie do zrozumienia, że chcąc coś zdziałać i przetrwać, należy zachowywać wszelkie środki ostrożności i nie lekceważyć najmniejszego nawet niebezpieczeństwa.

Po paru dniach Melania, Wit, Koszka i Leliwa, zgodnie z danym im przyrzeczeniem, wrócili do oddziału Sama.

VII. AKCJA „TORY"

Warszawa walczyła już od kilku dni. Do oddziału docierały różne, często sprzeczne wiadomości o sytuacji w stolicy. Chłopcy marzyli, by pójść na pomoc powstańcom, nie zdawali sobie jednak sprawy, jak trudne byłoby to zadanie. Do podwarszawskich miejscowości Niemcy ściągali coraz to nowe oddziały, blokując w ten sposób dostęp do miasta. Między innymi dlatego dowództwo zrezygnowało z rozpatrywanej poprzednio możliwości wysłania oddziału Sama na pomoc walczącej Warszawie. Poza tym uznano, że skuteczniej można wspomagać stolicę zakłócając i utrudniając komunikację kolejową na trasie Łódź — Warszawa.

Informację o tym przyniosła córka Wirka, łączniczka o pseudonimie Andrzej, która dostarczyła również plastyk, detonatory, spłonki oraz inny sprzęt saperski. Miał się nim zająć Nero ze swym patrolem.

Tejże nocy, w płytkim wąwozie między Koluszkami a Wągrami, przez który prowadziły tory kolejowe, w czasie, kiedy zgodnie z rozkładem jazdy nie mogły przechodzić pociągi osobowe, założono na torze, wiodącym do Warszawy, minę. Z zasady, dla bezpieczeństwa polskich kolejarzy, obsługujących pociągi, zakładano na torach miny tak, aby wybuchały dopiero pod drugim albo trzecim wagonem za parowozem, i tak też zrobiono tym razem. Gdy po jakimś czasie od strony Koluszek nadjechał niezbyt długi pociąg towarowy i gdy stukot kół toczących się po szynach zagłuszony został przez detonację, bardzo przytomny maszynista zaczął ostro hamować. Ku rozpaczy leżących na wzgórzu pod drzewami chłopców, wagony nie wykoleiły się. Zdawało się, że pociąg przejedzie, że mina spłatała jakiegoś figla, gdy nagle dwa ostatnie wagony podskoczyły konwulsyjnie i oderwały się od reszty składu, stając pochylone na nasypie. Zobaczywszy to, maszynista dodał pary i pociąg oddalił się.

Na rozkaz Sama oddano jeszcze do niego kilka strzałów, a w chwilę później saperzy zeszli na tory, aby obejrzeć efekt swojej roboty. Zbyt duży ładunek wyciął trochę ponad pół metra szyny, ale przez tę wyrwę przeszły wszystkie czteroosiowe wagony i dopiero dwa ostatnie, dwuosiowe spadły z torów. Wynik ten zmartwił chłopców, którzy wtedy nie wiedzieli jednak, że pomiędzy Koluszkami a Skierniewicami na jedenaście godzin wstrzymany został ruch pociągów — aż do czasu wymiany toru.

Po kilku dniach do oddziału znów przybyła Andrzej i przyniosła rozkaz, iż celem najbliższej akcji też mają być tory, tyle że po stronie Reichu, czyli za granicą Generalnej Guberni. Granica przebiegała parę kilometrów na zachód od Koluszek, należało więc zmienić kwaterę na leżącą bliżej tego miasteczka.

W dwa dni później oddział zakwaterował w pobliżu Kaletnika. Na kwaterze czekały już materiały saperskie, a łączniczka Krystyna powiadomiła o mającym przejeżdżać tejże nocy transporcie wojskowym. Dobrze po zapadnięciu zmroku oddział udał się w pobliże Justynowa, mijając po drodze opustoszały obóz Baudienstu, z którym wiązały się wspomnienia udanej akcji. Należało iść pieszo, zachowując jak największą ostrożność, aby nie natknąć się na granicy na celników, a także omijać wszystkie osiedla z daleka, gdyż psy mogłyby zaalarmować mieszkających tu wielu Niemców. Był to już przecież Reich.

Noc była ciemna, a wąski sierp księżyca od czasu do czasu przesłaniały chmury. Bez zwracania czyjejkolwiek uwagi oddział dotarł wreszcie na wyznaczone miejsce i przypadł do ziemi, kryjąc się za snopami świeżo zżętego zboża. Według otrzymanych informacji o pół do drugiej przejechać miał pociąg osobowy, a niedługo po nim — duży transport wojskowy. Bezczynne wyczekiwanie trochę denerwowało chłopców, gdyż czuli się nieswojo na obcym dla nich terenie i woleliby już być po „robocie", wiejąc w swoje strony. Gdy tylko pociąg osobowy przejechał, każdy z patroli zajął wzdłuż torów wyznaczone stanowiska, a w nikłym świetle nocy na niezbyt wysokim nasypie zamajaczyło kilka skupionych postaci. Był to Nero ze swym patrolem, przystępującym właśnie do dzieła.

Gdy prawie wszystko było już gotowe i pozostało tylko włożyć spłonki do detonatorów, na cholerne szczęście dla Nera i jego kolegów, zwisająca na drucikach spłonka nagle wybuchła, czyniąc przy tym wiele hałasu. Po chwili konsternacji chłopcy spostrzegli, iż na skutek zbyt silnego naciągnięcia drucików, cienka izolacja związanych przewodów przetarła się, powodując tym zamknięcie obwodu elektrycznego, połączonego z baterią, i odpalenie spłonki. Gdyby nastąpiło to już po włożeniu jej do detonatora, wybuchająca mina z pewnością zabiłaby i poraniła paru ludzi. Następną spłonkę Nero założył już z większą ostrożnością. Na tym robota się kończyła, gdyż zamknięcie obwodu i wybuch plastyku odbywał się samoczynnie po zmiażdżeniu przez koła lokomotywy zamocowanych na wierzchu szyny skręconych lekko drucików. Oddział mógł więc szybko oddalić się od torów, idąc na kwaterę na wschód od Koluszek.

Po kwadransie usłyszano odgłos nadjeżdżającego pociągu. Cały oddział zatrzymał się, oczekując w napięciu na efekt. Po chwili silny wybuch rozdarł nocną ciszę, po czym dał się słyszeć łomot druzgotanych wagonów. Tym razem materiał wybuchowy, którego założono już odpowiednią ilość, nie został zmarnowany. Ale z jakim skutkiem?

Wysadzenie pociągu postawiło Niemców na nogi. Zaraz zorganizowali drużyny ratownicze i wzmogli czujność posterunków, gdyż już w godzinę po eksplozji od strony Koluszek słychać było jadący do Justynowa pociąg. W takich okolicznościach odwrót musiał się odbywać z jak największą ostrożnością. Wybierano przeto jak najmniej uczęszczane przejścia przez pola, często zatrzymując się i nasłuchując. Teoretycznie oddział powinien dotrzeć na kwaterę we wsi Wierzchy, leżącej sześć kilometrów za Koluszkami, jeszcze przed wschodem słońca, ale wysyłanie szperaczy do przodu dla zbadania przejść w pobliżu granicy, bardzo zwalniało tempo marszu. Toteż gdy o czwartej rano oddział wszedł do niewielkiego lasku przed Koluszkami, niebo zaczęło się już rozjaśniać i o dojściu do Wierzchów nie mogło być nawet mowy.

Całodzienne ukrywanie się w upalny dzień bez jedzenia i picia w tak niewielkim lasku było zbyt ryzykowne. Po krótkiej naradzie Sam zdecydował więc zakwaterować oddział u znanego mu członka AK, kolejarza Podgórskiego, mieszkającego na skraju Koluszek przy rozwidleniu torów. Kłopot polegał na tym, że naprzeciwko, po drugiej stronie linii kolejowej, w leśniczówce stacjonowało niemieckie wojsko.

Było już zupełnie szaro, a niebo na wschodzie rozjaśniało się, zapowiadając piękny dzień, gdy oddział podchodził do zabudowań wybranej ad hoc kwatery. Z łomotem serca chłopcy kulili się, starając się wtopić w kolor mijanych płotów, wzdłuż których należało przejść niepostrzeżenie koło leśniczówki, a przecież tam z pewnością stał niemiecki wartownik, mogący zauważyć partyzantów. Jeszcze chwila, jeszcze parę kroków i idący przodem zniknęli za uchyloną furtką. Wkrótce cały oddział był już na podwórzu, otoczonym z trzech stron zabudowaniami, a od strony torów — wysokim drewnianym płotem. Cichutko zastukano w okna.

Po naradzie z Samem gospodarz, który oczywiście nie spodziewał się takich gości, ulokował oddział na poddaszu magazynu narzędzi do prac torowych. Było to najmniej odwiedzane pomieszczenie w całym zabudowaniu zawiadowcy odcinka drogowego. Zalecono zachowanie zupełnej ciszy, gdyż w ciągu dnia do magazynu przychodzili różni ludzie, którzy absolutnie nie powinni wiedzieć o kwaterujących tu partyzantach. Przyniesiono kilka snopków słomy, na której zmęczone towarzystwo rozłożyło się do wypoczynku. Wart nie wystawiono, jako że nie było po prostu możliwości. Obserwowano jedynie podwórze przez szpary w drzwiach poddasza, a całe ubezpieczenie oddziału spadło na barki rodziny państwa Podgórskich.

Dzień był upalny, co chłopcom porządnie dało się we znaki, gdyż ciasne pomieszczenie zmieniło się wkrótce w rzymską łaźnię. Za to kucharze mieli święto, ponieważ względy bezpieczeństwa nie pozwalały im zejść i pomóc gospodyni w przygotowywaniu posiłków dla tylu osób. Do pomocy w kuchni przybyła więc mieszkająca niedaleko łączniczka Krystyna, która pod wieczór przekazała wiadomość o skutkach nocnej akcji.

W wyniku wybuchu rozbitych zostało około dziesięciu wagonów towarowych, załadowanych materiałami wojskowymi. Około trzydziestu pięciu niemieckich żołnierzy zostało zabitych, a wielu rannych. Wiadomość ta wywołała wielkie zadowolenie, ale chłopcy nie mogli nawet głośniej uśmiechnąć się. Obowiązywała przecież bezwzględna cisza.

Po upalnym dniu, spędzonym na ciasnym poddaszu i w dużym napięciu, gdyż Niemcy patrolowali okolicę po obu stronach granicy w poszukiwaniu śladów, które mogłyby naprowadzić ich na sprawców wykolejenia pociągu, nadszedł ochładzający atmosferę wieczór i pewność, iż miejsce postoju oddziału nie zostało przez wroga wykryte. Uznano, że pomysł Sama zakwaterowania prawie na terenie miasta, był genialny, jako że Niemcom na pewno ani przez myśl nie przeszło, że liczny oddział partyzancki mógł się zatrzymać tak blisko stacji, tuż pod ich nosem.

Po serdecznym pożegnaniu z gospodarzami i Krystyną, niedługo przed północą chłopcy tak jak przyszli niepostrzeżenie, tak i zniknęli cicho w ciemnościach nocy, wsiąkając w ścianę pobliskiego lasu. Podczas pierwszego postoju Kres podszedł do Kapra i powiedział:

— Kaperku, tak sobie myślałem, co przeżywali ci ludzie, nasi ostatni gospodarze. Bo my, to my — w razie czego mamy szansę zwiać, jesteśmy uzbrojeni, ale oni, cywile, obarczeni rodziną — bardziej się od nas przecież narażali, udzielając nam schronienia. To są bohaterowie bez rozgłosu! Oni jeszcze przez długi czas nie będą mieć pewności, czy Niemcy się nie zwiedzą o ich pomocy dla partyzantów, no a wtedy wiadomo, jaki może być finał. Daj Boże, żeby jaka krzywda im się przez nas nie stała. A czy po wojnie ktoś wspomni o ich cichym bohaterstwie? O nich i im podobnych, którzy tak bardzo przysłużyli się w walce z okupantem?

C.D.N.

Opracował i do druku podał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Manufaktura

Plastycy-projektanci mówią, że przemysł nigdy ich nie rozpieszczał, ale tak źle jak ostatnio, to jeszcze nie było. Zmniejszenie produkcji i braki surowców nikogo nie mobilizują do wprowadzania na rynek nowych, atrakcyjnych wyrobów. Kiedy w sklepach puste półki — ludzie kupią wszystko, co im się da. Po cóż więc projektować nowe wzory? Po cóż szukać lepszych rozwiązań?

Tak mówią.

Jeszcze kilka lat temu plastyk był w przedsiębiorstwie potrzebny, a w każdym razie nikomu specjalnie nie przeszkadzał. Jeśli nawet nie było co projektować, namalował plakat z okazji, tablicę okolicznościową lub transparent na rocznicę, przystroił salę zebrań. Niektórzy w tym się nawet specjalizowali. Ale ostatnio i na tzw. audiowizualną propagandę zapotrzebowanie jakby mniejsze, po cóż więc trzymać w fabryce takiego, który nic nie robi, a pieniądze bierze jak inni, pracujący?

Trudno, panie artysta, musimy się rozstać. Na razie nie skorzystamy z pańskich usług. Nie nasza wina. Jest kryzys, reforma... Sam pan rozumiesz. Może za parę lat. Jak dobrze pójdzie... No i nie miej pan takiej miny. Trzeba się wziąć w garść. Pan nie pamiętasz, ale — gorzej już bywało. No... Namalujesz pan jakiś obrazek, sprzedasz... Ludzie teraz różnie kombinują.

W Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Bawełnianego w Łodzi nie chciano wyrzucić projektantów na bruk. W latach propagandy sukcesu potrzebnych było ich dwunastu. Robili projekty dla potrzeb własnych i całej branży. Poza tym pieniądze dawało zjednoczenie, nikt zatem ich zbyt dokładnie nie liczył. W latach kryzysu i propagandy reformy gospodarczej wystarczyłoby w zasadzie dwóch trzech plastyków, no i zjednoczenia już nie ma...

A jednak wszyscy plastycy zostali. Szkoda tracić ludzi. Zżyli się. Po okresie przejściowym znów mogą być przecież przydatni. Na razie zaś...

Ktoś wpadł na pomysł — a może ręcznie będziemy malować kupony tkanin? Jest bawełniana surówka, są farby (resztki z farbiarni, których przedtem nie wykorzystywano), pędzle... Takie kupony można nieźle sprzedać. Są przecież niepowtarzalne. Milanówek od dawna już tak robi. Spróbujemy!

Umowa była mniej więcej taka: obowiązkowo projektujecie w miesiącu jeden wzór nowej tkaniny i malujecie określoną ilość kuponów. Za każdy kupon ponad normę — dodatkowa zapłata.

W COBR pensje zasadnicze projektantów z wyższym wykształceniem plastycznym wynoszą średnio 5600 złotych. Do tego — rekompensata, premia, dodatek stażowy, frekwencyjny, wydajnościowy... W sumie — i tak sporo poniżej średniej krajowej. Skoro więc można dorabiać...

W miarę nabierania wprawy nadprogramowych kuponów przybywało. Mimo nie najlepszych warunków pracy, plastycy starali się jak mogli. Kto nie chciałby dziś więcej zarobić?

Dostaniemy więcej, ale i przedsiębiorstwo — również. Każdy kupon wart jest przecież te dwa, trzy tysiące złotych. Tyle płaci „Moda Polska", która chętnie kupi więcej. Skorzystają zatem wszyscy.

Wszyscy? Plastyk — może rzeczywiście tak, przedsiębiorstwo — jako całość — tak, ale portier, prządka czy pracownik naukowy, z którym też nie bardzo wiadomo, co teraz zrobić? A co będzie kiedy plastycy zaczną zarabiać dwa razy tyle co inni? Co na to powie załoga?

I chociaż załoga nic nie mówi, podniesiono plastykom normę, 30 kuponów obowiązkowych miesięcznie. Za te same pieniądze. Dalibyśmy więcej, ale, wiecie, przepisy, nastroje społeczne, kryzys, reforma...

Plastycy-projektanci poczuli się dotknięci i oszukani. Nie tak to sobie wyobrażali. Właściwie powinni się sami zwolnić. Ich koleżanki i koledzy robiący mniej więcej to samo na własny rachunek, zarabiają, że ho, ho... Za namalowanie ręcznie kolorowego wzoru na bawełnianej koszulce biorą od prywaciarzy osiemset złotych. A takich koszulek można pomalować dziennie pięć, albo i więcej. Nawet po odliczeniu kosztów własnych (farba, pędzle, energia elektryczna) wychodzi w miesiącu niezła sumka.

Właściwie powinni więc się sami zwolnić, ale... Trzeba mieć lokal, sporo forsy na początek, stałe zaopatrzenie w surowce i materiały. A gdzie prywatnie można teraz dostać surówkę w większej ilości, pigmenty? Nawet bawełnianych koszulek nie ma w sklepach, a kiedy się pojawią — ile można ich kupić, skoro ekspedientka wydziela po jednej?

Nie. W takiej sytuacji lepiej już malować te kupony, chociaż zadowolenie z nich — coraz mniejsze. Każdy taki kupon to przecież w pewnym sensie dzieło sztuki — jedyne niepowtarzalne, noszące wyraźne piętno twórcy. Na początku wkładali w nie całą duszę teraz — bywa — wstydzą się swoich dzieł, mimo że pomysłów i inwencji twórczej raczej nie brakuje. Ale cóż jakość idzie w ilość, bo kto dziś nie chciałby zarobić. Kokosów zresztą na nich nie robią.

I tak oto właśnie funkcjonuje współczesna manufaktura. W innych warunkach, mówią, byłaby prawdopodobnie kopalnią złota, jako że ręczną robotę ceni się w świecie. U nas jest tylko złem koniecznym, zastępczym rozwiązaniem, z którego nikt nie jest zadowolony, powodem nieporozumień, rozczarowań i kłopotów. Przedsiębiorstwo najchętniej zwolniłoby plastyków. Plastycy najchętniej zwolniliby się sami. Przedziwna i splątana nić kryzysowych współzależności skazuje obie strony na trudną współegzystencję. Przynajmniej na razie.

A co będzie, jeśli plastycy nie wytrzymają (nie tylko o pieniądze tu chodzi) i mimo wszystko odejdą? — Nic. Dyrekcja COBR nie jest tym wcale przerażona. Po prostu — zlikwiduje się manufakturę i po kłopocie.

Podlegli dyrekcji pracownicy mają więcej obaw, ale i nadzieję, że wreszcie stać ich będzie na rozwód z pracodawcą. Oto bowiem organizuje się w Łodzi spółdzielnia plastyków. Prezydent miasta popiera inicjatywę, wojewódzkie władze spółdzielcze zapewniają, że pomogą. Statut jest już na ukończeniu. Jeśli więc zbierze się co najmniej 50 członków-założycieli...

Spółdzielnia robić ma odzież, tkaniny dekoracyjne, biżuterię — co kto chce. Głównie — unikaty. Jeśli seria, to najwyżej sto sztuk. Plastycy pracować będą głównie w domu lub pracowni, jeżeli ktoś miał szczęście i pracownię dostał. Swoje wyroby będą albo sprzedawać spółdzielni albo oddawać jej w komis, jeśli wycenią swoją pracę drożej niż spółdzielniana komisja. Jak kto chce.

Przewiduje się, że będą również ręcznie malowane kupony tkanin — na suknie, bluzki, spódnice. Wstępnie ustalono już nawet, że za każdy taki kupon twórca będzie mógł otrzymać około tysiąca złotych. Spółdzielnia sprzeda kupon w kraju albo za granicą (bo myśli się też o eksporcie) za dwa, trzy tysiące złotych lub ileś tam dolarów i też nieźle zarobi. Wszyscy będą zadowoleni. W każdym razie — powinni być. Chyba że ktoś wpadnie na jakiś „genialny" pomysł albo po prostu podstawi plastykom nogę. Coś pan, panie artysta, myślał, że jak masz talent i wyższe studia, to możesz pracować i zarabiać ile się da? Co na to ludzie powiedzą? A sztuka?

...Namalujesz pan po robocie jakiś obrazek, sprzedasz... Ludzie teraz różnie kombinują.

P. T.

VII Łódzkie Spotkania Baletowe

Foto: MIROSŁAW ZAJDLER

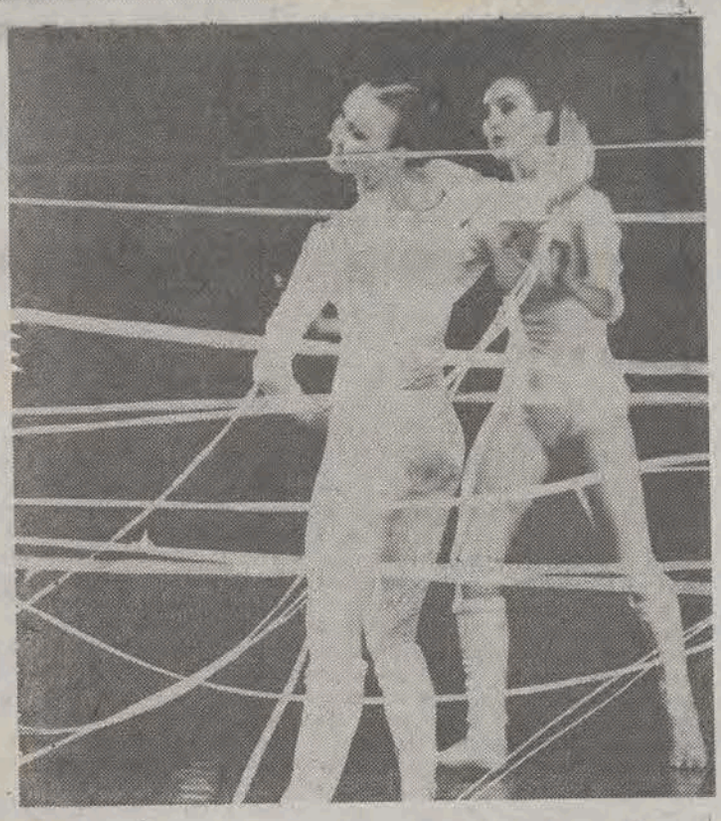

Dokończenie ze strony 1

Nagrody i codzienność

wego kina, teraz bez nijakiej żenady tłoczyli się gdzie tylko było można, nie bez ostentacji rozdając na lewo i prawo uśmiechy. Reżymowy wiceminister otwierający festiwal międzynarodowy pożegnany został rzęsistymi oklaskami, a tzw. środowisko — jak za dobrych lat — skrzętnie zabiegało o zaproszenia na tradycyjny coctail, organizowany przez dyrektora festiwalu w Oberhausen po — też tradycyjnym — przeglądzie nagrodzonych tam filmów. Bycie na coctailu to miara towarzyskich notowań.

Jednym słowem zachodni goście krakowskiej imprezy będą mieli co, po powrocie do swoich krajów, opowiadać. Myślę, że i wschodni nie będą milczeć. Ale i krajowi, dzięki spostrzegawczości tych z zagranicy, mieli nad czym rozmyślać.

Piszę o tym nie dla plotki. Bowiem zawsze tak jest, że tego typu imprezy rozgrywają się w określonych kontekstach społecznych i politycznych. Konteksty te determinują przyjęcie przez publiczność prezentowanych filmów, kształtują kryteria ocen i wartości. Te właśnie konteksty decydowały — jak sądzę — o programie specjalnego pokazu filmów zatytułowanego „Oberhausen w Krakowie". Podczas projekcji, tłumnie frekwentowanej przez „cały" Kraków, oprócz zabawnej historii kina w animowanym obrazie **J. Barta** z Czechosłowacji („Świat zagubionych rękawiczek"), oprócz — także animowanej — filmowej zabawy pod tytułem „Dzień, w którym przestałem palić" **N. Dragicia** z Jugosławii, oprócz dwóch filmów hinduskich o socjologicznej wnikliwości, **Wolfgang Ruff** (wspomniany już dyrektor festiwalu w Oberhausen) polecał — nie bez aluzyjnych podtekstów — zwłaszcza dwa tytuły.

Pierwszy z nich, to duński film **J. Letha** pt. „66 scen z Ameryki", ironiczny i karykaturalnie kąśliwy obraz „american way of life", a drugi, to zachodnioniemiecki „Feier Abend" (co można tłumaczyć: „po pracy", „fajrant") w realizacji A. Engstfelda, który przedstawia oficjalny capstrzyk z okazji kolejnej rocznicy powstania Bundeswehry, ubezpieczany przed protestującą, antymilitarystyczną kontrmanifestacją wieloma rzędami uzbrojonej po zęby policji. Wymowa tego, chłodnym okiem zrealizowanego dokumentu o nastrojach społeczeństw zachodnich była aż nadto jednoznaczna.

Filmy antywojenne, przestrzegające przed nuklearną tragedią pojawiały się w Krakowie i w latach ubiegłych. W tym roku poruszały w sposób szczególny. Myślę tu zwłaszcza o kanadyjskim filmie „Jeśli kochasz tę planetę" (realizacja **T. Nash**), 26 minutowym wykładzie dr Helen Caldicott, w którym relacjonuje ona medyczne konsekwencje wojny nuklearnej, a w zasadzie obnaża bezmyślny absurd atomowych zbrojeń. Takich filmów, których naczelnym przesłaniem była idea pokoju prezentowano na tegorocznym festiwalu wiele. Odwoływały się one też do tragicznych doświadczeń II wojny światowej, wojny wietnamskiej, a także wojen współczesnych. Były swoistym memento i najbardziej aktualnym znakiem czasu.

Zatem niejako zrozumiałe, że podczas festiwalu grupa filmowców z Berlina Zachodniego przedstawiła „Apel o pokój", upowszechniając go w pięciu wersjach językowych wśród uczestników krakowskiej imprezy. Sygnatariuszami tego apelu byli uprzednio znani przedstawiciele zachodnioniemieckich twórców i publicystów filmowych. I w Krakowie przybywało podpisów do momentu, gdy oto któregoś dnia tekst apelu wraz z listą kolejnych nazwisk zniknął. Czy zabrał go ktoś przez pomyłkę (co przypuszczano), czy było to działanie z premedytacją o niezrozumiałej motywacji — tego przed wyjazdem się nie dowiedziałem. Wiem tylko, że listę sygnatariuszy próbowano z determinacją rekonstruować. Przy okazji opowiadano, jak to jeden z mistrzów naszego kina (nomina sunt odiosa), stymulowany przez małżonkę, która dba o „właściwy" image mistrza, odmówił złożenia swojego podpisu (to epizod z zagranicznych początków tej pokojowej inicjatywy).

Pora przejść do filmów. Na XXIII Ogólnopolski Festiwal wytwórnie zgłosiły 176 tytułów (najwięcej TvP, WFD, i WFO), w tym także 19 propozycji indywidualnych. Do konkursu zakwalifikowano 71 filmów. Działania Komisji Kwalifikacyjnej zawsze budziły kontrowersje. Nie inaczej było i w tym roku. Tyle tylko, że kontrowersje tegoroczne miały swój spektakularny finał. Otóż film najpierw odrzucony, a po interwencjach włączony do konkursu otrzymał w rezultacie Grand Prix! Innym emplum były dwa filmy z WFD, pokazane na kilkanaście dni przed festiwalem w telewizji dla — co najmniej — paru setek tysięcy, a odrzucone przez Komisję Selekcyjną z powodów bliżej nieznanych („Nasze decyzje wynikały oczywiście z limitu, ale nie narzucili go organizatorzy, a po prostu samo życie)... (Ten czas ekranowy — proszę wybaczyć, że podkreślam to z takim uporem — **absolutnie** decydował" — objaśniał decyzje Komisji jej przewodniczący Jerzy Świerczyński). Dlatego też festiwal krajowy miał swoją wersję off — taką półoficjalną, a może i nieoficjalną projekcję w klubie „Pod Jaszczurami". Choć było tam tłoczno, bo i tam zjawił się „cały" Kraków, gra tylko po części warta była świeczki. Wymienię więc jeden film, właśnie ten jeden z dwóch prezentowanych uprzednio przez TvP, a mianowicie „Maraton" w reżyserii **Andrzeja Sapiji** ze zdjęciami **P. Latally i S. Szablowskiego**, niezwykle dojrzały debiut absolwenta łódzkiej PWSFTviT. Niby dokument o biegaczach, uczestnikach Maratonu Pokoju, a właściwie metaforyczne uogólnienie spraw istotniejszych niż sportowy wysiłek.

Nie sposób omówić wszystkich, dopuszczonych do konkursu krajowego, filmów. Zatem rozpocznę od tytułów nagrodzonych, jakkolwiek do nagród w tym roku należy mieć stosunek zracjonalizowany: żaden z siedemdziesięciu filmów nie wyróżnił się niczym szczególnym, a wszystkie one prezentowały wyrównany poziom średni. Jury w składzie: **Roman Wionczek** (przewodniczący), **Bogumil Drozdowski, Zdzisław Kudła, Andrzej Magdoń, Jerzy Peltz, Czesław Sandelewski, Lech Wieluński, Jadwiga Żukowska** przyznało w sumie dwanaście nagród. I tak Grand Prix **Jadwiga Zajiček** za „Protokół zniszczenia" (WFD), interwencyjny dokument o dramatycznym konflikcie wiejskiego małżeństwa z łobuzem, dokwaterowanym do ich biednego domku. Film ten mógł interesować, ponieważ przedstawiona w nim sytuacja miała swoje, ponadjednostkowe odniesienia.

Dwie nagrody specjalne — „Srebrne Lajkoniki" — przypadły **Grażynie Kędzielawskiej** za film „Góra" (WFO), poetyckiej impresji o dorocznym święcie prawosławnym w Grabarce i **Marianowi Cholerkowi** za „Odloty" (SFR Bielsko-Biała), animowaną groteskę obyczajową „Z życia wsi". Brązowe Lajkoniki czyli pięć Nagród Głównych otrzymali: **Cezary Pawłowski** za „Egzamin", konfrontację dwóch obrazów o Oświęcimiu, tego widzianego przez młodych i tego znanego z autopsji byłym więźniom; **Witold Powada**, w kategorii filmu oświatowego, za „Patyczaki" (WFO); **Aleksander Sroczyński** za „Film animowany" (SFA Kraków); **Krzysztof Juśkiewicz**, w gatunku filmu tv, za wyświetlanego już na małym ekranie „Żydowskiego grabarza" (TvP) oraz **Andrzej Fidyk** za film „Idzie Grześ przez wieś" (TvP) o kolejarskich siuchtach na szlaku.

Wreszcie cztery nagrody tzw. profesjonalne — za scenariusz **(L. Skrzydle i R. Blaśniakowi)** do filmu „Kopalnia nad Czarną Hańczą" (WFO) o bogactwach Suwalszczyzny; za zdjęcia do filmu „Kilka opowieści o człowieku" **Krzysztofowi Ptakowi** (autor równie znakomitych zdjęć do „Góry") z WFO; za montaż w filmie „Nur für Deutsche" (Poltel) **Teresie Gorzelańczyk** (rekonstrukcja podziemnej akcji z czasów okupacji pod nazwą „Góral") oraz za „dokumentację ważnego tematu" (problem narkomanii) reżyserowi **Julianowi Pakule**, autorowi filmu „Być człowiekiem".

Takie były filmy i tematy nagrodzone. Powtórzę: jurorzy zwrócili na nie uwagę z sobie zrozumiałych względów (zresztą na konferencji prasowej wokół werdyktu panowało zgodne milczenie) i gdyby przyznali premię innym tytułom też nie byłoby o co kruszyć kopii. Przewodniczący jury powiedział na koniec: **„Festiwal mógłby być ciekawszy, gdybyśmy ujrzeli w czasie jego trwania filmy podejmujące problematykę stanu wojennego oraz rozmaite próby rozwiązania problemów naszego kraju, problemów o których wszyscy mówimy".**

Na pytanie — jaką rzeczywistą wartość przedstawiały sobą filmy konkursu krajowego — miał odpowiedzieć XX Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkich. Taka konfrontacja rysuje przecież wyraźniej kryteria i oceny. Tym bardziej, iż na festiwal zgłoszono 638 filmów z 34 państw, a mniej więcej co szósty znalazł uznanie w oczach Komisji Selekcyjnej i stanął do konkursu. Tak więc po dość ubogim festiwalu w ubiegłym roku, teraz oczekiwaliśmy pierwszych projekcji z niejakimi emociami. Wprawdzie najpotężniejszy konkurent krakowskiej imprezy — festiwal w Oberhausen — gdzie nadesłano przeszło 1300 tytułów z 50 krajów (w rezultacie w szranki stanęło 96 filmów z 37 krajów) w tym roku oceniony został dość krytycznie, to jednak liczyliśmy, że w Krakowie będzie ciekawiej.

Po Oberhausen pisano: **„Obserwatorzy festiwali filmów krótkich sugerują, że dziś już ten film nie nadąża za rzeczywistością, za lawiną faktów, wydarzeń i wypadków. Że dziś telewizja w aktualnych doniesieniach, reportażach, z najbardziej oddalonych zakątków globu donosi, podaje i objaśnia, a tym samym wyprzedza film krótkometrażowy, spycha go w stronę impresji, refleksji i poszukiwań formalnych. A w tej konkurencji niewielu autorów ma coś nowego do zaprezentowania" (Jerzy Jurczyński).** Ta obserwacja odnosi się w pełni także do festiwalu krakowskiego.

Polska przedstawiła w konkursie 10 filmów: dokument **Ludwika Perskiego** o Rubinsteinie, montażowa składanka, którą oglądało się bez zniecierpliwienia tylko ze względu na postać bohatera filmu, impresję **Józefa Gębskiego** o oświęcimskich przeżyciach Xawerego Dunikowskiego, bardzo popularny wykład teorii prof. Sedlaka w obrazie **Józefa Arkusza**, rozwlekłą opowieść o Ojcu Kolbem **(Kazimierz Błahij)**, dwa tytuły anonimowe, którym daleko do dawnych polskich sukcesów w tym gatunku, a także dwa filmy godniejsze uwagi, tj. **Romualda Dobrzyńskiego** „Dwie lekcje niemieckiego" (film wyświetlała TvP, więc nie będę go streszczał) oraz **Bogdana Dziworskiego** „Kilka opowieści o człowieku". Czy można uznać ten zestaw za reprezentacyjny pod jakimkolwiek względem? Mimo tej wątpliwości ostatni z wymienionych wyżej tytułów jury międzynarodowe pod przewodnictwem **Janusza Morgensterna** obdarowało nagrodą „Grand Prix". Cieszy się reżyser cieszy się **Maciej Łukowski**, dyrektor WFO (zdał właśnie egzamin „z reformy") choć i ten film miałem na myśli, pisząc na wstępie o wrażeniu „déjà vu". Niemal każdy film Dziworskiego zasługuje na uwagę. Akurat ten o człowieku, który na przekór swojemu kalectwu stara się żyć pełnią egzystencji, wydał mi się dość banalny i wtórny. Ileż już było filmów na taki temat!

Zauważono w Krakowie zestaw filmów węgierskich (dziewięć tytułów), trzy z nich otrzymały nagrody. Rzeczywiście wszystkie one utrzymywały się na dobrym, wyrównanym poziomie warsztatowym, choć tematycznie nie odbiegały od wielokrotnie powielanych w krótkich filmach problemów. Jako widz, z większą satysfakcją oglądałem obrazy z Jugosławii. A zwłaszcza dwa. Pierwszy to (nagroda specjalna — Złoty Smok i nagroda FIPRESCI) „Winię władzę i syna" w realizacji **Nikšy Jovicevića**, który w sposób ostry a jednocześnie dowcipny opowiada o ucieczce młodych ze wsi, gdzie starzy rodzice borykają się i z trudami mozolnej pracy i z administracyjnymi absurdami. Temat też nienowy, ale jak pokazany! Podobnie można powiedzieć i o drugim filmie, zatytułowanym „Tytan" **Milorada Bajlca**, w którym realizator obserwuje, właśnie tytaniczny, wysiłek chłopa wykuwającego poprzez lite skały kanał melioracyjny.

Nie popadając w zbytnią przesadę na tym ów opis zagranicznych opowieści w krótkim metrażu można byłoby zakończyć, choć lista nagród jest długa. Jak sądzę z braku lepszych propozycji znalazły się na niej filmy o domu opieki, w którym niezamężne matki wychowują swoje dzieci, o popularnej w Chinach akrobatyce z piórkami obciążonymi ciężarkiem, czy wreszcie fińska przypowieść („Soroing") o możliwościach człowieka może i zabawna, ale przecież błaha.

Jak to się mówi — festiwale tegoroczne mamy już za sobą, a nadzieje z nimi związane przechowamy na przyszłość. Jaka będzie, przekonamy się za rok.

GRZEGORZ GAZDA

Chandra

ADAM BART

Istnieje pewien stan psychiki, pewien szczególny nastrój, którego nikt nie lubi. Mówimy o nim rozmaicie — potocznie: chandra lub życiowy kac, bardziej uczenie: frustracja bądź alienacja, kiedy indziej używamy dekadencko i młodopolsko brzmiących określeń: Weltschmerz, ból istnienia... Wszystkie te terminy, mimo pewnych różnic, w gruncie rzeczy oznaczają to samo, tę samą dolegliwość duszy — niemożność dojścia do ładu z samym sobą i własnym życiem, nieumiejętność znalezienia takiej formy bytowania, która po prostu dawałaby człowiekowi chociażby minimum zadowolenia z własnego życia... trochę zadowolenia z życia — tylko tyle... a może właśnie odwrotnie — aż tyle.

Czasem ludzkie życie staje się nie do zniesienia, mimo że wszystko na pozór jest w nim w porządku. Funkcjonujemy — zdawać by się mogło — w sposób prawidłowy, wykonujemy swoje obowiązki zawodowe, rodzinne, wiemy jak poruszać się w skomplikowanych układach, jakie stwarza rzeczywistość społeczna, posiadamy partnera czy partnerów seksualnych... A jednak — chociaż nie zawsze wiemy dlaczego — mamy tego wszystkiego DOŚĆ.

Takie właśnie konstatacje przywodzi na myśl film Giuseppe Bertolucciego, który ostatnio dotarł na nasze ekrany. Nie jest to zresztą jedyny film w tej tonacji, jaki mieliśmy okazję oglądać w polskich kinach w ostatnich kilkunastu miesiącach. Nie dokonując nawet zbyt szczegółowego przeglądu repertuaru można by wymienić przynajmniej dwa podobne — mimo istniejących między nimi różnic — filmy: „Z życia marionetek" I. Bergmana (prezentowane na „Konfrontacjach 81") oraz nasze rodzime „Mniejsze niebo" w reżyserii J. Morgensterna.

Znamiennym jest, że bohaterowie filmów „Z życia marionetek", „Mniejsze niebo" i „Zagubione rzeczy" Bertolucciego podobnie jak główne postaci wielu jeszcze utworów o zbliżonym wydźwięku, znanych z historii filmu i literatury, są ludźmi w wieku lat około czterdziestu. Ludźmi już nie młodymi, ale jeszcze nie starymi. Ich życie zostało już określone, zdążyło wejść w utartą koleinę, choć do jego końca pozostało jeszcze sporo lat, a jednocześnie życie to nie daje zadowolenia, wydaje się puste, jałowe, nie do wytrzymania... Widocznie w tym właśnie wieku odczuwa się niektóre problemy szczególnie dotkliwie. W młodości posiada się jeszcze nadzieję, że życie może być inne niż jest. Na starość osiąga się w obliczu śmierci stoicką mądrość pełną rezygnacji. Wiek przejściowy nie posiada ani jednego, ani drugiego.

Bohaterka filmu Bertolucciego — Marta jest kobietą w owym niebezpiecznym, przejściowym wieku. Jej życie jest już ustabilizowane. Ma męża, dziecko, kochanków, dobre warunki materialne. Nieoczekiwanie podczas podróży doznaje narastających stopniowo zaburzeń psychicznych, które ostatecznie prowadzą ją do całkowitej zmiany osobowości, zatraty pamięci o całym dotychczasowym życiu. Poprzez chorobę psychiczną Marta doznaje wyzwolenia.

Drugi bohater filmu — przypadkowo spotkany przez Martę przyjaciel z lat dziecinnych, jej rówieśnik — Werner, choć jest znacznie bardziej świadomy niż Marta stanu, w którym się znajduje, doznaje tego samego co i ona cierpienia. Wyzwoleniem Wernera jest samobójcza śmierć pod kołami pociągu.

Obłęd lub samobójstwo — dwa wyjścia z sytuacji bez wyjścia, z własnego życia, którego nie chce się dalej przeżywać.

Reżyser filmu nie wyjaśnia przyczyn, dla których Marta i Werner znaleźli się w tak krytycznym stanie. Na ekranie widzimy przede wszystkim skutki, przyczyn możemy się co najwyżej domyślać. Jest co prawda w filmie pewien trop myślowy w tej materii, ale prowadzi on do prawdy tak starej, że aż oczywistej.

Otóż Werner przestrzegając Martę przed niebezpieczeństwem choroby psychicznej mówi, że przyczyną jej stanu jest to, że Marta nikogo nie kocha. Z kolei obłęd Marty wchodzi w ostateczną fazę od momentu śmierci Wernera, na którego uczucie Marta zdawała się coraz bardziej liczyć, jakby intuicyjnie czując, że to może być dla niej ostatnią obroną przed rozpadem osobowości. Od chwili spotkania Wernera aż do jego samobójczej śmierci Marta doznaje też co pewien czas wizji będących wspomnieniami z dzieciństwa, ze wspólnie spędzonych z Wernerem wakacji. Powracający w wizyjnym wspomnieniu czas jest — jak się zdaje — czasem utraconej później harmonii emocjonalnej bohaterki, czasem poczucia bliskości z drugim człowiekiem.

Śmierć Wernera, koniec doznawania przez Martę wizji z dzieciństwa i ostatecze popadnięcie przez nią w chorobę psychiczną znacząco zbiegają się w czasie. Czyżby miało to oznaczać, że nie zrealizowane, nie spełnione od dzieciństwa uczucie tak bardzo zaciążyło na życiu Marty i Wernera?... a ponowne ich spotkanie zdarzyło się już zbyt późno?... Czyli, że wszystko jest kwestią życia emocjonalnego...?

Na pewno jest w tym wiele prawdy, ale historia jaką opowiada film jest jednak (i bardzo dobrze, że tak jest) znacznie bardziej wieloznaczna, podobnie jak wieloznaczna jest istota ludzka i niemożliwe są do jednoznacznego określenia wszystkie warunki, w których byłaby w pełni szczęśliwa.

Film „Zagubione rzeczy" harmonijnie łączy w sobie głęboką, choć wielce niejednoznaczną wymowę filozoficzną, swoistą metaforyczność opowiedzianej historii z prawdopodobieństwem, wiarygodnością tego, co oglądamy na ekranie. W szczególności trafnym rozwiązaniem było umieszczenie prawie całej akcji w obrębie wielkiego dworca kolejowego. Dworzec pełni nie tylko funkcję uwiarygodniającego całą historię tła, ale daje też filmowi specyficzny nastrój, jednolitą tonację; jednocześnie dworzec jako miejsce posiada pewien walor symboliczny.

Innym poważnym atutem filmu są jego walory plastyczne, konsekwentnie zwłaszcza zrealizowana została koncepcja plastyczna ujęć retrospekcyjnych.

Należałoby wreszcie podkreślić zalety sposobu narracji zastosowanego przez Bertolucciego. Umiejętne wplatanie w tok wypadków rozgrywających się w czasie teraźniejszym krótkich, jednoujęciowych wstawek retrospekcji Marty, podobnie jak montaż całych sekwencji uniemożliwiający zorientowanie się ile czasu upłynęło między poszczególnymi epizodami, silnie subiektywizują narrację filmu, upodabniając w pewnej mierze percepcję świata przedstawionego w filmie przez widza do prawdopodobnego sposobu jego percepowania przez bohaterkę filmu — Martę. Z kolei powrót do narracji całkowicie obiektywnej od momentu śmierci Wernera i ostatecznego przekroczenia przez Martę granicy normalności psychicznej stanowi udany ekwiwalent formalny tego, że bohaterka stała się kimś innym, stała się obca samej sobie i swoim bliskim, że oddzieliła ją od normalnych ludzi nieprzekraczalna granica. Jest to szczególnie cenny, poruszający widza moment. Jest czymś nader pożądanym, a jednocześnie dość rzadkim to, że kulminacyjnemu punktowi, przewartościowaniu w treści filmu towarzyszy jednocześnie zmiana w sferze jego formy.

Drugi zaledwie film Giuseppe Bertolucciego — brata znanego reżysera Bernardo Bertolucciego — zdaje się świadczyć, że w kinematografii włoskiej pojawił się nowy twórca wysokiej międzynarodowej klasy.

ZAGUBIONE RZECZY — reżyseria: Giuseppe Bertolucci, produkcja włoska.

Z półki recenzenta

ZIEMIA EWANGELII

Jan Dobraczyński nie wymaga rekomendacji. Jego książki zyskały sobie zasłużone uznanie wśród czytelników. I choć „Ziemia Ewangelii" nie jest kolejną powieścią, zniknie szybko z lad księgarskich.

„Ziemia Ewangelii" jest opowieścią o podróży do Ziemi Świętej. Autor, który tylekroć opisywał ziemię, po której chodził Chrystus, dopiero w 1980 r. jako pielgrzym dotknął jej własną stopą, by skonfrontować dotychczasowe własne wizje z rzeczywistością. I jak twierdzi, wszystko znajdował takie, jak widział to w chwilach natchnienia.

Książka jest uzupełniona fotografiami Ryszarda Rzepeckiego, które ze względu na ich czarnobiałą barwę, nie oddają w pełni piękna Ziemi Świętej.

Jan Dobraczyński: „Ziemia Ewangelii", PAX 1983. Stron 76. Cena 120 zł.

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

Opowiadania z dreszczykiem zawsze miały powodzenie u czytelników, choć nasze wydawnictwa nie rozpieszczały nas tego rodzaju publikacjami. Naprzeciw zapotrzebowaniu na literaturę osobliwą wyszedł PIW, drukując zbiór pt. „Smutny kos. Opowieści niesamowite i osobliwe" w przekładzie Ryszarda Ryclaka i z ilustracjami Waldemara Świerzego. Całość zawiera 14 opowieści autorów dziewiętnastowiecznych i nam współczesnych. Tak więc klasyka została uzupełniona przez prozaików młodszych, ale mających już spory dorobek literacki. Wszyscy oni wywodzą się z tego samego kręgu kulturowego, piszą w języku flamandzkim i mieszkają w Belgii i Holandii.

„Smutny kos. Opowieści niesamowite i osobliwe". PIW 1983. Str. 334. Cena 150 zł.

POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA

Otrzymaliśmy niezwykle cenne i po raz pierwszy tak obszerne opracowanie dziejów PPS. Partia istniała od Zjazdu Paryskiego do Kongresu Zjednoczeniowego, tj. 56 lat. Jej dzieje, to historia polskiego ruchu socjalistycznego i zarazem historia naszego narodu. Członkowie PPS uczestniczyli we wszystkich walkach i zmaganiach, jakie podejmowała polska klasa robotnicza, a po Kongresie Zjednoczeniowym weszli w skład najwyższych władz partyjnych i administracyjnych Polski Ludowej.

Książka o PPS jest pozycją znaczącą i ważną, przedstawia ona partię socjalistyczną taką, jaka była w rzeczywistości: wielonurtową, otwartą zarówno dla proletariatu jak i dla inteligencji i chłopów.

Jan Tomicki: „Polska Partia Socjalistyczna 1892—1948". KiW 1983. Str. 530. Cena 220 zł.

PETRARCA

Ossolineum w „Bibliotece Narodowej" wydało „Wybór pism" Francesco Petrarki, autora znanego u nas przede wszystkim z jego sonetów pisanych do ukochanej Laury. Obecne wydanie, jak zresztą wszystko co wydaje Ossolineum, zawiera obszerny wstęp omawiający życie i dzieło tego znakomitego poety i filozofa. W części zatytułowanej „Wybór pism" umieszczono sonety w przekładzie Jalu Kurka, sporo listów, a także poemat „Trionfi".

I jeszcze jedno: Petrarca sądził, że nieśmiertelność zapewnią mu jego pisma łacińskie. Ale stało się inaczej: po dziś dzień ludzie zachwycają się jego lirykami, jego subtelną poezją osobistych odniesień i jego żarliwym wyznaniem miłosnym.

Francesco Petrarca: „Wybór pism". Ossolineum 1983. Str. 336. Cena 160 zł.

W KRAINIE BAŚNI

Rzadko piszemy o literaturze dla dzieci i młodzieży, gdyż takich książek po prostu nie ma. Ale oto dotarł do nas zbiór baśni przygotowany przez Jana Baranowicza. Książka zawiera baśnie, których wątki można odnaleźć nie tylko w naszych rodzimych przekazach, ale także w Bułgarii i Niemczech. Dewizą autora było słynne zdanie Andersena, że są to bajki „dla dzieci od dziewięciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu lat". Całość została bogato ilustrowana przez Jacka Gaja i Stanisława Kluskę, tak, że nie tylko z zainteresowaniem czyta się zawarte w niej legendy i baśnie, ale z przyjemnością ogląda barwne rysunki.

Jan Baranowicz: „W krainie baśni". Wyd. Śląsk 1983. Str. 230. Cena 220 zł.

XXV Łódzka Wiosna Poetów

5 czerwca w siedzibie łódzkiego PAX rozdano nagrody oraz wyróżnienia w kolejnej — jubileuszowej XXV Łódzkiej Wiośnie Poetyckiej.

Ta poetycka impreza, której patronują: Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX oraz Instytut Wydawniczy PAX, jest w tej chwili jedyną imprezą tego typu, która nieprzerwanie powtarzana jest co roku i już od dawna zaliczana jest do najciekawszych oraz ważkich wydarzeń kulturowych. Nie popełniamy błędu stwierdzając, że znaczna część poetów średniego i młodego pokolenia pierwsza promocję literacką uzyskała na którejś z Wiosen Poetyckich. Przypomnijmy niektóre choćby nazwiska nagrodzonych lub wyróżnionych poetów. Należą do nich: A. Tchórzewski, E. Stachura, M. Grześczak, K. Gąsiorowski, M. Z. Bordowicz, M. Stanclik, J. Górzański, K. Świegocki, J. Bieriezin S. Jurkowski, S. Gola.

Oczywiście regulamin Wiosny dopuszczający udział twórców po debiucie książkowym sprawił, że pojawiają się wśród laureatów nazwiska poetów już wcześniej „zakorzenione" w powszechniejszej świadomości odbiorczej. Skład jury — zmieniający się nieco na przestrzeni 25 lat gwarantował wybór tekstów najciekawszych. A w jury zasiedli: prof. S. Skwarczyńska, S. Czernik, Z. Bieńkowski, M. J. Kononowicz, A. Piotrowski, A. Rymkiewicz, Z. Lichniak, J. Kurek, B. Ostromęcki, M. Piechal, I. Sikirycki, J. Koprowski, S. Jurkowski, H. Pustkowski.

W ostatniej Wiośnie jury w składzie: S. Skwarczyńska, A. Rymkiewicz, M. J. Kononowicz, Z. Lichniak, J. Koprowski, I. Sikirycki S. Jurkowski, H. Pustkowski, postanowiło przyznać następujące nagrody oraz wyróżnienia:

W dziale ogólnym: nagroda I — J. Woliński (Warszawa), nagroda II — R. Gorzelski (Łódź), nagroda II — A. Pesta (Lublin), nagroda III — S. Pastuszewski (Bydgoszcz), nagroda III — A. Rutkowski (Warszawa).

Wyróżnienia: P. Sarzyński (Wetlina), H. Filas Gutowska (Bielsko-Biała).

Utwory o tematyce religijnej: I nagroda — S. Gola (Bielsko-Biała), II nagroda — M. Stanclik (Bielsko-Biała), II nagroda M. A. Wasilewski (Warszawa), III nagroda — A. Werner (Katowice), J. Kozłowski (Poznań), E. Garnuch (Pabianice).

Wyróżnienia: B. Wasilewska (Łódź), E. Pałczyński (Łódź), K. Kozłowski (Łębork).

HENRYK PUSTKOWSKI

Jerzy Woliński

Moje zwierzę mięsożerne

I NAGRODA

za małe na pierwsze strony gazet
za dzikie żeby dało się pogłaskać
śpi z otwartym jednym okiem
ostrzy nóż zębów
żeby w każdej chwili móc ugryźć

zbyt ptasie aby mogło być kamienne
zbyt żywe aby mogło być szklane
nie dało się jeszcze przykuć do skały
nie dało sobie jeszcze obciąć skrzydeł
wydziobać serca i wątroby

ma ręce którymi wskazuje
ma język którym oskarża
oczy — miniatura wiecznego słońca
nieustannie penetrują mroczny mikroświat
zdziczałego wszechświata

za małe żeby przekuć je na pomnik
za dzikie żeby je przekupić polityczną bajką
potrafi przechodzić przez zaryglowane drzwi
widzi co ukryto za ścianą z krwi i marmuru

przeklęte i niechciane jak wszyscy trędowaci
ma wilczy apetyt na zakazany owoc
z taką samą siłą wierzy w siebie jak w Boga
zna zapach kawioru lecz w ustach wciąż czuje
smak więziennego chleba
błąka się między sobą i obowiązującą kukłą
powszechnego wzoru do naśladowania

zawsze ma o jedno oko więcej
zawsze ma o jedną możliwość mniej
moje zwierzę
mięsożerne, śmiertelne i ludzkie

1983

Roman Gorzelski

Ucieczka na południe

II NAGRODA

To tam pośród mórz złotych ziemia się kołysze
Rybak wiosło powoli wyjmuje z tej wody,
A wzdłuż brzegów od wieków — zielone ogrody
I flotylla delfinów zaplątana w ciszę.

Źródło bielą strumienia ucieka z zieleni,
Idzie z dzbanem dziewczyna w słońce zapatrzona,
Tylko czas na tej wiecznej wyspie nie pokona
Człowieka i nie wpędzi go do kraju cieni.

Może jeszcze na brzeg ten wejdzie ktoś o północy
I zatrzyma przez chwilę przy swej łodzi oczy,
Przy łodzi, którą przybył do miejsca wygnania.

Morze ziemię kołysze, wyciąga strumienie,
Ziemia w morzu się nurza, a drzewo korzeniem
Łączy wody i niebo i bezmiar czekania.

Aleksandra Pesta

Oda do stołu

II NAGRODA

Stole drewniany
Gładko heblowany
Nie bądź skąpy
Nie żałuj wina i chleba

Skocz na jednej nodze
do spiżarni — przynieś co trzeba
Niech będzie święto
chociaż nie niedziela

Ojciec z synem
Matka z córką
Niech siądą przy tobie
Zgodnie jak w rodzinie

Niech starcza ci grosza
na to co potrzebne
Nie mów że coś jest niestety
nie na twoją kieszeń
Masz aż dwie szuflady

Stole drewniany
Gładko heblowany
Niech żadne korniki
Próchnice i ognie
nie dadzą ci rady

Podkuj swe cztery nogi
podkową na szczęście
Kiedy znikną — ty bądź
Nakarm tych co po mnie
Przejdą życia przęsłem

Utwory o tematyce religijnej

Stanisław Gola

Kolęda podróżna

I NAGRODA

Grudniowy pociąg, po grudniowych szynach
tnie bochen zimy kołami wytrwale.
Wagony się zwierzają — po kolei dzisiaj
jak wstydliwe panny przy konfesjonale.

Niebo za oknem — srebrna tabakiera:
ćmią skręta zadymki stacje zdrowaśkowe.
Król w waciaku rozdał karty do pokera
w przedziale siwiało powietrze grudniowe.

A potem żytnia — kosym okiem kłosa
zagląda do serca. Spokój, moi mili,
bo Bóg się rozgniewa, odsunie niebiosa
a bez niebios cóż byśmy na świecie robili?

Grudniowy pociąg w Beskidy nas wiezie.
Tnie bochen zimy dźwięcznymi kołami.
A tam z gór — anioł na śnieżnym trapezie
już Gwiazdy wypatruje sennymi oczami.

Mieczysław Stanclik

O święć im

II NAGRODA

JANOWI PAWŁOWI II

wietrzeją wapna kruche ślady
na oświęcimskiej ziemi świętej,
gdzie aniołowie z tłustej sadzy
w krematoryjnych stygną piecach.

tędy bóg siedmiomilionowy,
jehowa szedł z einsteina twarzą
starozakonny po chrzest z ognia,
w imię swe wniebowstąpić sadzą.

c i e n i u — co wołasz tak bezgłośnie,
że w żywych głos sumienia budzisz,
który modrzewiem białym rośniesz
w pamięci ziemi — ognia — ludzi;

c i e n i u — już gościu w naszym bycie
— w innym wymiarze zadrzewiony,
z którego gwałtem zdarto — życie,
jak z róży — zapach jej czerwony —

trwaj, c i e n i u... w święte imię trwania.
trwanie — to: w czyjejś żyć pamięci.
o święć im — czasie — od zarania
dni, które wieczny cień uświęcił.

trwa zakon niewidzialnych braci
o innej od nam znanych reguł.
w habitach z cienia tłum postaci
pionowo wznosi się ku niebu. —

nasz narodowy ikonostas,
najświętsza z wszystkich rzeźba z dymu,
przed którą — chyląc swoją postać —
k l ę c z a ł d o s t o j n y p i e l g r z y m z
r z y m u

Marek A. Wasilewsk

Msza u świętego Jacka

II NAGRODA

Trzymajcie mnie, bo ulecę w niebiosa!
Jakże blisko dzisiaj ze Słupska do nieba!
Niechaj zetrę z siebie codzienności osad,
Gdy serce ponad Ziemię nagle staje dęba.

Wznoszę się bez skrzydeł, gdzieś pod strop gotycki
Wywietrznikiem wypływam niby obłok pary,
Ponad dachy czerwone, nad stare uliczki,
A żadne mnie nie unoszą windy ni dźwigary.

Płynę wzrokiem, umysłem, sercem, duszą całą,
Żegluję ponad Ziemię ku lepszemu światu,
Ale tej żeglugi widocznie mi mało,
Bo wybiegam jak mogę ponad ziemski statut.

I dotykam progu Niebieskiego Domu,
Gdzie się łza jak para mym wzruszeniem skrapla
I modlę się o wsparcie, o siłę, o pomoc,
W tym wielkim dziele, o które tu się modli kapłan.

Klęczę tylko na scenie

W dniach 5 i 7 czerwca 1983 r., na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi, w partii Normy (włoska wersja językowa) występuje URSZULA KOSZUT — sopran. Artystka jest wybitną polską śpiewaczką młodego pokolenia, występującą za granicą, na stałe zaangażowaną w operze w Stuttgarcie.

— Komu, czy czemu zawdzięczamy pobyt pani w Teatrze Wielkim w Łodzi?

— Inicjatorem zaproszenia mnie do Łodzi i moich występów tutaj jest dyrektor Teatru Wielkiego Sławomir Pietras, który rozmawiając na ten temat ze mną okazał tyle zapału i oddania dla teatru, że nie sposób było odmówić zaproszeniu. W Polsce znam zaledwie kilka osób które prawie z niczego chcą zrobić wielką i prawdziwą sztukę, dążąc do swego celu uparcie i wytrwale. O teatrze łódzkim tyle się od niego nasłuchałam, że ogarnęła mnie ciekawość zobaczenia tego wszystkiego własnymi oczyma. To jest mój pierwszy pobyt w Łodzi; nigdy w tym mieście przedtem nie byłam.

— Jakie są Pani wrażenia?

— Niezbyt miłe. W hotelu „Centrum" natychmiast dano mi do zrozumienia, że nie jest to miejsce dla Polaków a zwłaszcza tych nie posiadających twardej waluty. Jeśli mówi się w tym hotelu obcym językiem, to można się tam ewentualnie uchować. Jeżeli mówi się po polsku to jest się traktowanym jak człowiek trzeciej kategorii. Nie można wówczas liczyć ani na normalną obsługę, ani na zwykłą nawet uprzejmość. W tej sytuacji chciałam już wyjeżdżać z Łodzi, ale przypadkowo trafiliśmy wraz z mężem do hotelu „Grand". I tu pełne zaskoczenie — normalni ludzie uprzejma obsługa. Mówiłam po polsku i nie dawało to nikomu powodu do lekceważenia mnie — wprost przeciwnie.

— Co pani powie o teatrze?

— Uczucia mieszane. W pierwszych dwóch dniach mojego pobytu próby nie doszły do skutku. Nie było z kim grać. Zespół dwa dni później niż przewidywano powrócił ze Skopje i dopiero na trzeci dzień rozpoczęłam próby z chórem, orkiestrą i — co najważniejsze dla mnie — z Adalgizą (Ryszarda Racewicz). Kolejny dzień pobytu — święto Bożego Ciała. Byliśmy w Łowiczu — cóż za wspaniałe i barwne uroczystości kościelne. Piątego dnia dwie próby. Kolejny dzień — wypoczynek, czyli psychiczne przygotowania do galowego przedstawienia.

Okazuje się, że wszystkie teatry wielkie mają wiele wspólnego. Przede wszystkim jest tam wielka improwizacja w przygotowywaniu spektaklu. Jest wiele pozytywnych zjawisk, ale i sporo niedociągnięć.

— Występowała pani także w Teatrze Wielkim w Warszawie.

— Tam rzadko kiedy cokolwiek wychodziło naprzeciw oczekiwaniom. Kiedy przed występem prosiłam o próbę, odpowiedziano mi — pani już tę operę zna. A przecież tu chodzi nie tylko o znajomość dzieła, ale także o zgranie się muzyczne i sceniczne z partnerami, chórem, orkiestrą. Przecież każdy z nas jest indywidualnością. Aby z tego konglomeratu powstała udana całość musimy się wszyscy poznać. Próby więc w każdym przypadku są niezbędne. Prawdziwa sztuka rządzi się własnymi i jej tylko znanymi prawami. O tym trzeba pamiętać i tego należy przestrzegać gdy sztukę i jej odbiorcę chcemy traktować poważnie.

Innym razem miałam śpiewać w Traviacie i także próby sceniczne nie doprowadziły do skutku. Oświadczono mi wówczas, że „przedstawienie jest ustawione pode mnie i wszyscy będą grali tak, jak ja będę chciała". Zastanawiałam się skąd biorący udział w przedstawieniu mogą wiedzieć czego ja chcę skoro z nikim na temat gry scenicznej nie rozmawiałam. Ostatecznie jednak wymusiłam próbę.

— Dlaczego wybrała pani Normę?

— To nie ja wybrałam. Zgodziłam się na propozycję dyrektora Sławomira Pietrasa.

— Bywa pani w kraju rzadko choć melomanom nazwisko pani i wysoki kunszt wokalny są znane. Mówiły o tym dlatego bowiem uważam że kolejny pobyt w kraju znakomitej artystki jest doskonałą okazją do pozyskania pani do współpracy przez polskie firmy płytowe radio telewizję i teatry operowe. Jak pani się czuje w tym morzu ofert?

— Jak na razie to tylko Filharmonia Poznańska zaprosiła mnie do siebie, załatwiając do końca wszystkie związane z tym sprawy. Druga oferta — to obecny mój pobyt w Łodzi.

Z innych zaś ośrodków zawsze pytają, kiedy dysponuję wolnymi terminami. Podaję im konkretne daty. Później następuje zupełna cisza. Nie mając żadnej odpowiedzi, nie mogę wiedzieć czy umowa doszła do skutku. Następnie, na kilka czy kilkanaście dni przed danym terminem zostaję powiadomiona, że „wszystko jest gotowe". Rzecz jednak w tym, że ja nie wiem co jest gotowe. Każda umowa zawiera określone warunki. Tak jest na całym świecie. A u nas nie ma zwyczaju przedstawiać warunków, ani negocjować moich.

A inne oferty... to są te, które ja składam. Napraszałam się wiele do mojego rodzinnego miasta Katowic, swego czasu także do Bytomia. Tam zaśpiewałam, ale to także dzięki Sławomirowi Pietrasowi. Pamiętam o tym. I tu jest prawdziwa odpowiedź na pytanie — dlaczego jestem w Łodzi.

W Polsce współpracowałam jeszcze tylko z Orkiestrą Polskiego Radia w Krakowie. Zawdzięczam to ówczesnemu dyrektorowi tej orkiestry Krzysztofowi Missonie i pani Paszkiewicz i redakcji muzycznej. Są to moje jedyne nagrania utrwalone w Polsce.

Tak naprawdę — poza wymienionymi tu przeze mnie przykładami — nikt inny w kraju do żadnej współpracy artystycznej mnie nie zaoraszał. Wypraszałam się zawsze sama; pisałam listy do instytucji muzycznych (wiele z nich pozostawało bez odpowiedzi). Propozycje zawsze stawiałam konkretne: termin, repertuar, życiorys, zdjęcia — cóż więcej trzeba. Zawsze chciałam i chcę nadal śpiewać dla publiczności w kraju, której cząstką jestem przecież sama.

— Czy taka obojętność nie zniechęca?

— Nie. Ofert z kraju oczekuję nadal. Mam już jedną — Łódź w roku przyszłym (partia Łucji). Nim jednak podejmę ostateczną decyzję, muszę przekonać się jak zostanie przyjęty mój występ teraz. Normę śpiewam dopiero po raz trzeci w życiu, a drugi w teatrze operowym. Jest to bardzo trudna rola, wymagająca nie tylko dobrego głosu, ale i znakomitej techniki — także aktorskiej.

— Jak rodzi się u pani decyzja przyjęcia konkretnej roli?

— Zależy to wszystko ode mnie. Każdą daną mi propozycję weryfikuję w oparciu o materiał nutowy. Sprawdzam, czy rola ta leży w granicach moich możliwości. Nie chodzi tu o górną granicę możliwości, lecz o klasę niżej. Przed paroma laty proponowano mi partię Aidy — nie przyjęłam. Uważam, że nie jest to rola dla mnie. Przed trzema laty odniosłam się podobnie do roli Tatiany. Dziś już tę partię śpiewam.

— Może właśnie dlatego, że wie pani kiedy i z czego nie tylko można, ale trzeba rezygnować.

— Rozważając propozycję, zawsze dokładnie ją analizuję i zastanawiam się, czy jest ona naprawdę dla mnie. Na mój rodzaj głosu jest napisane tak wiele przepięknych ról, że rezygnując naprawdę niczego nie tracę. Głos jest skarbem danym przez naturę i wymagającym bardzo starannej pielęgnacji. Osiągnięcie wysokiego kunsztu wymaga bardzo dużo pracy i ogromu wewnętrznych rygorów. Chcąc uchronić głos przed jego zniszczeniem, trzeba umieć powiedzieć — nie.

— Istotniejsze blaski i cienie pani życia artystycznego?

— Droga do kariery artystycznej jest drogą cierniową. Są czasem momenty bardzo trudne w życiu. Jest to właściwie ciągła walka z samym sobą zarówno podczas stałego wspinania się po drabinie kariery artystycznej, jak i w chwilach rezygnacji z tego, co niekiedy bardzo nęci (trudna rola, znany teatr, znakomity dyrygent itp). Jest to także zawód, który wymaga systematycznej i nieprzerwanej nauki. Im dłużej się uczę tym ogromniej zdaję sobie sprawę, jak wiele jeszcze jest i może być przede mną. Powstają coraz to nowe wątpliwości. Początek osiąga się rozpędem, ale dalsza droga wymaga ostrożnych i wyważonych kroków.

— U kogo doskonali pani swój głos i konsultuje się?

— Uczę się sama, ciągle się uczę. Opieram się tutaj na własnej intuicji. Możliwość poprawienia głosu mam tylko w Polsce u swego profesora Bogdana Ruśkiewicza. Jest to na szczęście muzyk-akompaniator, a nie zaś były śpiewak. Jest to jedyny człowiek, z którym wspólnie doszliśmy do prawdy następującej: sprawa warunków głosowych, ich rozwoju i doskonalenia jest sprawą bardzo indywidualną. Zależy ona od budowy narządu głosowego, a nie od stosowania sztywnych reguł w stosunku do każdego śpiewaka. Te reguły nie są gotowe i znane tylko doświadczonym śpiewakom, czy pedagogom. Są one indywidualną sprawą, wymagającą ich wypracowania i respektowania. Zakres i brzmienie głosu — nawet te potencjalnie tkwiące — są tak bogate w swej różnorodności, jak wielka jest rozmaitość w budowie naszego organizmu i jego poszczególnych części.

— A ewentualne korzystanie z podręczników?

— Mam własny „podręcznik" do nauki śpiewu. Ma on już dwanaście lat i jego kartki są ciągle dopisywane. Spójrzcie panowie — to jest właśnie ten notes wypełniony cennymi uwagami i spostrzeżeniami po moim każdym spotkaniu z **prof. Bogdanem Ruśkiewiczem.**

— Co poradziłaby pani młodym, dobrze zapowiadającym się śpiewakom, lecz szybko i źle kończącym swą karierę?

— Należy się długo i dużo uczyć. Nie można być za wcześnie pewnym swych umiejętności i talentu. Nie można też wierzyć zupełnie i wszystkim pochwałom.

Na ogół większość pedagogów i dyrygentów nie mówi śpiewakom tego wszystkiego co naprawdę o nich sądzi i co byłoby pożądane dla rozwoju kunsztu wokalnego. Śpiewak powinien być krytyczny wobec samego siebie. Tego też czasem trzeba się nauczyć. O zaletach i wadach — zwłaszcza młodego talentu — należy mówić dyskretnie. Nie wolno ludzi niszczyć. A to — niestety — zdarza się dość często. Poprzez dyskusję można się wiele nauczyć. Uczyć się trzeba nie tylko śpiewu, ale i skromności. Głos, talent, to nie powód do dumy. To jedynie powód do wdzięczności naturze.

— Artysta nigdy nie powinien być pewien swego talentu. Wątpliwości są tu niezbędne.

— Tak. Nie ma wykonań, nagrań idealnych i doskonałych. Jest to również opinia tak znanych i cenionych artystów jak Dawid Ojstrach czy Yehudi Menuhin, z którymi miałam przyjemność i zaszczyt o tych sprawach rozmawiać.

— W kraju nie ma pani nagrań płytowych?

— Od dziesięciu lat są tylko obietnice. Być może wymagania polskich firm płytowych są tak wysokie, że jeszcze sobie na to nie zasłużyłam. Może trzeba o to zabiegać w szczególny sposób. Ale ja tylko na scenie klęczę.

— Za granicą jednak ma pani nagrane płyty.

— Bez klęczenia. Mam piętnaście nagrań; w tym cztery kompletne nagrania operowe. Myślę, że jak na zachodnie warunki to nie jest źle.

Radio Luksemburg znalazło mnie telefonicznie tu i teraz, aby upewnić się odnośnie mojego kolejnego nagrania płytowego w Wiedniu.

— Co w swojej karierze artystycznej zawdzięcza pani mężowi?

— Współudział męża w mojej karierze zawodowej jest wielki. W Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach nauczono mnie niewiele. Mam tu przede wszystkim na myśli intonację, frazowanie, języki obce. Mąż jako świetny muzyk-dyrygent, wiele z tych braków pomógł mi uzupełnić. Przygotowanie muzyczne to jego zasługa.

— Czego wymaga pani od swoich współpracowników na scenie?

— Żeby byli prawdziwi, aby dobrze śpiewali i usiłowali zrozumieć się wzajemnie oraz zrozumieć sztukę.

— Wielu naszych artystów wyjeżdża na dłuższy okres czasu za granicę. Są różne opinie na ten temat. Co pani o tym myśli?

— Jeżeli człowieka nie chcą w kraju, nie dają właściwej pracy — to cóż można innego robić. Gdybym otrzymała pracę w kraju, nigdy nie wyjechałabym na dłuższy okres z Polski. Przed kilkunastoma laty przyjęto mnie do Teatru Wielkiego w Warszawie, jako solistkę-adeptkę. To trwało jednak krótko. Przyszedł nowy dyrektor, który poradził mi szukać szczęścia na prowincji. Niektóre teatry na prowincji nawet nie odpowiedziały na moją ofertę. Inne uważały, że mój głos nie jest wart nawet przesłuchania. W Bydgoszczy pytano mnie, czy rozumiem po polsku — skoncentrowano swoją uwagę na moim nazwisku i stwierdzono, że mam złą wymowę. Myślę, że podobne przyczyny powodowały wyjazdy wielu innych, znanych dziś poza krajem artystów. Teraz do przyczyn tych dołączyły się także sprawy ekonomiczne.

— Najbliższe plany.

— Występy na koncertach w Baden-Baden, potem partia Tatiany w Kolonii, dalej nagranie Te Deum A. Brucknera w Wiedniu, recital na Uniwersytecie w Ohio, partia Łucji w Portland i powrót do Europy na sceny swych stałych teatrów.

— Dziękujemy za rozmowę i do usłyszenia ponownie w Łodzi.

Rozmawiali:
MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Foto: Chwalisław Zieliński

Świat – nurty – idee...

Żydzi – syjonizm

FRANCISZEK KOWOL

Kto to jest syjonista? *„Syjonista — to amerykański Żyd, dający pieniądze angielskiemu Żydowi, aby polskiego Żyda wysłać do Palestyny"* Słowa te, mogące uchodzić za anegdotę, wypowiedział, ironizując nieco, baron Edmund de Rothschild (1845—1934), Żyd — wielki bankier francuski. Będąc człowiekiem majętnym baron Rothschild wykupił pewną, dość dużą, ilość ziemi w Palestynie. Dla jej uprawy sprowadził i osiedlił w swych dobrach grupę ubogich Żydów. Stąd przez syjonistów jest on uważany za ojca żydowskiej kolonizacji Palestyny. Po utworzeniu Izraela jego prochy, dotąd spoczywające we Francji, przeniesiono do tego państwa, gdzie do dziś otoczone są czcią.

Zastanówmy się jednak jaka jest treść słowa *„syjonizm"*, co ono oznacza? Termin ten stworzył w 1890 r. wiedeński publicysta Natan Birnbaum na określenie ruchu politycznego dążącego do skupienia ludności żydowskiej w Palestynie. Dziś pojęcie *„syjonizm"* oznacza nacjonalistyczną ideologię oraz ruch polityczny burżuazji żydowskiej.

W DIASPORZE

Zdaniem wielu badaczy, już na początku życia w diasporze gminy żydowskie w zasadzie nie wyróżniały się z otaczających je społeczności. Proces asymilacji postępował dość szybko, a jeżeli był hamowany to głównie przez zaniepokojone tym zamożne warstwy gmin żydowskich. W Babilonii gminy żydowskie szybko zapuściły korzenie, i to — rzec można — głęboko. Do tego stopnia, iż gdy Cyrus — władca Persów, po podboju tego kraju, wydał w 538 r. p.n.e. pozwolenie na powrót Żydów do Jerozolimy, podstawowa część narodu żydowskiego pozostała w Babilonii. Z możliwości powrotu nie skorzystali głównie ci, którzy przewodzili gminom, zdobyli majątki i stanowiska w babilońskiej administracji państwowej. Nie widzieli korzyści w porzuceniu posiadanych bogactw i stanowisk na rzecz powrotu na nagie wzgórza Judei. Ale nie żałowali oni darów na odbudowę świątyni w Jerozolimie. Namawiali też ubogie warstwy żydowskie do powrotu na ziemię ojczystą. Trudno nie dostrzec tu analogii do współczesności. Na przykład w Stanach Zjednoczonych żyje obecnie około 6 mln Żydów, a więc ponad 2,5 raza więcej niż w Izraelu. Udzielają oni znacznej pomocy finansowej dla Tel-Awiwu, ale też i nie kwapią się do wyjazdu do Izraela.

Proces rozpraszania się Żydów rozpoczął się na długo przed upadkiem państwa żydowskiego. Rozbudowane gminy żydowskie dawno istniały już w Egipcie, Cyrenajce, Mezopotamii, Italii i Grecji. W przededniu chrześcijaństwa, w Palestynie było 700 tys. Żydów, podczas gdy w imperium rzymskim — około 4 mln. Z biegiem czasu poszerzały się granice diaspory. Centra żydowskiego życia kulturalnego i religijnego przesuwały się do różnych ośrodków diaspory.

Żyjąc w wielkim rozproszeniu Żydzi zatracili swoje cechy narodowe. Bytując w obcym otoczeniu przystosowywali się do niego, zaczynając żyć życiem otaczających je narodów. Przestali w istocie być narodem, ponieważ przestali być wspólnotą ludzi charakteryzującą się posiadaniem wspólnego języka a także wspólnego terytorium, życia ekonomicznego i kulturalnego. Od wieluset lat większość Żydów mówi językami: jidisz (opartym na dialektach dolnoniemieckich — Żydzi aszkenazyjscy) i ladino (opartym o dialekty hiszpańsko-arabskie — Żydzi sefardyjscy) oraz językami narodów wśród których żyją. Język hebrajski stał się martwym. Jedynie Żydzi jemeńscy wiodący koczowniczy tryb życia zachowali go w szczątkowej formie do XX wieku. Wspólną dla wszystkich Żydów pozostała jedynie religia, to jest judaizm, zwany też wyznaniem mojżeszowym.

SYJONIZM DUCHOWY

Religia ta dała podstawy rozpowszechnionemu w średniowieczu syjonizmowi duchowemu. Opierając się na postulatach religii judaistycznej, a szczególnie na biblijnej przepowiedni, że „święta ziemia" — Palestyna będzie kiedyś należała do potomków jej starożytnych mieszkańców, syjonizm duchowy rozwijał myśl o nieuniknionym powrocie Żydów z rozproszenia po kuli ziemskiej na górę Syjon w Jerozolimie, czyli do *„ziemi przodków"*.

Syjonizm duchowy stanowił mieszaninę mistycznych wyobrażeń i elementów ograniczonego nacjonalizmu żydowskiego, będącego reakcją na koszmar średniowiecznego getta. Doprowadzona do rozpaczy biedota żydowska upatrywała w nim swoją ostatnią nadzieję. To *„najświętsze marzenie"* znalazło wyraz w słowach modlitwy:

„Ten rok jeszcze na wygnaniu, lecz na przyszły rok w Jerozolimie. Ten rok jeszcze niewolnicy, lecz w przyszłym już wolni ludzie".

Nie należy zapominać jednak, że na przestrzeni całej historii warstwa bogatych Żydów nie dzieliła cierpień masy żydowskiej, znajdując się stale w sytuacji uprzywilejowanej. Na przykład wprowadzony w carskiej Rosji obowiązek poboru rekruta nie dotyczył bogatych warstw żydowskich. W tejże Rosji, gdzie wprowadzono zakaz osiedlania się Żydów poza wyznaczonymi strefami, nie dotyczył on żydowskich kupców pierwszej gildii.

Upadek systemu feudalnego, burzliwy rozwój kapitalizmu, wzrost liczebny klasy robotniczej, jej walka — wszystko to również wstrząsnęło murami getta żydowskiego wzniesionymi w średniowieczu. Mimo iż większość gmin żydowskich zachowała swój system wewnętrzny — religię, oświatę, sądownictwo, znalazły się one w obliczu otwartej walki klasowej.

Włodzimierz Lenin, analizując ten problem pisał, że w całej Europie upadek średniowiecza i rozwój wolności politycznej szedł w parze z polityczną emancypacją Żydów, ich przechodzeniem od żargonu do języka tego narodu, wśród którego żyli i w ogóle z niewątpliwym postępem ich asymilacji z otaczającą ludnością. Burzliwy okres emancypacji Żydów obalał przeszkody stworzone przez elitę Żydów, dla której diaspora była oparciem. Ludzie pochodzenia żydowskiego wiązali się z krajami, w których żyli. Przestali być Żydami, przestali uważać się za wygnańców. Palestyna nie stanowiła dla nich problemu. Jak stwierdza L. Stein — *„O jej położeniu geograficznym lub nawet fizycznym istnieniu wiedzieli oni niewiele lub zupełnie nic. Nie łączyły ich z tym krajem więzy osobistego sentymentu, nie prześladował ich widok jej krajobrazu"*.

Diaspora istniała, lecz zmieniała swoją postać. Średniowieczne mury duchowe getta, zapewniające kontrolę przywódcom gmin nad masami żydowskimi, nie wytrzymały naporu wydarzeń. Wówczas elita Żydów, chcąc zachować panowanie nad ludnością żydowską w diasporze, wysunęła tezę, iż Żydzi stanowią odrębną grupę narodowościową wyobcowaną z większości ludności danego kraju. Reakcyjne podłoże tego twierdzenia, przeciwdziałające asymilacji Żydów, podkreślał w swoich pracach Lenin. Idea *„odrębnego narodu żydowskiego"*, jego *„wyjątkowości"*, stała się filarem syjonizmu politycznego, dążącego do utworzenia państwa żydowskiego.

SYJONIZM POLITYCZNY

Zanim jednak zaczął działać twórca syjonizmu politycznego Theodor Herzl, elita żydowska w walce o swe pozycje klasowe jęła się myśli o utworzeniu na określonym obszarze skupiska Żydów, które miało się stać ośrodkiem kierowania diasporą. W działalności tej prym wiodła żydowska finansjera. Jej poczynania korespondowały z polityką państw kolonialnych. W latach siedemdziesiątych XIX wieku utworzono w Anglii Syryjsko-Palestyńską Kompanię Kolonialną dla zasiedlenia Palestyny ludnością żydowską i chrześcijańską. W tym czasie w Palestynie zamieszkiwała garstka 5 tys. Żydów. Natomiast w Europie, która w drugiej połowie XIX w. była głównym obszarem diaspory, znajdowało się 86,5 proc. ogółu Żydów.

Syjonizm nie przypadkiem pojawił się w końcu XIX w. W warunkach kryzysu kapitalizmu, w momencie jego przekształcania się w stadium imperialistyczne, społeczność żydowska zaczęła się szybko różnicować. Coraz wyraźniej wyodrębniały się: wielka, średnia i drobna burżuazja oraz elementy proletariackie, co potęgowało sprzeczności wśród Żydów. Proletaryzacja mas drobnomieszczańskich przybrała znaczne rozmiary — gwałtownie zmniejszał się udział kupców i tak np. w końcu XIX w. już trzecia część Żydów rosyjskich zajmowała się rzemiosłem.

Dalsze ubożenie powodowało przekształcanie się części kupców i rzemieślników żydowskich w robotników. Tak więc syjonizm stanowił reakcję na pogarszanie się sytuacji ekonomicznej, zmianę struktury społecznej Żydów, był po prostu ich reakcją, a przede wszystkim burżuazji żydowskiej, na kryzys kapitalizmu. Do czasu, gdy ludność żydowska była zintegrowana z systemem feudalnym, idea stworzenia państwa żydowskiego nie leżała w interesie Żydów. Jak pisał Abraham Leon:

„Żydowski właściciel karczmy czy „farmer" z XVI-wiecznej Polski myślał tak mało o „powrocie" do Palestyny, jak myśli dziś żydowski milioner z Ameryki".

Sytuacja zmieniła się radykalnie później — właśnie w okresie pierwszego istotniejszego kryzysu kapitalizmu, gdy nie potrafił on zaspokoić aspiracji szerokich mas żydowskich, a głównie burżuazji żydowskiej. Stąd też idea Th. Herzla padła na podatny grunt.

TWÓRCA SYJONIZMU

THEODOR HERZL — (1860—1904) urodził się w Budapeszcie, w rodzinie zamożnego kupca. Po ukończeniu studiów prawniczych w Wiedniu rozpoczął praktykę sądową w Salzburgu. Wkrótce jednak poświęcił się pracy literackiej i dziennikarskiej. W 1891 r. objął placówkę korespondenta wiedeńskiej „Neue Freie Presse" w Paryżu. Herzl, należący do kategorii Żydów wyemancypowanych, do tej chwili nie interesował się sprawami żydowskimi. Dopiero relacjonując dla swojej gazety przebieg procesu Dreyfusa — młodego kapitana armii francuskiej, pochodzenia żydowskiego, niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec i następnie skazanego — zetknął się z tzw. problemem żydowskim, z antysemityzmem. Od tej pory zajął się tymi kwestiami.

Głosił on, że jedynym rozwiązaniem kwestii żydowskiej może być tylko exodus Żydów z krajów, w których występuje antysemityzm i skupienie ich na jednym terytorium. Szczegółowo przedstawił swój projekt w książce „Państwo żydowskie" („Der Judenstaat"), opublikowanej w 1896 r. Jest ona swego rodzaju „biblią" ruchu syjonistycznego i uchodzi za taką do dziś. W pracy tej Herzl pisał m.in.: *„kwestia żydowska jest kwestią narodową, a nie socjalną lub religijną. Jesteśmy narodem, jednym narodem"*.

Tak więc państwo żydowskie uznane zostało za panaceum na wszelkie nieszczęścia i cierpienia; rozproszonych ogłoszono *„jednolitym narodem żydowskim"*, wszelkimi sposobami uwypuklano *„harmonię wspólnych interesów"* Żydów. Chodziło o stworzenie wrażenia, że żydowski bogacz jest bliższy biednemu Żydowi niż jego kolega — robotnik czy chłop innej narodowości. Herzl proponował:

„Niech oddadzą nam, na zasadach zupełnej niezależności, terytorium, o rozmiarze wystarczającym sprawiedliwym potrzebom narodu. O resztę postaramy się sami".

Herzl zdawał sobie sprawę z tego, że mogą wyniknąć trudności w realizacji jego planu, ale nie przeceniał ich: *„Nie ma człowieka dość bogatego i potężnego, iżby mógł przesiedlić naród z jednego miejsca na drugie. Może to tylko spełnić idea, a taką siłę posiada idea o państwie"*.

FUNDAMENTY IDEI SYJONIZMU

Stały się nimi następujące twierdzenia:

1) Żydzi na całym świecie stanowią jednolity naród, żyją oni w diasporze wśród obcego otoczenia i wrogiego;

2) Żydzi stanowią wybrany naród, szczególny światowy naród żydowski;

3) wszystkie narody, wśród których żyją Żydzi, cechuje antysemityzm;

4) emancypacja Żydów w diasporze jest niemożliwa;

5) nie istnieją rasy zupełnie czyste, ale Żydzi stanowią bez cienia wątpliwości rasę najczystszą spośród wszystkich cywilizowanych narodów na świecie;

6) Żydzi stanowią naród wygnany z Palestyny, a jego historyczny związek z tym krajem charakteryzuje ciągłość;

7) Żydzi jako naród mają prawo do utworzenia państwa żydowskiego i muszą do tego dążyć wszelkimi siłami i środkami.

Theodor Herzl zorganizował w 1897 r. pierwszy światowy kongres syjonistyczny. Odbył się on 29 sierpnia w Bazylei (Szwajcaria). Zebrani na nim delegaci uchwalili, w oparciu o tezy książki Herzla oraz na podstawie dyskusji, następujący program dla wszystkich organizacji syjonistycznych:

„Syjonizm dąży do stworzenia dla narodu żydowskiego prawnie zabezpieczonej siedziby w Palestynie. Aby osiągnąć ten cel, kongres będzie się starał:

1) popierać w odpowiedni sposób kolonizację Palestyny za pośrednictwem rolników, robotników i rzemieślników;

2) organizować i grupować całość świata żydowskiego w stowarzyszenia miejscowe i ogólne, zgodnie z ustawami poszczególnych krajów;

3) wzmocnić wśród Żydów poczucie godności narodowej i uświadomienie rasowe;

4) czynić kroki przygotowawcze zdążające do otrzymania zezwoleń rządowych, potrzebnych do osiągnięcia celu syjonizmu".

Hasło: *„Wszyscy Żydzi powinni się połączyć wokół sztandaru syjonistycznego"* zamierzano realizować następująco: burżuazja żydowska miała służyć kapitałami, inteligencja — miała poświęcić mu swe siły duchowe, zaś masy pracujące — skoncentrować wokół niego swoją energię. Dla ubogich warstw oznaczało to niezwłoczne przesiedlenie się do Palestyny i ciężką pracę fizyczną. Zgodnie z planem Herzla do Palestyny mieli się udać *„z początku zrozpaczeni, potem ubodzy, następnie zamożni i w końcu bogaci"*. Na rzecz *„wspólnej sprawy"* pobierana była specjalna opłata w wysokości 1 złotego franka — szekel. Za syjonistę uważany był Żyd, który uznał program bazylejski i opłacał szekel.

POŻYTECZNY... ANTYSEMITYZM

Czynnikiem, który mógł przyspieszyć emigrację do Palestyny, był antysemityzm. W związku z tym przywódcy syjonistyczni traktowali go jako zjawisko dla siebie korzystne. Sam Herzl uznał go za ruch pożyteczny, gdyż utrudniał asymilację i hamował polaryzację wśród ludności żydowskiej, a walkę z nim jako *„jałową i nikczemną"*. Na pytanie, co może skłonić Żydów do opuszczenia krajów, w których się urodzili i do działania na rzecz powstania nowego państwa, Herzl odpowiedział: *„antysemityzm"*.

Wbrew temu co twierdzili syjoniści, antysemityzm nie był zjawiskiem odwiecznym. Jego pojawienie się determinowane było zawsze konkretnymi warunkami historyczno-ekonomicznymi. Rozpalanie antysemityzmu leżało zawsze w interesie sił wstecznych.

„Do programów politycznych wszedł on na początku XX wieku, gdy nienawiść klasowa ku klasie robotniczej zaostrzyła się wskutek walk 1905—1907" — pisał Julian Marchlewski.

Jak już wcześniej zwróciliśmy uwagę, syjonizm nie przypadkiem pojawił się w końcu XIX w. Nie przypadkiem też wzrosła w tym czasie fala antysemityzmu. W Europie dokonywał się głęboki przełom polityczny. Kończył się okres kosmopolitycznego liberalizmu, a dla kapitalizmu era burzliwego rozkwitu. W życiu gospodarczym narastały kryzysy, zaostrzała się walka konkurencyjna, walka o przetrwanie, utrzymanie firmy, o wydarcie innym klienteli, kredytów, możliwości działania. W walce tej nie przebierano w środkach. Każdy chwyt był dozwolony, byle przyniósł odpowiednie efekty. Dlatego kształtowały się różne fronty walki wewnątrz burżuazji. Tworzyły się one m.in. na płaszczyźnie nacjonalistycznej, rasistowskiej.

Na arenie politycznej pojawiły się nowe, właśnie nacjonalistyczne stronnictwa. Ich celem było skupienie członków danego narodu wokół celów i interesów jego wielkiej burżuazji. Właśnie syjonizm i antysemityzm są przykładami takich ruchów. Wprawdzie były one i są biegunowo przeciwstawne sobie, to jednak mają pewną wspólną cechę. Jest nią dążenie obu tych ruchów i idei, do skierowania buntu społecznego na zastępcze tory walki; nie z burżuazją, nie z ustrojem, ale z przeciwnikiem pozornym, wytypowanym na podstawie odmienności etnicznej, religijnej czy obyczajowej. Dlatego ruch robotniczy i marksizm potępiają zarówno syjonizm i antysemityzm. Ruchy nacjonalistyczne miały tę cechę, że wzajemnie dostarczały sobie pożywki. I tak na przykład nacjonaliści rosyjscy, niemieccy czy polscy, organizując pogromy, prześladując i dyskryminując ludność żydowską, dostarczali tym argumentów syjonistom czyli nacjonalistom żydowskim. Jednym z zasadniczych celów ruchów nacjonalistycznych była walka z rozprzestrzeniającymi się ideami socjalizmu oraz z reprezentującym je ruchem robotniczym.

Przełom XIX i XX w. to okres umacniania się pozycji ruchu robotniczego, aktywizacja walk rewolucyjnych, że przypomnimy przykładowo wspomnianą już rewolucję 1905—1907. Duży był wkład proletariatu żydowskiego i żydowskich rewolucjonistów w walkę o socjalizm. Wynikał on z tego m.in., iż położenie żydowskich mas robotniczych było bardzo ciężkie; 18-godzinny dzień roboczy nie należał do rzadkości. Rosła świadomość klasowa żydowskiego proletariatu. Z kolei przeciwdziałanie temu było jednym z zadań syjonizmu.

ZAMIAST REWOLUCJI

Syjonizm dla mas żydowskich miał być alternatywą socjalizmu. Miał on je izolować od ruchu rewolucyjnego, służył zaciemnianiu zróżnicowania klasowego oraz przeciwstawianiu Żydów wszystkim innym narodom. Ideologia i ruch syjonistyczny miały zapewnić burżuazji żydowskiej kontrolę nad rozpadającymi się gminami, a burżuazji krajów dotychczasowego osiedlenia pomóc w utrzymaniu klasowo-właścicielskiego status quo w tych krajach.

Syjonizm w momencie swego powstania oraz w pierwszych latach swej działalności nie cieszył się dużym zainteresowaniem, nie był ruchem masowym. Przyznali to sami przywódcy — Th. Herzl i M. Nordau — na odbywającym się w 1899 r. III Kongresie Syjonistycznym, mówiąc, iż *„miliony Żydów nie wiedziały o ruchu syjonistycznym"*. Jednakże pogarszające się warunki życia w diasporze, wzrost antysemityzmu, powodowały, że idea syjonizmu znajdowała, z biegiem czasu, aprobatę tej części mas żydowskich, które buntowały się przeciwko postępującej proletaryzacji i traktowały kształtujący się ruch jako swoistą drogę awansu społecznego. Zamiast rewolucji socjalistycznej proklamowano *„rewolucję syjonistyczną"*. Hasło wyjazdu do *„ziemi obiecanej"* było dla nich propozycją realizacji planów w zupełnie inny sposób i w innym miejscu.

Przywódcy syjonistyczni realizację swoich celów starali się oprzeć na poparciu mocarstw imperialistycznych. Stąd zabiegi Herzla i jego współpracowników oraz następców, na dworach tureckim, angielskim, rosyjskim czy niemieckim. Starano się o zgodę na imigrację Żydów do Palestyny, na szeroką i swobodną działalność organizacji syjonistycznych w zamian oferując likwidację tzw. kwestii żydowskiej, izolację Żydów od ruchu rewolucyjnego czy też rolę strażnika interesów danego mocarstwa na Bliskim Wschodzie.

W początkach naszego wieku walka o panowanie nad Bliskim Wschodem uległa szczególnemu nasileniu. Potężne niegdyś imperium Turków osmańskich chyliło się ku upadkowi. A rejon ten posiadał i nadal posiada wielkie znaczenie strategiczne. Położony jest na styku trzech kontynentów; przez rejon ten przechodzą ważne szlaki komunikacyjne świata. W końcu XIX w. wybudowano Kanał Sueski. Podniosło to jeszcze bardziej rangę tego rejonu, głównie dla Wielkiej Brytanii — droga przez Kanał okazała się najkrótszą do *„perły"* imperium angielskiego, Indii. Syjoniści zaoferowali się Brytyjczykom jako ich *„strażnicy"* Kanału. Interesy burżuazji brytyjskiej i żydowskiej okazały się zbieżne, dlatego Anglia, która zwyciężyła w rywalizacji o panowanie i wpływ na Bliskim Wschodzie, zezwoliła na żydowską kolonizację Palestyny. Potwierdzeniem tego stał się list z 2 listopada 1917 r. brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Jamesa Balfoura do lorda Rothschilda — przedstawiciela syjonistów, w którym m.in. stwierdzono:

„Rząd Jego Królewskiej Mości ustosunkował się przychylnie do założenia w Palestynie siedziby narodowej dla narodu żydowskiego...".

Odtąd obserwujemy ścisłe powiązanie syjonizmu z interesami mocarstw imperialistycznych panujących nad Bliskim Wschodem, najpierw z Wielką Brytanią, a później, od lat czterdziestych, z USA. Tak więc pojawienie się i istnienie syjonizmu okazało się bardzo korzystne dla imperializmu. Świadczy o tym choćby wypowiedź czołowego ideologa ruchu syjonistycznego, współpracownika Herzla Maxa Nordaua: *„gdyby syjonizm nie narodził się, Anglia musiałaby go wymyślić"*.

W kręgu fantastyki

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB
Aleje Jerozolimskie 2, Groteka, 00-375 Warszawa

Dogonić orła

DYMITR BILENKIN

Uważaj, nie odlatuj za daleko!

Chłopiec skinął na znak, że zrozumiał i natychmiast zapomniał, o czym mówiła mama. Jasne: Słońce grzeje, mama niepokoi się o niego, aparatura w porządku, a więc nie ma o czym myśleć.

Stał na dachu domu napięty niczym cięciwa. Kostki i nadgarstki opinały mu błyszczące bransolety silniczków małej mocy, a hełm i szeroki pas antygrawitatora upodabniały go do kosmonauty — był równie dobrze wyekwipowany, równie męski. Czuł, że mama też jest z niego dumna.

— Słyszałeś, co do ciebie mówię?

— Ale mamo...

Chłopiec pociągnął nosem. Jest dzieckiem czy co? Zmrużywszy oczy przyjął pozycję startową. „Załoga gotowa, kapitanie! Tak jest, kapitanie! Ruszamy w przestrzeń, kapitanie!"

I cóż ma z tym wspólnego mama?

START!

Jakby czyjaś ręka miękko i władczo ujęła go i uniosła tak, że od stóp do głów przeszedł go mróz, a gdy płaski dach, tkwiąca na nim mama, drzewa dookoła domu płynnie i szybko zaczęły znikać w dole, serce zabiło radośnie.

Przedmioty w dole systematycznie malały, podczas gdy świat dookoła jakby odsuwając horyzont rozrastał się. Powietrze stało się namacalne i widoczne. Przyjemnie owiewało ciało chłopca, wzbijające się pionowo do góry, wypełniając sobą wszystko od jednego uchodzącego w dal skrawka ziemi do następnego — przezroczyste, świeże, błękitne. Chłopiec niedbale i jakby pyszałkowato pomachał mamie, która była teraz taka malutka. Ziemia oddalała się coraz bardziej, robiła się płaska, jej barwy stawały się coraz bardziej ordynarne. Tak wyglądająca Ziemia nigdy nie podobała się chłopcu. Pochylił głowę, bioczujniki hełmu podchwyciły milczący rozkaz, ciało przyjęło pozycję horyzontalną i chłopiec poszybował w dół trzymając kurs na srebro dalekiego jeziora.

Poprzedni antygrawitator, którego używał od piątego roku życia, nieco szumiał w czasie lotu, podczas gdy ten nowy „Ikar" był całkowicie bezdźwięczny. Już nie ciążyła w powietrzu ani ręka ani noga, tak jak to bywało dawniej — słowem marzenie nie maszyna! Zresztą nic dziwnego. Wczoraj dobry automat, dziś doskonały, jutro jeszcze lepszy — inaczej być nie może. Automaty też się unowocześniają. W pobliżu ziemi wyczuwalne stały się prądy powietrza. Ciało ślizgało się po nich: nieco cieplej, nieco chłodniej, trochę w górę, trochę w dół, niczym z górki na górkę, z fali na falę. Zadowolony przymknął oczy.

Wiedział dobrze, nad czym przelatuje. Sucho, cierpko pachnie trawą — łąka na krańcach miasta. Teraz lekko zahusta — nizina. Gorący, smolisty aromat — jest nad sosnowym borem. Wilgotny zapach mułu — brzeg jeziora. Woń kwitnącego głogu...

Dalej! W chłopcu jakby rozprostowała się jakaś sprężyna. Otworzywszy oczy i wyciągnąwszy przed siebie ręce puścił się na ukos i w dół, w dół, taranując zbliżającą się ścianę drzew.

Wszystko dookoła zlewało się. Był rakietą, leciał do ataku, przed nim była selwa obcej planety, selwa w której walczyli jego przyjaciele, a on poświęcając się... Ta sama miękka i władcza ręka podchwyciła go w pobliżu zwartych pni drzew i wyniosła ponad las. Jak zawsze... Było mu wstyd, że pozbawiony został woli, a przecież za każdym razem, gdy zamierając ze strachu chciał się wbić, ot tak sobie, w przeszkodę, zbawcza interwencja automatu sprawiała mu wyraźną ulgę. Prócz hazardu i upojenia istniał jeszcze strach, minimalny, ale przecież zawsze strach, że automat mimo wszystko nie zdąży. Na szczęście nigdy nie zawodził. Mowy być o tym nie mogło.

Chłopiec wstrzymał dech. Wierzchołki gęstego świerkowego lasu, nad którym właśnie płynął, od czasu do czasu odsłaniały ciemne zbocza ze ścianami kudłatych gałęzi; ciągnęło stamtąd zapachem grzybów. Oczywiście, mógł dać nura w dół i spokojnie spenetrować taką pieczarę, ale wolał wyszaleć się w inny sposób.

Ostro wyrwał do góry i fikając koziołki wiercił się na wszystkie strony tak długo, aż zieleń i błękit zakręciły się przed oczyma w zwariowanym kołowrocie. Wtedy legł na plecach. Powoli świat wrócił na swoje miejsce. Panowały w nim teraz cisza i spokój. Oślepiająca biel rzadkich strzępiastych obłoków kusiła, ale to nie było jednak to. Wewnątrz obłoków jest wilgotno, zimno i nudno. Nadają się one tylko do hałaśliwej zabawy w chowanego, gdy człowiek ma pod sobą pociągające śnieżnobiałe groty, nieważkie arki, bajkowe mosty, a wszystko to jest chwiejne, zmienne i trzeba dokładnych obliczeń, by ten mglisty schowek nie zniknął nagle w najmniej odpowiednim momencie. Tak, zabawa w chowanego to coś fajnego! Wyszukiwanie tęcz też. Jest ich tam oczywiście wiele, ale trzeba znaleźć najwspanialszą, taką, by wszyscy przyznali, że lepszej już nie ma.

A przecież kiedyś bał się latać. Kurczowo łapał w powietrzu ojcowską rękę. Śmieszne! Głupi był wtedy. Jeszcze rok temu też był głupi — marzył o tym, by przelecieć poprzez tęczę. Teraz wie, co to takiego tęcza. „Każdy myśliwy pragnie wiedzieć, gdzie siedzi bażant". Czerwone, różowe, żółte, zielone, błękitne, fioletowe widmo, a wszystkie razem składają się na białe światło. Jest tam jeszcze ultrafiolet, infraczerwień... To takie proste.

Poprzednia pozycja przejadła mu się, więc obrócił się na bok. Leżał tak przez jakiś czas pomiędzy niebem a ziemią, aż nagle zapragnął czegoś nowego. I właśnie wtedy zobaczył szybującego w dali ptaka. Ptak w powietrzu to niczym świerszcze na łące; od czasu, kiedy podrósł, przestał zwracać na nie uwagę i tylko od czasu do czasu, przyczaiwszy się na skraju lasu, z krzykiem wpadał w środek stada zgiełkliwych wron. Był to wyczyn, po którym następowało obowiązkowe mycie (wrony bardzo celnie brudziły) opatrzone uwagami: „Przecież mówiliśmy ci — nie niepokój ptaków; a gdyby ciebie tak ktoś przestraszył, co?" Dorośli lubią wszystko komplikować i gdyby zawsze ich słuchać, to człowiek palcem by nie ruszył. Nigdy nie wpadają w środek stada wron, więc nie wiedzą, co to za frajda. Nie wiadomo, kto kogo powinien się bać — stado rozzłoszczonych wron może przecież podrapać... Rozumie to doskonale, gdyż w dzieciństwie ani tata, ani mama nie latali w powietrzu — nie było wtedy antygrawitatorów. Aż trudno sobie wyobrazić, jak się bez nich obchodzili.

Samotny ptak nie był niczym specjalnie ciekawym, ale przyjrzawszy się mu bliżej chłopiec nieoczekiwanie nastroszył się. Jak majestatycznie szybował ten ptak! Taką rozpiętość skrzydeł mógł mieć tylko... No jasne, to orzeł! Orzeł!

Uhuu! Ciało wzbiło się w powietrze, które nabrało sprężystości. Odległość zmniejszała się systematycznie, ale ptak nadal szybował leniwie, w ogóle nie poruszając skrzydłami. Orzeł był potężny i najwyraźniej stary; jego królewski wygląd wyprowadził chłopca z równowagi. Wśród piór ogona widać było kilka białych i chłopcu aż ślinka pociekła na myśl o tym, że myśliwskim trofeum może stać się PRAWDZIWE ORLE PIÓRO. Wszyscy chłopcy do zabawy w Indian używają syntetycznych, a on będzie miał własnoręcznie zdobyte, prawdziwe!

Skrzydła orła wreszcie drgnęły. Ptak już nie szybował, lecz z jakąś dziwną arogancką pobłażliwością uciekał od prześladowcy. Chłopiec nie myślał o niebezpieczeństwie, o zagiętym dziobie i ostrych szponach, którym mógł przeciwstawić jedynie szybkość swego „Ikara". Dotąd orzeł był dla niego tylko symbolem, bohaterem multifilmu, ilustracją w książce, a tu miał go przed sobą żywego, prawdziwego, królewskiego. Takiej zdobyczy nie można wypuścić. Wiatr przybrał na sile, powietrze ociekało niczym woda, z oczu pociekły łzy. Ale na hełmie były okulary, więc chłopiec pośpiesznie opuścił je.

Jednakże — a to pech! — odległość prawie nie zmniejszała się.

SZYBCIEJ!

Grzejąca, gdy chłodno, termoodzież szczelnie przylegała do ciała, ale wiatr już ją odrywał wydmuchując ciepło. Ręce kostniały, ale któż zwraca uwagę na takie drobiazgi w czasie polowania?!

Skrzydła orła miarowo cięły powietrze. Ale odległość zmniejszała się!! Piekła twarz, gwizdał w uszach wiatr, zapierało dech. Żeby tylko dopędzić! Orzeł zdawał się być potężnym automatem, tak równy, szybki i spokojny był jego lot.

A jednak chłopiec zbliżał się do niego.

Tracąc wielkość, a jednocześnie podobieństwo do maszyny, orzeł szarpnął się w bok, w dół... (Chłopiec powtórzył manewr nie tracąc ani centymetra). W tym wyścigu zawodnicy nie mieli jednak równych szans, orzeł tracił siły a chłopiec nie. Ale chłopcu, którego ciało zmagało się z gniotącym naciskiem powietrza wydawało się, że to on sam leci, sam walczy i zwycięża.

Jak pościg to pościg!

Jeszcze kilkadziesiąt centymetrów wygrane, jeszcze...

Orzeł nieoczekiwanie ostro skręcił i chłopiec znów stracił kilkanaście centymetrów, gdyż jego długie ciało nie było w stanie zatoczyć tak małego łuku.

Ucieka, ucieka!...

Ale nie, moc aparatu przemogła siłę orła. Ogona można już było dotknąć palcami... Tylko że skostniałe, zaciśnięte w kułak palce niechętnie słuchały chłopca. O mało nie rozpłakał się, wyciągnął się do przodu tak, że aż pociemniało mu w oczach.

W momencie, gdy szarpnął za pióro, zdarzyło się coś absolutnie nieprzewidzianego. Ciało orła nagle dziwnie się przechyliło, skurczyło całe i przeleciało nad nogami chłopca.

Gwałtownie zahamował, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego orzeł opada, dlaczego tak dziwnie kręci się jego ciało i pod dziwnym kątem unosi się na przemian to jedno to znów drugie skrzydło.

Cisza, jaka zapanowała, ogłuszyła go. A tymczasem ptak, który stał się nagle jakiś taki niezgrabny, wciąż opadał, to wolno szybując, to znów lecąc w dół jak kamień... Niczego nie rozumiejący chłopiec runął w ślad za uchodzącą zdobyczą.

Orzeł był niestety szybszy. Odruchowo przyjąwszy właściwą do lądowania pozycję — nogi ugięte w kolanach, ręce przyciśnięte do ciała — chłopiec opadł w pobliżu. Osłabłe mięśnie źle zamortyzowały uderzenie i zwalił się na plecy. Zaraz jednak poderwał się na równe nogi i strapiony ruszył w stronę nieruchomego ptaka. Jedno orle skrzydło dziwnie rozpłaszczone leżało na ziemi, natomiast drugie nienaturalnie uniesione wyglądało na złamane.

Nie było już w tym ptaku niczego królewskiego, niczego z obojętności potężnego władcy przestworzy, niczego z zagonionego, ale zawsze przecież największego ptaka. Był natomiast stłamszony, niechlujnie nastroszony trup, którego do połowy zaciągnięte bielmem oko mętnie wpatrywało się w niebo. Chłopiec jeszcze nie wierząc, że orzeł jest martwy, zrobił głęboki wdech. Przecież on wcale nie chciał czegoś takiego. Jakże to tak? A więc to, co widzi, jest śmiercią? A więc to znaczy, że tak kruche jest również i jego życie? Ależ to niesprawiedliwe, niesprawiedliwe!!!

Chłopiec stłumił w sobie okrzyk i obejrzał się, jakby szukał wsparcia. W jasnym słońcu zieleniła się trawa, w powietrzu unosiły się motyle, a przecież mimo to we wszystkim była taka pustka, taka bezwzględność i okrucieństwo odkrywającego się przed nim nowego porządku, że zmroził go strach. Ulgę przyniosły dopiero łzy, które starał się powstrzymać, lecz nie mógł, łzy które mgiełką zasnuły świat.

Chciał biec, natychmiast biec do mamy, ojca, obojętnie kogo, byleby tylko nie był już sam. Coś jednak zatrzymało go w miejscu.

Wiedział co. Na najbliższym pagórku w szczelinie złocił się piasek, w którym można było wykopać mogiłę. Ruszył tam wycierając łzy.

I właśnie wtedy zauważył, że ściska w pięści pióro. Rozprostował palce.

Na jego dłoni leżało wymiętoszone, szare od pyłu pióro, które tam w górze wydawało się mu tak upragnione i białe.

Przełożył: MICHAŁ SIWIEC

Gra

Powieść Marka Oramusa pt. „Senni zwycięzcy" na pozór zdaje się nie odbiegać od schematycznych wzorców prozy SF. Oto przed laty wyruszył z Ziemi na podbój kosmosu olbrzymi statek. Wielotysięczna załoga, ulokowana na niezliczonych poziomach imitujących świat ziemski, wiele już razy zasypiała w hibernatorach i budziła się do nowych zadań. Społeczeństwo tej miniaturowej Ziemi egzystowało bez wstrząsów i konfliktów.

Spajająca wszystkich nić wielkiej idei eksploracji przestworzy zaczęła jednak z czasem powoli pękać. Urodziły się już nowe pokolenia, bardziej sceptycznie zapatrujące się na sens i cel tej wielkiej podróży. Załoga statku staje się kłębkiem społecznych nerwic. Bohaterowie są zmęczeni. Ludzie albo błąkają się bez celu, albo zagłuszają swój egzystencjalny niepokój muzyką, narkotykami, seksem. Dowódcy ogłaszają więc powrót — lecz dla nikogo nic on już nie oznacza; w kosmosie nic nie osiągnięto, statek przybywa więc jak gdyby znikąd i zmierza do Ziemi, która przez długie lata oddalenia stała się obca i wroga. Wśród załogi zaczynają się mnożyć akty terroru, lecz nawet one nie są w stanie zmienić paraliżującej wolę atmosfery snu, apatii, marazmu — „ludzie są senni, ospali, śpią na krzesłach, śpią idąc, śpiąc kochają się". „Czekali na coś wielkiego, żyli i pracowali dlatego, że jutro miał w ich życiu dokonać się przełom. (...) Ale dni uciekały i żaden z nich nie przynosił spełnienia nadziei".

Bohaterowie „Sennych zwycięzców" nieustannie natykają się na ściany — symbole ich fizycznej i duchowej niewoli. Słowo „wolność" traci dla członków załogi jakiekolwiek znaczenie. Nie ma przeszłości ani przyszłości, istnieje tylko rzeczywistość, która swoimi barierami i zakazami kształtuje charaktery ludzi. Mit kosmicznej podróży rozmywa się więc i blednie, płowieje marzenie o bohaterskich wyczynach i podbojach. Ten sztuczny, zamknięty świat, niesiony ku niewiadomej Ziemi, staje się w momencie rozluźnienia prawie wszystkich więzi między ludźmi bardzo łatwym obiektem manipulacji.

Najpierw więc wymyśla się tzw. „Dwukolorowych", tajemniczych, niewidzialnych wrogów, winnych wszystkim gwałtom, powtarzającym się coraz częściej na pokładzie statku. Następnie wzmacnia się władzę, organizuje „prawdziwe" kampanie wyborcze, mnoży się struktury. Nie wiadomo do końca, czy ogłoszenie załodze decyzji o powrocie na Ziemię, nie było także aktem manipulacji — dowódcy mogli przecież tylko, jak mówi cynicznie jeden z bohaterów powieści, „prolongować nadzieję". Mit wewnętrznego zagrożenia, z początku sprzyjający spragnionym władzy dowódcom, styka się w końcu z zagrożeniem realnym, konkretnym. To zamknięte społeczeństwo jest bowiem światem czekającym na zagładę i jak gdyby ku niej zdążającym. Wszystko okazuje się grą — o której regułach nic nie wiedzą bierni jej uczestnicy. Ich życie i śmierć są tylko rolami, a te mogą być zagrane równie dobrze przez kogoś innego: „Obracająca się bezustannie karuzela świata przyniesie kiedyś na twoje miejsce tego, który stoi przed tobą i czeka — i nie wie jeszcze, że ty nie możesz mu pomóc".

„Senni zwycięzcy" są więc zarazem: science fiction, powieścią grozy i sensacji, traktatem filozoficznym, a przede wszystkim realistycznym obrazem świata zagrożonego. W grę z autorem wciągnięty zostaje czytelnik, któremu powoli odsłania się kolejne warstwy powieści. Autor niczego jednak nie wyjaśnia i nie dopowiada do końca. Powieść Oramusa nie spodoba się może tym miłośnikom literatury fantastycznej, którzy szukają w niej wyłącznie łatwej rozrywki i oczywistych point. Autor „Sennych zwycięzców" wykorzystuje bowiem formy powieści SF dla analizy sytuacji społecznego kryzysu, dla przekazania głębokiej prawdy o człowieku. Świat utworu, choć zgodnie z fabułą, zamknięty stalowymi ścianami kosmicznego statku, pozostaje otwarty. Gra toczy się dalej.

MARIA BARTUS

Marek Oramus, „Senni zwycięzcy", Czytelnik; nakład 30 000 egz., 253 str., 80 zł.

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

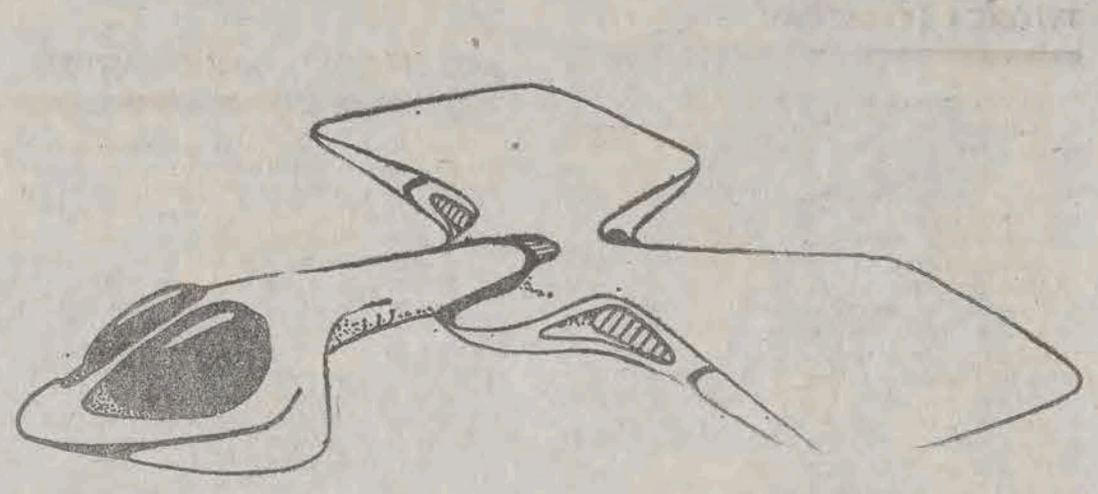

Notowania giełdowe czerwiec '83

Czerwcowa giełda zgromadziła 23 wystawców. Na 209 prezentowanych książek, nabywców znalazło 138 egz. Sprzedano je za sumę 21.949 zł. Cena statystycznej książki wyniosła w tym miesiącu 159 zł, utrzymując się na zeszłomiesięcznym poziomie.

Oto lista naszych liderów:

1. J. G. Ballard „OGRÓD CZASU" — 850 zł.
2. A. Hollanek „KATASTROFA NA SŁOŃCU ANTARKTYDY" — 800 zł.
3. K. Boruń, A. Trepka „KOSMICZNI BRACIA" — 800 zł.
4. R. Bradbury „KRONIKI MARSJAŃSKIE" — 700 zł.
5. R. Silverberg „CZŁOWIEK W LABIRYNCIE" — 700 zł.
6. I. Asimov „POZYTRONOWY DETEKTYW" — 650 zł.
7. J. Żuławski „TRYLOGIA" — 500 zł.
8. antologia „W POGONI ZA WĘŻEM MORSKIM" — 440 zł.
9. M. Maliński „TERRA — KONIEC ERY AUTOMATÓW" — 360 zł.
10. A. Smuszkiewicz „ZACZAROWANA GRA" — 340 zł.
11. A. B. Strugaccy „PONIEDZIAŁEK ZACZYNA SIĘ W SOBOTĘ" — 270 zł.
12. H. G. Wells „PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU" — 260 zł.
13. S. Spielberg „BLISKIE SPOTKANIA TRZECIEGO STOPNIA" (w.w.) — 260 zł.
14. K. Bułyczow „MIASTO NA GÓRZE" — 250 zł.
15. G. Adamow „WYGNANIE WŁADCY" — 250 zł.
16. antologia „WEHIKUŁ WYOBRAŹNI" — 250 zł.

oraz w granicach 200—240 zł jeszcze 9 pozycji.

M. D.

Technika kosmiczna

Radziecki wahadłowiec

Podczas gdy rozwój amerykańskiego systemu transportu kosmicznego wielokrotnego użycia, po ukończeniu serii lotów testowych zbliża się do początku fazy operacyjnej, w fachowych periodykach zachodnich poczynają się mnożyć wzmianki o pracach radzieckich nad stworzeniem podobnego systemu. Informacje na ten temat, pochodzące „z pierwszej ręki", były dotąd niezwykle skąpe (w Polsce był to na przykład artykuł, który ukazał się w jednym z numerów „Kraju Rad"). Więcej szczegółów przyniosła dopiero publikacja G. B Siniariewa i współautorów, zamieszczona w wydanej w drugiej połowie 1982 roku pracy zbiorowej „K. E. Ciołkowski i postęp naukowo-techniczny" (Moskwa 1982, Izd. Nauka).

Nie jest ona na pewno najnowszym sprawozdaniem z prac nad radziecką wersją wahadłowca, gdyż pochodzi z roku 1975, w którym była przedstawiona na dorocznych konferencjach poświęconych wkładowi Ciołkowskiego w rozwój różnych dziedzin nauki i techniki. Ponieważ jednak w wersji opublikowanej we wspomnianej książce autorzy cytują prace z lat 1976 i 1978, przypuszczać należy, że przedstawiony przez nich projekt systemu transportowego jest rozwijany, a tekst publikacji został zaktualizowany, przynajmniej częściowo.

CHARAKTERYSTYKA OGÓLNA

Cechą charakterystyczną przedstawionego we wspomnianej pracy transportowego systemu kosmicznego jest start w płaszczyźnie poziomej, z powierzchni wody (co tłumaczy nazwę przyjętą dla projektu: „Albatros"). Podobne rozwiązanie ma, zdaniem autorów, wiele zalet. Najważniejsze spośród nich, to zbędność bardzo kosztownych inwestycyjnie i eksploatacyjnie instalacji startowych i możliwość transportu wielkogabarytowych elementów konstrukcyjnych „Albatrosa" wyłącznie drogami wodnymi (co jest o wiele tańsze, a czasem jedynie możliwe). Przy starcie z powierzchni morza kierunek lotu nie jest ograniczony orientacją przestrzenną pasa startowego, a nadto nie jest ograniczona długość drogi potrzebnej do odpowiedniego rozpędzenia „Albatrosa" przed startem.

KONSTRUKCJA

System transportu kosmicznego „Albatros" składa się z trzech części: dwie z nich tworzą tak zwany samolot orbitalny (SO), trzecią jest blok rozpędowy (BR), służący do nadania SO odpowiedniej prędkości początkowej i spełniający podobną rolę co rakiety na paliwo stałe, wspomagające start amerykańskiego wahadłowca. Autorzy referowanej pracy powołują się tutaj na K. E. Ciołkowskiego, który jako pierwszy zaproponował użycie naziemnych środków wstępnego rozpędzania rakiet kosmicznych. Dwie części „Albatrosa", składające się na SO, odpowiadają dwu stopniom pojazdu rakietowego — są to: rakietowy samolot transportowy (ST) i rakietoplan, będący właściwym pojazdem kosmicznym, umieszczony na „grzbiecie" ST. SO, czyli SO plus rakietoplan, umieszczony z kolei jest na BR — łodzi o napędzie rakietowym, wyposażonej w dwa rodzaje podwodnych skrzydeł.

Przy małych prędkościach (do 50 m/s) większą część hydrodynamicznej siły unoszącej dostarczają skrzydła podkawitacyjne, podobne do stosowanych w zwykłych wodolotach. Skrzydła te nie dopuszczają do powstania kawitacji, pojawiającej się przy dużych prędkościach i powodującej silną wibrację, prowadzącą do zniszczenia konstrukcji. Z tego właśnie powodu ruch BR z prędkościami przekraczającymi 50 m/s odbywa się na skrzydłach drugiego rodzaju — nadkawitacyjnych, pracujących w reżimie rozwiniętej kawitacji. Umożliwiają one osiągnięcie prędkości około 200 m/s.

Przy projektowaniu samolotu orbitalnego przyjęto następujące założenia: masa startowa SO — 1250 ton; masa użyteczna wynoszona na orbitę — 20-30 ton; wysokość orbity — 200-220 km; nachylenie orbity — 40-45 stopni; prędkość startowa SO — 140-200 m/s; maksymalne przeciążenie — 3,35 g.

Silniki rakietowe obu „stopni" SO oraz BR napędzane mają być ciekłym tlenem i ciekłym wodorem. Wykorzystanie tego właśnie zestawu paliwowego, przy startach z powierzchni morza jest wygodne również dlatego, że oba składniki otrzymywać można bezpośrednio w rejonie startu „Albatrosa" — jeśli tylko, jak piszą autorzy, ulokować w pobliżu elektrownię jądrową.

PRZEBIEG LOTU

W fazie rozpędzania nawodnego pracują wyłącznie silniki BR. „Albatros" startuje początkowo jak zwykły statek. Po osiągnięciu prędkości 30 m/s unosi się na podwodnych skrzydłach podkawitacyjnych, aż do prędkości 50 m/s, powyżej której ruch odbywa się już wyłącznie na skrzydłach nadkawitacyjnych. Ponieważ z obliczeń wynika, że wzrost SO może nastąpić przy prędkości 140 m/s i kącie natarcia ≈16°, na 20 sekund przed jej osiągnięciem przód SO unoszony jest przez specjalny podnośnik hydrauliczny po to, by osiągnąć wymagany kąt natarcia. Przy 140 m/s włączają się silniki ST i następuje start SO. Po odłączeniu się SO od BR, ten ostatni odholowywany jest do doku, gdzie można przygotować go do następnego lotu „Albatrosa". Pierwszy stopień SO — samolot transportowy, wynosi rakietoplan na wysokość 55-60 km, nadając mu prędkość 2000-2200 m/s. Następuje wtedy oddzielenie rakietoplanu, po czym ST lotem ślizgowym wraca na Ziemię, lądując na zwykłym lotnisku. Silniki marszowe rakietoplanu, uruchomione zaraz po rozdzieleniu z ST, rozpędzają go do pierwszej prędkości kosmicznej umożliwiając w ten sposób osiągnięcie orbity nominalnej (H = 220 km, i = 45°). Po zakończeniu misji orbitalnej rakietoplan wraca na Ziemię po trajektorii pozwalającej na wytracenie prędkości i ląduje na betonowym pasie lotniska.

CO JUŻ ZROBIONO?

W ramach prac nad systemem transportu kosmicznego „Albators" wykonano dotąd obliczenia balistyczne, obliczenia charakterystyk termicznych, obejmujące wszystkie etapy lotu obu stopni SO, obliczenia dotyczące ruchu bloku rozpędowego aż do prędkości 200 m/s. Wykonano również projekty silników rakietowych o ciągu 100, 250 i 300 ton, otrzymano charakterystyki masowe i określono parametry geometryczne poszczególnych elementów systemu „Albatros", wykonano obliczenia wytrzymałościowe zasadniczych elementów konstrukcyjnych systemu, a także określono warunki stworzenia kompleksu startowego wymaganego do realizacji projektu. Jednym z rezultatów tych prac jest uściślenie masy ładunku użytecznego na 20 ton. Zdaniem autorów prezentowanej pracy, system transportu kosmicznego wielokrotnego użycia „Albatros", pod względem charakterystyk masowych i energetycznych nie ustępuje perspektywicznym systemom tej samej klasy, a nawet ma nad nimi pewną przewagę wynikającą z korzyści, jakie daje start z powierzchni morza, następujący w płaszczyźnie horyzontalnej.

ZBIGNIEW PAPROTNY
(„Astronautyka" 1, 83)

(Opracowano na podstawie artykułu G. B. Siniariewa i współautorów „Transportnaja kosmiczeskaja sistiema „Albatros").

Ważne wydarzenia w kosmosie w latach 1975–1982

ROK 1975

19.IV — Hinduski **SSZ „Aryabhata"** z ośrodka startowego w ZSRR i przy użyciu radzieckiej rakiety nośnej. Badania wysokoenergetycznego promieniowania gwiazd i Słońca.

8.VI — Radziecki próbnik **„Wieniera 9". 22.X stał się SS Wenus.** Lądownik, odłączony od satelity w tym samym dniu dotarł przez atmosferę do powierzchni planety i przekazał po raz pierwszy zdjęcia fotograficzne okolicy lądowania oraz nadał wyniki badań atmosfery.

15.VII — Początek realizacji spotkania na orbicie statków **„Sojuz 19" i „Apollo".** Start **„Apolla"** z załogą: **Thomas Stafford, Vance Brand i Donald Slayton** oraz **„Sojuza": z Aleksiejem Leonowem i Walerym Kubasowem.** Po połączeniu lot wspólny 2 statków kosmicznych 17—19.VII, przechodzenie członków załogi do połączonego drugiego statku, wspólne prace i badania, po czym rozłączenie. „Sojuz 19" wylądował 21.VII, „Apollo" przebywał jeszcze 3 dni na orbicie, gdyż był to już ostatni statek z tej serii i wykorzystano go do przeprowadzenia wielu dodatkowych doświadczeń. Wodował 24.VII. Mimo odmiennej atmosfery we wnętrzu obydwu statków i różnych układów klimatyzacyjnych, przechodzenie załogi z jednego statku do drugiego odbywało się sprawnie, dzięki wprowadzeniu dodatkowej śluzy w miejscu połączenia się statków.

20.VIII — Próbniki **„Viking 1" i 9.IX „Viking 2"** (USA) do planety Mars. Osiągnęły cel 20.VII i 3.IX 1976 po przebyciu ponad 750 mln km. Weszły na orbity dokoła planety w celu sprawdzenia prawidłowości wyboru miejsc lądowania. Okazało się, że trzeba było wybrać inne miejsce niż planowane ze względu na nierówności terenu. Lądowniki oddzieliły się od próbników i przy zastosowaniu spadochronów oraz silniczków hamujących łagodnie wylądowały.

22.XII — Stacjonarny, łącznościowy **SSZ „Raduga 1"** (ZSRR) umieszczony nad Oceanem Indyjskim przy południku 80° E.

ROK 1976

19.II — Geostacjonarny **SSZ „Maristat 1"** (USA) dla potrzeb marynarki i nawigacji morskiej. Zapoczątkowanie serii o tej nazwie.

9.VIII — Start i 19.VIII miękkie lądowanie radzieckiego próbnika **„Łuna 24"** (ostatni z tej serii) na Księżycu. Pobranie próbek gruntu z głębokości 2 m i przekazanie ich na Ziemię powrotnikiem 22.VIII.1976.

ROK 1977

15.II — 12.VIII — 11 początkowych testów wahadłowca **„Enterprise"** (USA), w tym 3 naziemne i 8 powietrznych, z czego 3 ostatnie przy udziale załogi. Wahadłowce mają przejąć z czasem prawie cały transport Ziemia — Orbita — Ziemia w USA i do roku 1991 wykonać 226 lotów załogowych z ładunkiem do 30 ton i do 7 osób w każdym locie.

10.III — Łącznościowy **SSZ „Palapa"** (Indonezja).

30.III — SSZ „Kosmos 900" (ZSRR, CSRS, NRD), do badań jonosfery i magnetosfery biegunowej.

20.IV — SSZ „Geos 1" (Zachodnioeuropejskie Konsorcjum STAR) do badań geofizycznych. Początek serii satelitów tego rodzaju.

17.VI — Astronomiczny **SSZ „Signe 3"** (Francja) za pomocą rakiety ZSRR.

3—22.VIII — Lot biologicznego **SSZ „Kosmos 936"** (ZSRR, CSRS, Polska, NRD, SRR, Bułgaria, Węgry, Francja i USA). Sprowadzenie pojemn. na Ziemię.

20.VIII — Start próbników **„Voyager 2"** (USA) i 1.IX. **„Voyager 1"** do planet-olbrzymów. **„Voyager 1"** wyprzedził swego rywala i przeleciał koło Jowisza 5.III.1979 w odległości 277 000 km. W pobliże Saturna dotarł 12.XI.1980 mijając go w odległości 111 800 km, **„Voyager 2"** znalazł się najbliżej Jowisza 10.VII.1979 (650 000 km), 25.VIII.1981 minął Saturna w odległości 89 000 km.

25.VIII — Geostacjonarny SSZ łącznościowy **„Sirio 1"** (Włochy).

29.IX — Wprowadzenie na orbitę stacji kosmicznej **„Salut 6"**, która służyła prawie 5 lat (do 1982 r.) załogom radzieckim i międzynarodowym. W sumie w „Salucie 6" pracowało 5 stałych (długotrwałych) załóg radzieckich i 11 kilkudniowych, wśród nich 8 międzynarodowych, z udziałem kosmonautów Czechosłowacji, Polski, NRD, Węgier, Wietnamu, Kuby, Mongolii i Rumunii, łącznie 27 kosmonautów w ciągu 676 dni. Wykonano łącznie 35 połączeń „Saluta 6" z innymi statkami („Sojuz" i „Progress") oraz przeprowadzono setki programów badań naukowych. 29.VII.1982 „Salut 6" wszedł w gęstsze warstwy atmosfery i spłonął.

10.XII — „Sojuz 26" z załogą: **Jurij Romanienko** i Gieorgij Greczko. Połączyli swój statek z „Salutem", przeszli do jego wnętrza jako pierwsza stała załoga i pracowali tam do 16.III. 1978, ustalając kolejny rekord długości czasu trwania załogowego lotu kosmicznego — 96 dni 10 h.

ROK 1978

25.I — SSZ „Chiny 8" (Chiny Ludowe). Odzyskanie 31 I pojemnika 2,4 t.

2—10.III — Lot **„Sojuza 28"** (ZSRR) z pierwszą załogą międzynarodową: Aleksiej Gubariew (ZSRR) i Vladimir Remek (CSRS), połączenie z zespołem: „Salut 6" i „Sojuzem 26", wykonywanie wspólnych badań z załogą „Saluta 6".

20.V — Amerykański próbnik **„Pioneer 12"** do Wenus („Pioneer-Venus 1"), **5.XII SS Wenus** na eliptycznej orbicie o periapsis = 150 km i apoapsis 66 000 km.

15.VI — Start kolejnej stałej załogi **„Saluta 6"** statku **„Sojuz 29"** (ZSRR): **Władimir Kowalonok i Aleksander Iwanczenkow,** zrealizowali bogaty program badań we wnętrzu „Saluta 6" i ustalili nowy rekord długości trwania ekspedycji załogowej w kosmosie — 139 dni. 2.XI. powrót na Ziemię w „Sojuzie 31".

27.VI—5.VII — Lot **„Sojuza 30" z płk Piotrem Klimukiem** i pierwszym Polakiem w kosmosie, kosmonautą **mjr Mirosławem Hermaszewskim.** Po połączeniu statku **„Sojuz 30"** z **„Salutem 6"** obydwie załogi realizowały przez tydzień zaplanowane eksperymenty, m. in. przygotowane przez Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej w Warszawie. W znakomitej formie radziecko-polska załoga „Sojuza 30" wróciła na Ziemię po wykonaniu zadań.

9 i 14.IX — Start próbnika **„Wieniera 11"** i **„Wieniera 12"** ku planecie Wenus. „Wieniera 12" wylądowała łagodnie 21.XII o 4 dni wcześniej niż „Wieniera 11".

24.X — SSZ „Interkosmos 18" (z aparaturą Polski, ZSRR, Rumunii i Węgier oraz SSZ z Czechosłowacji 14.XI wysłanym za własną orbitę). Badanie jonosfery i magnetosfery Ziemi.

ROK 1979

25.II — „Sojuz 32" (ZSRR) z załogą: **Władimir Lachow** i **Walery Kiumin** i połączenie z **„Salutem 6".** Pobyt poza Ziemią przez 175 dni (nowy rekord). Połączenie ze statkami **„Sojuz 34"** oraz **„Progress 5, 6 i 7".** Obszerny program prac i eksperymentów, obejmujący m. in. wyjście w skafandrach poza stację i demontaż anteny radioteleskopu oraz urządzeń dla rejestracji mikrometeorytów. Próba połączenia z **„Sojuzem 33"**, w którym nadleciała z Ziemi załoga międzynarodowa (N. Rukawiszników — ZSRR i **G. Iwanow** — Bułgaria) nie powiodła się i załoga ta musiała wrócić na Ziemię.

ROK 1980

9.IV — „Sojuz 35" (ZSRR) z załogą: **Walery Riumin i Leonid Popow.** Połączenie z **„Salutem 6"** i wielokierunkowe prace badawcze jako załogi stałej „Saluta 6" z przybywającymi kolejno załogami: radziecką w **„Sojuzie T-2"** i międzynarodowymi w **„Sojuzach 36, 37 i 38"** oraz rozładowanie przycumowanych kolejno statków transportowych „Progress 8, 9 i 10".

18.VII — SSZ „Rohini" (Indie) już przy użyciu [illegible] rakiety nośnej z hinduskiej bazy startowej.

ROK 1981

12—14.IV — Pierwszy próbny lot wahadłowca **„Columbia"** (USA) z załogą: **John Young i Robert Crippen.** Początek serii lotów „Columbii" na orbitę: 12—14.XI.1981; 22—30.III.1982; 27.VI —4.VII.1982.

30.X i 4.XI — Próbniki Wenus: **„Wieniera 13" i „Wieniera 14".** Doleciały one i miękko wylądowały na powierzchni planety 1 i 5.III.1982. Pobrały próbki gruntu na miejscu lądowania i przeprowadziły szybką analizę składu chemicznego, która wykazała, że są to silne zasadowe bazalty, na Ziemi rzadko spotykane. Wyniki przekazano niezwłocznie na Ziemię, jak również po raz pierwszy wykonano barwne zdjęcie otoczenia. Nadajniki funkcjonowały „W. 13" — 127 min. i „W. 14" — 60 min.

ROK 1982

19—20.IV — Wejście na orbitę kolejnej, udoskonalonej stacji kosmicznej **„Salut 7"** (ZSRR). 13.V start podstawowej załogi **„Saluta 7"** w statku **„Sojuz T-5": Anatolij Bieregowoj i Walentin Lebiediew.** Połączenie „Sojuza T-5" z zespołem: „Salut 7" i „Progress 13", przejście do wnętrza „Saluta 7" i rozpoczęcie wielomiesięcznego pobytu, wypełnionego wielokierunkowym programem badań.

24.VI—2.VII — Lot **„Sojuza T-6"** (ZSRR) z międzynarodową załogą: **Włodzimierz Dżanibekow, Jean Loup Chretien** z Francji i **Aleksander Iwanczenkow,** połączenie z **„Salutem 7"** i wspólna praca obu załóg. 27.VI — 2.VII po raz pierwszy astronauci 3 państw jednocześnie na orbitach: ZSRR, Francji i USA (czwarty lot **„Columbii").**

19—27.VIII — Lot statku **„Sojuz T-7"** (ZSRR) z załogą: **Leonid Popow, Swietlana Sawicka i Aleksander Sieriebrow.** Druga kobieta po W. Tereszkowej po 19 latach na orbicie. Połączenie z „Salutem 7" i wspólne eksperymenty obu załóg.

Oprac. WŁADYSŁAW GEISLER

Proces „kibica" Widzewa

Rzucił czy nie?...

Ten dzień jeszcze do dziś pamiętają kibice piłkarscy z całej Polski. Dzień rewanżowego meczu — półfinału Pucharu Europy pomiędzy Widzewem — Łódź i sławnym zespołem „gwiazd" — turyńskim Juventusem. Na boisku „ZIBI" czyli Boniek, Platini, staruszek Zoff oraz „złota nóżka" hiszpańskiego Mundialu — sam Paolo Rossi.

W drugiej części spotkania na murawę stadionu padła butelka, która ugodziła w głowę sędziego liniowego — Holendra de Vrieze. Na stadionie powiało grozą. Mecz mógł być przerwany, choć nie został, dzięki — jakbyśmy to u nas nazwali — „obywatelskiej postawie" arbitra. Narodziła się również w tym momencie refleksja, że przecież organizatorzy tego festiwalu uczynili wszystko, by zawody przebiegały bez incydentów. Wybudowano specjalną siatkę okalającą murawę boiska i oddzielającą widownię od bieżni stadionu. Przed wejściem odbierano butelki z alkoholem. A mimo to na trybunach znaleźli się „faceci zawiani". Ba, niektóre grupy urządziły sobie na stadionie niemal... pijacki piknik z dobrą zakąską. Teczka wypchana smacznie wyglądającymi „schabowymi" (to chyba nie kartkowy przydział?), no i, powiedzmy, ileś tam butelek „Bałtyckiej". Jak oni to wnieśli na stadion, pozostanie ich tajemnicą. A poza tym, czy organizatorzy uczynili naprawdę wszystko, by zapobiec skandalowi?

Kazimierz Ż. jest zagorzałym kibicem Widzewa. O takich mówi się, że dla tej jedenastki „dałby się powiesić". Bardzo bolało go, gdy ktoś o jego kochanym zespole wykrzykiwał: „Widzew, dziady"! Wiedział, że Młynarczyk, Smolarek, Tłokiński, Surlit i s-ka są najlepsi w kraju. Przyjeżdżał spod czarnocińskiej wsi na każdy mecz swej ulubionej drużyny. Nie mógł jej również opuścić, gdy ta walczyła przecież o finał Pucharu Europy przeciwko „artystom futbolu". Wykupił więc wcześniej bilet na miejsca stojące. Tego dnia traktorzysta jednego z PGR województwa piotrkowskiego po powrocie z pracy zjadł coś na chybcika, popił herbatą, za pazuchę włożył pół litra „Bałtyckiej" i wyruszył w drogę do Łodzi wraz z innymi kolegami. Trzej byli mu znani, czwarty — nie. PKS dojechali do dworca Fabrycznego. Była godzina 16.30. Szybko przeszli do tramwaju „24" i pojechali na stadion. Jeszcze nie wiedział, że tą samą drogą już nie wróci do domu i będzie musiał oglądać świat z celi aresztu śledczego. Gdy jednym z tuneli chce wejść na widownię, służba porządkowa i funkcjonariusze MO zatrzymują go. Dokładnie sprawdzają i znajdują z tyłu, za paskiem spodni, pół litra „Bałtyckiej". — Wylać, oddać do depozytu? Co pan chce z tym zrobić? — padają pytania. — Kazimierz Ż. decyduje się na opuszczenie stadionu. Jest na parkingu przy al. Unii, od strony dworca Kaliskiego. Wiele różnokolorowych grup kibiców. Tu postanawia wypić alkohol i powrócić do kolegów. Pożycza od jednej z grup szklankę (nie pije więc „z gwinta") i na dwa, trzy razy wprowadza zawartość butelki do organizmu. Jest tego około 400 gram. Pozostałe sto dla pożyczającego, oczywiście. Nic za darmo. Alkohol jeszcze nie działa. Na 40 minut przed rozpoczęciem meczu powraca na stadion i na widowni odnajduje swych kolegów. Siada razem z nimi w sektorze położonym naprzeciwko trybuny głównej, w części boiska zakończonej elektronicznym zegarem. Przerwa. Organizm daje o sobie znać. Wychodzi do toalety. Powraca, ale swej grupy nie może już odnaleźć. Siada byle gdzie. Urywa mu się film. Pewne oznaki świadomości odzyskuje dopiero w poleskiej komendzie Milicji Obywatelskiej.

Jest podejrzany o rzucenie szklanego przedmiotu na płytę stadionu i uszkodzenie głowy holenderskiego sędziego. Nie pamięta tego, jak kibice skandowali: „Wydać go! Wydać go!" Nie pamięta, jak przeciągnięto go wąskim otworem pod ogrodzeniową siatką i jak przewieziono potem do szpitala w celu pobrania krwi. Wszystko, co stało się na stadionie ŁKS, jest dla niego jednym wielkim koszmarem. Wyszedł z domu na mecz i już nie powrócił...

PIERWSZA ROZPRAWA

Gdy wchodzę na salę V gmachu sądu przy Placu Dąbrowskiego, tuż przed godz. 9, miejsca prasowe już zajęte. Przed salą tłum ludzi. Niecodzienny przecież proces. Do środka jednak dostają się tylko ci, którzy mają specjalne przepustki. Dowiaduję się, że jest nawet przedstawiciel „Dziennika Ludowego". Ktoś żartuje, że przecież oskarżony jest... traktorzystą. Radio, telewizja. Rozpoczyna się pierwsza — jak się później okazało nie jedyna — rozprawa. Przewodniczący składu orzekającego zezwala na zapis magnetofonowy i filmowy oraz udział prasy ze względu na wymowę społeczną popełnionego czynu.

Spoglądam na ławę oskarżonych. Kazimierz Ż. przy eskortujących go milicjantach wygląda jak Dawid przy Goliacie. Sąd odczytuje akt oskarżenia, podejrzany składa zeznania. Wcześniej jednak jeden z naszych kolegów żurnalistów występuje w głównej roli. Obrońcy Kazimierza Ż. wnoszą o przesłuchanie w charakterze świadka Janusza Atlasa, reportera „Tu i Teraz", którego artykuł „Gra w butelkę", zamieszczony w tym tygodniku, jest — zdaniem adwokatów — najwierniejszym odzwierciedleniem przebiegu wydarzeń na boisku w owym dniu. Warszawski dziennikarz oglądał z bieżni sektor, z którego wyprowadzono oskarżonego, może w tej sytuacji wiele wyjaśnić. Sąd przychyla się do prośby obrony i świadek Atlas, specjalista od poszukiwania wszelkiego rodzaju afer, opuszcza salę sądową.

Kazimierz Ż. składa zeznania. Przewodniczący składu orzekającego zadaje pytania:

— Dlaczego oskarżony nie przyznaje się do winy? Przecież w postępowaniu przygotowawczym zeznawał, że nie pamięta, co stało się na stadionie?

— Teraz, po pewnym czasie uzmysłowiłem sobie, że ja przecież tego nie mogłem zrobić...

— Co oskarżony zrobił z butelką po wypiciu jej zawartości?

— Zostawiłem przed stadionem.

— Czy przed wyjazdem do Łodzi na mecz nic nie pił?

— Ani grama.

— A później, na stadionie?

— Ani grama.

— Kiedy oskarżony odzyskał świadomość, kiedy rozpoznawał, gdzie się znajduje?

— Dopiero na komendzie. Stamtąd przewieziono mnie do jakiegoś innego gmachu, gdzie pobierano mi krew. Wtedy naprawdę już cokolwiek rozpoznawałem. Kazano mi stanąć na jednej nodze...

— Czemu oskarżony nie oddał butelki alkoholu do depozytu?

— Był już zajęty...

— Kiedy siedział na widowni podczas drugiej części spotkania czy zauważył, że obok niego znajdowała się jakaś butelka? Inni kibice pili alkohol?

— Nie.

— Nie pito zatem żadnych napojów?

— Owszem, ale w plastykowych pojemniczkach. Pepsi.

— Nie rzucano żadnymi przedmiotami?

— Tylko papierowymi serpentynami.

— Jak oskarżony został zatrzymany?

— Zeszli z góry funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i zabrali mnie. Nie widziałem również, że na mnie wskazywali kibice, że to ja rzuciłem butelką w sędziego.

— Czy widział moment, kiedy rzucono jakiś przedmiot szklany na płytę?

— Nie, bo zasłaniali mi wyżsi kibice.

— Dlaczego oskarżony przyjechał na stadion z butelką alkoholu, wiedząc o tym, że przecież będzie bardzo ścisła kontrola?

— Uważam Widzew za najlepszą drużynę w kraju. Żyję każdym jej meczem, jak jestem trzeźwy. Miałem nadzieję, że Widzew przejdzie do finału i z tej okazji, później po meczu, chciałem to uczcić.

— Czy oskarżony może dużo wypić?

— Nie, bo jestem słaby. Leczyłem się ponadto kiedyś na trzustkę i mam wadę serca (późniejsze badania to potwierdziły).

Dalej pytania zadają prokurator i adwokaci. Pp. Mazur i Majsterek są bardzo drobiazgowi. Ustalają, na którym stopniu widowni Kazimierz Ż. siedział (na jedenastym czy trzynastym?), o której dokładnie godzinie wypił alkohol, kiedy wszedł na stadion? I tak będzie do końca procesu. Dokładność i precyzja. Jako pierwszy zeznaje świadek Atlas, ponieważ przyjechał do Łodzi pełnić obowiązki służbowe. Tuż po zdarzeniu znalazł się przed główną trybuną. Widział, jak opatrywano holenderskiego sędziego. Najpierw zmywał mu głowę masażysta włoski, potem „przejęli" go Polacy. Według niego, trudno ustalić dokładny czas, kiedy przez murawę boiska, wraz z innymi dziennikarzami, reporterami, pobiegł do miejsca, skąd rzucono butelkę. Widział schodzącą z góry milicję, która otoczyła miejsce, skąd najprawdopodobniej poleciał w kierunku sędziego jakiś przedmiot. Słyszał skandujący tłum: — Wydać go! Wydać go! Widział również oskarżonego, który wznosił do góry ręce i krzyczał wraz z innymi. Po czym go poznał? Był ubrany w ciemną kurtkę, miał charakterystyczną koszulę. Oskarżony sprawiał wrażenie tak pijanego, że zdaniem świadka Atlasa, było niemożliwe, żeby to on zrobił. Dziennikarz widział również, jak w tym sektorze wiele osób wstawało i pokazywało na różne miejsca, skąd mógł ktoś rzucić. Roztoczył też wizję rozpasanego tłumu, który cieszył się, że sędzia dostał w łeb. Mówił długo, przekonywał sąd o specyficznym zachowaniu się i reakcjach kibiców po strzeleniu bramki.

Kiedy jednak prosi się go, by przypomniał sobie pewne szczegóły z rozbrajającą szczerością odpowiada: — kiedy widzę w przejeżdżającym ulicą samochodzie piękną dziewczynę, nie zwracam uwagi na koła.

Czy jego zeznania wniosą coś do sprawy?

Następnie przesłuchiwany jest dr S., lekarz klubowy Widzewa. Mówi o opatrzeniu rany sędziemu na zapleczu stadionu.

Arbiter holenderski ma powierzchowne rany cięte głowy. Lekarza zdziwiły tylko ślady nad skronią. Jego zdaniem pan de Vrieze nie doznał wstrząsu mózgu. W szatni sędziowskiej znajduje się delegat UEFA, sędzia główny. To, czy zawody będą prowadzone dalej, uzależnione jest od decyzji poszkodowanego holenderskiego arbitra.

Adwokaci są jednak dociekliwi.

— W jakim języku porozumiewał się pan z arbitrem?

— W języku niemieckim. Arbiter główny, pan Corver, znał ten język i tłumaczył mi, co mówi pan de Vrieze.

— Czy ma pan potwierdzoną znajomość niemieckiego egzaminem państwowym?

— Nie, ale jest ona wystarczająca, by się porozumieć...

Przerwa. Świadka Atlasa „dorywają" kibice Widzewa. Gorąca dyskusja. Kto lepszy — Legia czy Widzew? Butelek nie ma, bo by chyba w siebie rzucano. Podchodzę do rodziny oskarżonego. Matka mówi z dużym przejęciem, jest przekonana o tym, iż to nie jej syn rzucił butelką. Był na stadionie, był najbardziej pijany, a poza tym bez kolegów. Na kogo się wskazało? Na pijanego chłopaka ze wsi — mówi matka. — Panie, on nie może w ogóle pić. Jak wypije ćwiartkę, to mu się cały świat kręci. Któryś z kolegów dziennikarzy pyta, czy ma swoją dziewczynę. — Ano, jak w tym wieku. Raz jedną pozna na zabawie, raz drugą — odpowiada matka. Jeden z jego kolegów, świadek G. (jechał z nim razem na mecz) przekonuje mnie, że butelki były rzucane na całym stadionie...

Po przerwie zeznają trzej milicjanci, którzy po cywilnemu mieli w tym sektorze służbę. Jeden z nich widział, jak rzucono w kierunku płyty stadionu szklanym przedmiotem. Ujrzał go w świetle jupiterów. Drugi widział dokładnie, że butelkę rzucał właśnie oskarżony, trzymając ją w zgiętej prawej ręce. Schodził do niego z góry, z korony stadionu i cały czas go obserwował. Nie widzieli samego momentu uderzenia przedmiotem w głowę arbitra. Kiedy sprowadzali oskarżonego na dół do przejścia, kibice wygrażali mu sczyorykiem i krzyczeli: Dajcie go! Obetniemu mu głowę! Po co się taki narodził! Milicjanci zgodnie twierdzili, że mieli wielkie trudności z obroną Kazimierza Ż. przed rozszalałym tłumem. Skąd wiedzieli, że to ten kibic rzucił przedmiotem na płytę stadionu? Wskazał im go jeden z sympatyków oglądających mecz.

Adwokaci przystępują do zadawania pytań. Co chwilę, po zeznaniach funkcjonariuszy, w ruch idzie sytuacyjny szkic. Obrońcy, z dokładnością niemal do centymetra, chcą ustalić, gdzie w chwili zdarzenia stał funkcjonariusz, a gdzie — ich zdaniem — oskarżony. Jest trochę wątpliwości. Sędzia musi odczytywać wyniki przesłuchania w postępowaniu przygotowawczym. I tak do końca rozprawy...

Na sali sądowej zjawia się wreszcie świadek Ł., górnik z Bytomia. To ten, który widział i wskazał oskarżonego.

— Co świadkowi wiadomo o całym zajściu?

— Tuż po strzeleniu wyrównującej bramki przez Widzew, trudno mi określić, w jakim czasie to się stało, zauważyłem rzuconą przez oskarżonego butelkę w kierunku sędziego. Rzut był wykonywany prawą ręką...

— Proszę pokazać sądowi, w jaki sposób? (Świadek pokazuje).

— Co dalej?

— Cały czas obserwowałem tego faceta, który rzucił i powoli schodziłem po schodach w jego kierunku. Byłem w czapeczce RTS Widzew i kiedy przechodziłem obok jednego z kibiców, ten zerwał mi ją z głowy i zaczął krzyczeć: O, patrzcie, rzucił butelką, a teraz udaje wielkiego przyjaciela Widzewa. — A ja mu mówię: Oddaj, człowieku, bo to nie ja. Zobaczysz, jeszcze mnie przeprosisz. — Gdyby nie idący za mną milicjanci, chyba bym oberwał. Schodząc, cały czas pokazywałem palcem, kto rzucił i z którego miejsca. Kibic, który zabrał mi czapeczkę Widzewa, oddał mi ją i przeprosił.

— Dlaczego świadek nie zgłosił się zaraz po zakończeniu meczu? Nie słyszał apelu spikera zawodów?

— Nie słyszałem. W tej części było bardzo słabo słychać. Dowiedziałem się o tym w autokarze, kiedy mieliśmy wracać z meczu do Bytomia. Musiałem szybko jechać do domu, tak samo jak inni, na ranną szychtę do pracy. Potem przeczytałem apel w gazetach i przyjechałem do Łodzi.

— Czy widział świadek, jak butelka uderzyła sędziego w głowę?

— Nie, nie widziałem. Zauważyłem jednak, że rozbiła się o parkan odgradzający bieżnię od boiska. Najprawdopodobniej odłamki tej butelki ugodziły w głowę sędziego.

Przewodniczący składu orzekającego sięga do materiałów postępowania przygotowawczego, gdzie nie zanotowano tego faktu. Jest on bardzo ważny dla sprawy.

Znów pytanie prokuratora, sądu i obrońców. Ci ostatni z uporem maniaka: Na którym stopniu stał świadek? Niech wskaże na planie. Na którym stopniu stał z kolei oskarżony? Itd., itd. Na sali zalega cisza. W wielu przypadkach górnik Ł. milczy. Nie potrafi sensownie sprecyzować odpowiedzi. Zwierza mi się potem, że kiedy zastanawiał się, chciał odpowiedzieć na jedno z pytań i powoli kojarzył sobie fakty, padało następne i już „obraz mu się urywał". Nie to, że nie chciał odpowiadać, ale nie miał czasu na dokładne zastanowienie się.

Na zakończenie pierwszej rozprawy swoimi uwagami podzieliła się z sądem lekarz biegły. W dzień po meczu odwiedziła w hotelu „Grand" pana de Vrieze, by obejrzeć ranę i wydać opinię. Zmieniła mu na miejscu opatrunek. Porozumiewała się w języku niemieckim (Ze strony obrony pada oczywiście pytanie, czy ma zdany egzamin państwowy z tego języka). Według niej, rana, jaką zaobserwowała na głowie sędziego, miała charakter okrągły, a więc arbiter został uderzony dnem szklanego przedmiotu o mocnym, grubym, „silnym" szkle. Mogła to być butelka po piwie, oranżadzie, alkoholu, mógł to być słoik. Nie mogła to być np. menzurka. To też bardzo ważny szczegół dla sprawy.

Obrońcy natomiast zaskakują wszystkich.

— Niech oskarżony wstanie. Proszę powiedzieć sądowi, którą ręką wykonuje podstawowe czynności?

— Lewą.

— Proszę pokazać, w jakiej pozycji strzelał z broni w wojsku? (oskarżony pokazuje) Proszę Sądu, ponad wszelką wątpliwość oskarżony jest leworęczny, a świadkowie stwierdzali, że niby rzucał prawą. Proszę na to zwrócić uwagę...

Sąd postanawia przerwać rozprawę i zarządza eksperyment śledczy na stadionie ŁKS. Adwokaci zapowiadają złożenie swoich wniosków, zaś koledzy oskarżonego, którzy razem z nim oglądali mecz, żegnają go: Trzymaj się, Kaziu!

EKSPERYMENT ŚLEDCZY

Środa, 1 czerwca, rano. Stadion ŁKS. Przed bramą posterunki milicyjne. Gdy okazuję przepustkę, mogę spokojnie wejść na teren obiektu. Wcześniej już wiedziałem, że obrońcy zażądali, by podczas eksperymentu był obecny chorąży milicji, który w czasie pierwszej wizji lokalnej bez udziału sędziego, rzucał butelkami do manekina oraz świadkowie, w tym również górnik Ł., który wówczas wykonywał także rzuty szklanymi przedmiotami.

Jest już skład orzekający. W jednej z milicyjnych „nysek" siedzi oskarżony. Do Łodzi nie przyjechał świadek Atlas, którego służbowe obowiązki zawiodły akurat do Krakowa.

Kolejno wywoływani są świadkowie. Górnik Ł. pokazuje miejsce, w którym siedział i w którym znajdował się oskarżony. Na ten sam temat odpowiadają milicjanci oraz porządkowi Widzewa. Funkcjonariusze poleskiej komendy Milicji Obywatelskiej mierzą dokładnie odległość wszystkich punktów wskazywanych przez świadków od barierki znajdującej się na środku boiska, od bieżni, od flagowego masztu.

Wreszcie najciekawszy moment eksperymentu. Rzuty butelkami w kierunku manekina imitującego postać sędziego. Przywieziono w tym celu 14 butelek od wódki, piwa, wina i oranżady. Pierwszy wykonuje rzuty chorąży poleskiej komendy (brał udział w pierwszej wizji lokalnej) i czyni to najcelniej ze wszystkich. Następnymi eksperymentatorami są milicjanci — świadkowie. Po ich rzutach butelki padają w różne miejsca bieżni i murawy boiska. Na zakończenie eksperymentu przewodniczący składu orzekającego oraz jeden z ławników biorą butelki do ręki i rzucają w kierunku manekina. Nie udaje tego tylko oskarżony. Po godzinnej przerwie sąd, prokurator i obrońcy oglądają w gmachu telewizji polskiej transmisję z tego spotkania.

DRUGA ROZPRAWA

W dwa dni po eksperymencie. Pierwsza składa zeznania pielęgniarka J., pobierająca krew od oskarżonego. Mówi, że przy tych czynnościach nie był obecny lekarz, choć był w tym czasie na dyżurze. Oskarżony nie był agresywny, pozwolił sobie zrobić zastrzyk. Od oskarżonego czuć było zapach alkoholu i miał chwiejny krok.

Kolejny świadek to porządkowy Widzewa — B. Do przerwy stałem — mówi — za bramką Młynarczyka. Przed pierwszą połową na stadionie było spokojnie. W czasie przerwy weszli na bieżnię milicjanci. W ich kierunku poleciały butelki, owoce i nawet radia. Nie widziałem samego momentu rzucenia butelką. Zauważyłem tylko sędziego bocznego biegnącego na środek boiska. Widziałem schodzącego w dół człowieka, który wskazywał miejsce, skąd rzucono przedmiot i gdzie siedział rzucający facet.

— Jakimi słowami apelował pan do tłumu, niech pan powie sądowi — zwracają się do świadka obrońcy.

— No, krzyczałem: Wydajcie go! Macie jeszcze cztery minuty, bo inaczej mecz zostanie przerwany.

— To było swoiste ultimatum — komentują adwokaci.

Powstaje sprzeczność w zeznaniach świadka z tym, co powiedział w postępowaniu przygotowawczym. Przed sądem stwierdził, że widział na murawie dno butelki po wódce. Widział również, jak zawodnicy Widzewa zbierali resztki szkła. Dlaczego co innego mówił w postępowaniu przygotowawczym? Był wówczas w szoku po meczu. Dziś sobie już dokładnie przypomina tę sytuację.

Obrońcy oskarżonego składają wniosek o uchylenie aresztu tymczasowego, wskazując na wady konstrukcji aktu oskarżenia. Apelują, aby w tej sprawie nie patrzono przez pryzmat lirów i funtów. Sąd nie przychyla się do wniosku obrony, uważając, że czyn ma charakter chuligański, oskarżony nie cieszy się najlepszą opinią w miejscu pracy, a jego kolizja z prawem nosi znamiona znacznego społecznego niebezpieczeństwa. Sąd odroczył rozprawę do 27 czerwca. W tym czasie zapozna się z opinią biegłego z zakładu medycyny sądowej Wojskowej Akademii Medycznej. W dniu tym najprawdopodobniej dojdzie do wygłoszenia mów — oskarżycielskiej i obrończej oraz ogłoszony zostanie wyrok. W kuluarach sądu dowiedziałem się, że oskarżony w chwili popełnienia czynu miał 2,36 promille alkoholu w organizmie...

Opinia publiczna domaga się skazania sprawcy skandalicznego czynu. Nie są to już odosobnione wypadki, gdy chuligaństwo coraz częściej panoszy się na stadionach. Doszło już nawet do śmiertelnych wypadków, jak to miało miejsce na stadionie w Częstochowie podczas spotkania o Puchar Polski pomiędzy Legią — Warszawa i Lechem — Poznań. Pamiętamy pociągi grozy przejeżdżające przez Łódź na kolejny mecz warszawskiego klubu, tym razem do Kalisza. W rękach „maczugi" (kije z wystającymi gwoździami), łańcuchy, kastety. Wyrok w łódzkiej sprawie może odstraszyć innych od popełnienia podobnych czynów. Nie zapominajmy jednak, że przed sądem występuje człowiek, który ma prawo do obrony i skład orzekający z całą powagą musi dojść do prawdy. Musi być przekonany całkowicie o winie oskarżonego.

Naczelną zasadą postępowania procesowego jest „in dubio pro reo" (wszelkie wątpliwości na korzyść oskarżonego). A w tym procesie wątpliwości jest dużo...

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

1 Lewym okiem

Młyn w każdej wiosce

Dwieście lat temu wychodziło w Berlinie czasopismo o nazwie „Magazin fur die neue Historie und Geographie" („Magazyn nowej historii i geografii"). W 1782 roku jeden z pokaźnych, liczących każdorazowo ponad sto stron numerów poświęcono Polsce, okrojonej niedawno pierwszym rozbiorem.

Pismo było naukowe i wypełnione po brzegi liczbami. Również obraz Polski chciano ująć w liczby, tabele, wykresy — przy czym oczywiście żadnych rzetelnych podstaw po temu nie było, nikt nad Wisłą statystyk ciągłych ani spisów ludności nie prowadził. Posłużono się więc szacunkiem i dość skomplikowanym rozumowaniem, z którego wynikły nader interesujące dane o stanie ówczesnym naszej ojczyzny.

Na pewno nie są to dane ścisłe i nigdy takich mieć nie będziemy. Wystarczą jednak do wyrobienia sobie przybliżonego wyobrażenia i mogą stanowić ciekawy załącznik do historii pisanej przez humanistów, *stroniących niestety od liczb.*

Według szacunków berlińskich uczonych Polska w roku 1774, a więc właśnie tuż po pierwszym rozbiorze, liczyła 15300 mil kwadratowych, przy czym nie wiemy, czy chodzi o milę polską (7,1 km), czy milę geograficzną (7,4 km). A więc jak kto chce: albo powierzchnia kraju wynosiła 771 tysięcy km kw., albo „trochę" więcej — 838 tys. km kw. (dziś jak wiadomo — 312,5 tys. km kw.). Na tej powierzchni żyło (szacunkowo) 8,5 miliona mieszkańców, prawie równo podzielonych na trzy grupy po 2,8 miliona: mężczyzn, kobiet i dzieci.

W grupie męskiej połowę (1.4 miliona) stanowili ludzie nie pracujący: starcy, księża, zakonnicy. Tak więc na barkach 1.400 tysięcy spoczywało utrzymanie 8 i pół miliona ludzi, czyli na jednego zdolnego do pracy mężczyznę — więcej niż sześć osób.

Ludność zamieszkiwała w 728 miastach i 22.552 wsiach. Ale co to były za miasta: Warszawa liczyła 50 tys. mieszkańców, Kraków — 9,2 tysiąca! (w tym 404 duchownych, 796 zakonnic, 132 studentów, 543 „ubogich" i 673 „gospodarzy"). Do miast zaliczono jakieś Letniowce (104 mieszkańców) i Nur (161 mieszkańców). Naliczono też 778 zamków i 1.634.328 domów, czyli na każdy „dom" przypadło średnio 5,2 osoby. Zagęszczenie całkiem nieduże.

Ktoś policzył także — czy raczej oszacował według znanej tylko sobie metody — młyny. Miało być ich wtedy 21.020, a więc prawie każda wioska miała na miejscu własny młyn! Co prawda było to konieczne przy ówczesnej gęstości zaludnienia: z prostego rachunku wypadałoby około półtorej osoby na kilometr kwadratowy! Jest to wskaźnik tak niski, że on sam podważa wiarygodność wszystkich podanych tu liczb i jeszcze raz każe brać je z wielkim marginesem na błąd. Tak jednak wówczas Polskę widzieli Niemcy.

Dla zaokrąglenia obrazu przypomnijmy, że w tym właśnie czasie powstała w Warszawie ulica Marszałkowska i jeden z najpiękniejszych parków Europy: Łazienki. Przebudowywano po raz drugi zamek królewski, powstały pałace Bruhla, Teppera, Blanka. W ciągu zaledwie dwudziestu lat podwoiła się liczba ludności stolicy (ok. 100 tys. w roku 1792). Natomiast Kraków ledwie zipał jako malutkie, pozbawione znaczenia miasteczko (Mały Słownik Historii Polski potwierdza liczbę ludności: niespełna dziesięć tysięcy). Wielkością równał się więc dzisiejszym Koluszkom, tyle, że Koluszki nie mają Wawelu i Uniwersytetu o zawrotnej liczbie 132 studentów.

Spoza żółtych, cieniutkich kartek, zadrukowanych gęsto kolumnami cyfr i trudno czytelnymi starogotyckimi literkami, złożonymi w obce słowa o archaicznym brzmieniu i zarzuconej już dawno ortografii, wstaje obraz naszego kraju sprzed dwustu lat. Lubię szperać w takich starych foliałach.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Nagłe zastępstwo

...niech żyje król?

Niewątpliwym szlagierem zakończonego właśnie w łódzkich kinach przeglądu filmów japońskich był „Huczący ogień" z nową gwiazdą kina karate, następcą Bruce Lee, Sonny Chiba. Przed samym przeglądem zszedł był właśnie z ekranu western „Tom Horn", z ostatnią rolą Steve McQuinna.

Tom Horn to dobry film, ale zły western...

Kocham westerny i mogę je oglądać choćby co dzień, czego nie mogę powiedzieć o kinie moralnego niepokoju choćby. Dziesiątki, setki może (?) westernów, jakie obejrzałem uprawniają mnie — jak sądzę — do zabrania głosu na temat poetyki tego szczególnego gatunku filmowego. Jeśli oczyści się western z bijatyk, galopady i niepotrzebnej strzelaniny (fakt, że w tych bijatykach, galopadach i strzelaninach cały smak!) zostaje prosta opowieść o szlachetnym bohaterze zwalczającym zło i przemoc. Bohater — co ważne — walczy z przeważającymi siłami wroga i — co jeszcze ważniejsze — zawsze zwycięża, choć smak tego zwycięstwa bywa gorzki.

Klasyczny western obrósł w ozdobniki. Oto sojusznikami bohatera bywają: starzec (może być alkoholik), smarkacz i kobieta lekkich obyczajów. Sam bohater, nawet jeśli jest szeryfem, najczęściej bywa człowiekiem z wątpliwą przeszłością. Czasem jest weteranem wojny secesyjnej, częściej zwyczajnym rewolwerowcem, który porzucił swoje rzemiosło.

W kluczowej, końcowej scenie, w rewolwerowym pojedynku, bohater zabija „czarnego charaktera", zwykle szefa bandy lub nieuczciwego szeryfa, terroryzującego całą okolicę w imieniu bogatego i równie nieuczciwego protektora.

Jak z powyższej, amatorskiej analizy (niech mi okażą litość i wyrozumiałość prawdziwi filmolodzy!) wynika, nie są westernami filmy w rodzaju „Jak zdobyto Dziki Zachód" czy cała seria enerdowsko-jugosłowiańskich ekranizacji Karola Maya. Można by natomiast znaleźć parę westernów choćby w kinematografii polskiej!

Wszyscy pamiętają wspaniały western „W samo południe". Film ten, znakomity „sam w sobie", był jednocześnie kwintesencją gatunku. Jestem zdania, że można zrobić western mieszczący się w klasycznym kanonie, a jeszcze oszczędniejszy — można nakręcić western, w którym padnie tylko jeden strzał! Ten ostatni, ten, od którego zginie bandyta... Tymczasem Tom Horn, film, jak wspomniałem, skądinąd dobry, gwałci prawa gatunku. Szlachetny bohater rozbija bandę, ale sam ginie na szubienicy z wyroku legalnego sądu. Był zbyt szlachetny jak na potrzeby hodowców bydła, którzy go wynajęli...

Podobno w Hollywood kręcą coraz mniej westernów, coraz mniej pokazuje ich amerykańska TV, zdaje się, że umarł naturalną śmiercią „spaghetti western" (po tym ostatnim kinomani płakać chyba nie będą).

Western przeżył się. Jeśli przestają go uprawiać, to przecież nie przypadek, tylko twarda konieczność ekonomiczna. Ludzie — młodzież! — na westerny nie przychodzą do kina, kiedy idzie w TV — szukają innego programu na innym kanale. Oczywiście na zachodzie. Mam nadzieję, że u nas jeszcze western się całkiem nie przeżył. Tylko co z tego, kiedy i tak ich nie ma?

Natomiast „Huczący ogień" ma niebywałe powodzenie. Jeśli się nie mylę, to trzeci film tego gatunku na naszych ekranach po „Wejściu smoka" i „Dynamicznych pięściach", który to film przemknął przez ekrany przy okazji jakiegoś przeglądu.

Widziałem te filmy i chyba mogę próbować sformułować podstawowe prawa gatunku, choć zapewne tremę mam daleko większą niż przy okazji westernu.

Kino karate również opiera się na schemacie szlachetnego bohatera, który zwalcza — z powodzeniem — przeważającą siłę demonicznego wroga, na ogół groźnej bandy przemytników narkotyków itp. Szlachetny bohater zwycięża, unieszkodliwiając całe zastępy — dziesiątki albo i setki przeciwników, nie używając do tego żadnych narzędzi, broni palnej czy siecznej. Używa tylko swojej sztuki doprowadzonej do perfekcji. Przy okazji jest chłopcem szczupłym, niewysokim i niepozornym (Bruce Lee i Sonny Chiba), albo zgoła dziewczyną (bohaterka „Dynamicznych pięści").

Cała reszta jest zbiorem nieprawdopodobnych bzdur. Przeteksty fabularne są absurdalne, sytuacje zagrożenia nie wywołują dreszczyku, a zwyczajny śmiech. Bójki karateków, mimo wysiłków realizatorów, monotonne i podobne do siebie, aktorstwo żadne. Za to nieuczciwych chwytów scenariuszowych typu „deus ex machina" — co niemiara...

Przy filmie karate naiwny western wydaje się dziełem głębokim. Jeśli trafne byłoby porównanie westernu z regułami prostej gry np. gry w pokera, to filmy karate porównać można tylko do finezji salonowca...

Co napisawszy biegnę do kina. Wszedł na ekrany „Butch Cassidy i Sundance Kid"!

ANDRZEJ KAROL

3 Zdarzenia i zwierzenia

Śpiewnik łódzki

Ukazał się wreszcie pierwszy tom „Śpiewnika łódzkiego" pod redakcją Tadeusza Szewery. Wydawcy — Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Łódzki Dom Kultury — zaplanowali to dzieło na trzy tomy. Część pierwsza — właśnie wydana — zawiera piosenki i pieśni walczącego proletariatu od wieku XIX do początków wieku XX. Tę część opracował nieżyjący już działacz robotniczy i zbieracz łódzkiego folkloru robotniczego — Eugeniusz Ajnenkiel.

Część druga zawierać będzie piosenki „z podwórek i ulic", a zebrała je Joanna Ludwicka, pracownik naukowy Katedry Etnografii Uniwersytetu Łódzkiego.

Część trzecia obejmuje piosenki współczesne, a więc całą tematycznie łódzką „produkcję" twórców głównie profesjonalnych. Wbrew bowiem pozorom piosenek o Łodzi mamy niemało, choć żadna z nich nie stała się ogólnopolskim szlagierem, jak niegdyś „Wrocławskie tramwaje" śpiewane przez Marię Koterbską.

Cały zespół autorów „Śpiewnika łódzkiego" wykonał olbrzymią pracę, która zaowocowała zbiorem niezwykle cennym. Jest to praca historyczna zarówno w przypadku zeszłowiecznych czy z początków wieku XX pieśni robotniczych — jak i w przypadku współczesnej piosenki rozrywkowej. Jak sądzę autorom przyświecał cel udokumentowania i ocalenia od niepamięci utworów tak ulotnych jak pieśń i piosenka. Przecież dziś historyczne są nawet piosenki z lat pięćdziesiątych, bowiem w tamtej konwencji nikt już obecnie nie napisze żadnego utworu. A kiedyś był to styl powszechnie obowiązujący.

Ale najcenniejszy jest jednak ów pierwszy tom „Śpiewnika". Owa pierwsza część zatytułowana „Ponad brukiem piesni płyną..." jest — jak się rzekło — zasługą Eugeniusza Ajnenkiela, który pracę nad nią ukończył jeszcze w roku 1980. Niestety — nie doczekał ukazania się książki, zmarł bowiem 7 stycznia 1981 roku.

Dla Eugeniusza Ajnenkiela przeszłość i tradycje jego rodzinnego miasta, jego rozwój i rewolucyjne dzieje stanowiły życiową pasję. Pisał na ten temat wiele — poezja i pieśń robotnicza fascynowały go. Gromadził też wszelkie materiały i druki ulotne z tej dziedziny. Miał w domu ogromnie cenne archiwum, które kiedyś dane mi było zobaczyć, gdy przed laty przeprowadzałem z nim wywiad dla „Odgłosów".

W roku 1964 Ajnenkiel opublikował niewielką część ze swego zbioru pt. „Czerwona lutnia" — zachowując pierwotny kształt, nawet nieporadności stylistyczne i gramatyczne robotniczych pieśni. Uważał bowiem — jak najbardziej słusznie — że mają one wszelkie cechy historycznego dokumentu.

W pierwszym tomie „Śpiewnika" cenne są nie tylko same teksty i melodie — cenne są przypisy, bibliografia i niezwykle bogaty faktograficznie, obszerny komentarz Eugeniusza Ajnenkiela.

Tej książki — jak i całego trzytomowego zbioru — nie powinno zabraknąć w bibliotekach publicznych i księgozbiorach tych, którzy dziejami Łodzi i kulturą tego miasta interesują się poważnie. Jest to bowiem dokument nieprzeciętnej miary — i to dokument zarówno historyczny i literacki, jak i obyczajowy i socjologiczny.

Szkoda tylko, że nakład jest niewielki — 1200 egzemplarzy — co sprawia, że właściwie jest to pozycja bibliofilska. Myślę, że następne tomy, ambitnie i ciekawie pomyślanej „Biblioteki Przyjaciół Łodzi" powinny się doczekać wyższych nakładów.

JERZY WILMAŃSKI

4

Pożytki z nauki historii

Incydent z butelką na stadionie ŁKS, w meczu RTS Widzew z Juventusem, do dziś wywołuje emocje. Domniemany sprawca stanął już przed sądem i to znów poruszyło niektórych. Zresztą my również relacjonujemy na łamach „Odgłosów" przebieg kolejnej rozprawy. Nie przesądzamy jednak sprawy, jak to robią niektórzy sprawozdawcy. Oto Edward Bryl, w „Tygodniku Kulturalnym" z 5 czerwca 1983 roku w artykule „To jest ten, który rzucił butelkę?" ma za złe dziennikarzowi DTv, że już uznał winę oskarżonego, sam jednocześnie sugerując, że oskarżony jest... niewinny. A przecież o tym powinien zadecydować sąd i nikt nie ma prawa wymuszać wyroku.

Edward Bryl — choć uważa, że oskarżony jest niewinny — podaje jego imię i nazwisko w pełnym brzmieniu, miejsce zamieszkania i pracy. Swoista to logika. Tym bardziej, że zniekształca pogląd Wojciecha Filipiaka, który w „Głosie Robotniczym" domagał się nie samosądu, jak chce tego Edward Bryl, ale ujawnienia właśnie imienia i nazwiska domniemanego sprawcy, co również dowodzi tylko nieznajomości prawa. Nie można bronić porządku nawoływaniem do łamania prawa, tak jak nie można bronić czci i honoru (???) oskarżonego pomawianiem innych o to, czego nie uczynili.

Edward Bryl w imię sprawiedliwości jest niesprawiedliwy, stronniczy i rozmija się z faktami. Poza tym — podobnie jak wielu innych — ulega mitom o czystym sporcie, jakby to było takie oczywiste i proste. Pisze on na przykład: „Sport dawno już przestał być czysty, nosi w sobie posmak biznesu. Zaś kibice zupełnie nic nie mają wspólnego z publicznością greckich stadionów..." Dawno, to znaczy od kiedy?

Nie mam zamiaru bronić burd na stadionach, jestem również za tym, aby na stadionach panował porządek i nie rzucano po pijanemu butelkami ani w sędziów, ani w innych kibiców, ani w piłkarzy, ani w ogóle w nikogo. Najlepiej, gdyby na stadionie nie było ani butelek, ani ich pijanych posiadaczy. Ale nie można na oślep rozdawać ciosów wszystkim kibicom i sportowcom, nie można jednych mitów zastępować innymi i wykazywać ignorancję, bo to do niczego nie prowadzi.

Otóż myli się Edward Bryl twierdząc, że na stadionach greckich sport był taki czysty, a kibice tacy wspaniali. Gdyby znał trochę historię olimpiad, to wiedziałby, że spór o patronat nad olimpiadami między Pisą a Elidą zaczął się już w 748 roku przed n.e., a w 576 roku p.n.e. doprowadził do zdobycia Pisy przez Elidę, do zburzenia miasta i wzięcia ludności w niewolę. Niebywała to czystość rozprawienia się z konkurencją.

Gdyby Bryl znał trochę historię sportu, to słyszałby również o pankracjonie — mieszaninie boksu i zapasów, która wyzwalała nie tylko emocje kibiców, ale i zawodników, wprowadzając na stadion olimpijski brutalność i wręcz masakrę. Zawodnicy nie raz wychodzili po walce oszpeceni i poranieni. A i zawodnicy nie walczyli tylko dla idei i gałązki oliwnej, gdyż stawiano im pomniki, otaczano szacunkiem, nadawano różne przywileje, a także... płacono. Oto, gdy pięściarz Kleomedes z Antypalaj zatłukł w czasie walki swego przeciwnika na śmierć, nie przyznano mu wprawdzie oficjalnego zwycięstwa, ale wcale to nie przeszkodziło Kleomedesowi chodzić w glorii i być wielce szanowanym i wielbionym przez kibiców, z których rzekomo nasi kibice brać powinni przykład.

Gdyby Edward Bryl znał trochę historię starożytnych olimpiad — wiedziałby, że sens wzdychania do tamtych czasów jest dość problematyczny. Wiedziałby bowiem, że kibice korynthyjscy udusili po prostu dwóch zawodników pankracjonu, Filantosa i Lamposa, braci zresztą, którzy spieszyli z Elidy do Istmusu na zawody, gdzie byli pewnymi faworytami i mieli duże szanse na zwycięstwo, a do czego kibice za nic nie chcieli dopuścić, jako że obaj bracia byli z Elidy. Wiedziałby również, że mieszkańcy Krotonu zniszczyli pomnik Astylosa, zwycięzcy kilku igrzysk olimpijskich w biegach, tylko za to, że podał się na tych igrzyskach za Syrakuzańczyka. Jego dom rodzinny zamieniono z zemsty na więzienie.

Starożytni olimpijczycy byli — niestety — również przekupni. Ich „kluby" — czyli miasta rodzinne — płaciły grzywny. Rodos zapłaciło grzywnę w 68 r. p.n.e., gdy stwierdzono, iż Filostratos przekupił rodozyjskiego zawodnika Eudelosa, a Aleksandria egipska, gdy udowodniono, że Apollonios spóźnił się na igrzyska nie z powodu podróży morskiej, ale pieniędzy, dla których po drodze brał udział w innych igrzyskach. Można tu jeszcze wymienić Poliktora z Elidy, dla którego tatuś przekupił przeciwnika, albo i Sarapammona, który sam przekupił swego przeciwnika na ringu. I to nie są jedyne przykłady.

Nie usprawiedliwiają one, oczywiście naszych zawodników, ani kibiców, ani organizatorów, ani nikogo. Pokazują tylko, że jeśli ktoś chce bajać o czystym sporcie, to niech przedtem sięgnie do przeszłości i sprawdzi, kiedy ten sport przestał być tak naprawdę czysty. Inaczej — tworzy kolejne mity, które — jak wszelkie mity — są szkodliwe. Dlatego jestem zawsze ostrożna w ferowaniu arbitralnych sądów o tym, którego klubu kibice więcej biją, a którego biją mocniej. Rzecz bowiem nie w tym, aby wykazać, którzy są gorsi, ale w tym, aby wszyscy byli lepsi.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji) **Igor Sikirycki,** (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski Janusz Szymański Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680 99 publicysci 677 70 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1546. L-2.

Jak wybiera się najpiękniejszą?

O cherie, cherie

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

— Zobacz, fajne ma buty, takie złote, na słupku...

I dalej, i do przodu, rewia trwa! Ela ćwiczy piruety nieźle, nawet niebrzydka buzia, Bogusia — to jednak nie to, a kolejna dziewczyna — mała, przerażona, otumanione światłami brzydkie kaczątko nie reaguje w ogóle na prośby konferansjera. Ten prosi o imię, ona zaczyna się przechadzać, gdy spiesznie dziękują — zaczyna się przedstawiać.

— Ale numer, chyba głuchal — czyjś przerażony głos w ciemności.

Edyta chyba przejdzie — sukienka bez pleców, a plecy zgrabne zresztą, robi niezłe wrażenie.

Najlepsze wrażenie, a niewiele już panienek zostało, wywołuje „20", ładna, wysoka dziewczyna, „zapakowana" dokładnie w bluzkę z długim rękawem i długaśką spódnicę. Słyszę pomruk uznania z tyłu, a dziewczę wdzięcznie dygnęło i na prośbę jury właśnie podciąga spódnicę powyżej kolan.

Jeszcze, jak się okazuje, trzy dziewczyny, z których najwięcej punktów u panów za stołem zbiera potężnie zbudowana Krysia z grzywą blond włosów i — przerwa.

A po paru minutach wstępny sort mamy już za sobą; do rozbieranych popołudniowych występów awansuje osiemnaście dziewczyn. Wśród dziennikarsko-filmowej wiary leci wieść, że już nie każdemu z nas dane będzie oglądać tę grupkę w kostiumach. Ani zdjęć robić, ani filmować.

Tknięty złym przeczuciem łapię zagonionego szefa biura organizacyjnego konkursu o miano Miss Polonia — Jerzego Chmielewskiego i napuszczam na krótką rozmowę.

— Eliminacje w 11 ośrodkach regionalnych, szumne, wielostopniowe, potem warszawskie finały. Ile taka imprezka z grubsza kosztuje?

— Z grubsza — 7 milionów złotych.

— Wszystko pokrywa Stołeczna Estrada?

— Niezupełnie, dogrywamy jeszcze umowy kooperacyjne z wieloma polskimi, polonijnymi i zagranicznymi firmami. Współpracować będzie Moda Polska, Totalizator Sportowy, szwedzka firma kosmetyczna „Catzy", która nawiasem mówiąc funduje pełen zestaw kosmetyków wszystkim finalistkom, polonijne firmy „Polmark", „Euroaster" i wiele innych.

— Niech pan zdradzi: kto wpadł na pomysł reaktywowania imprezy po 25 latach przerwy?

— Wielu estradowców nosiło się z tym zamiarem od dawna, jakoś nie można było sprawy sfinalizować. Dopiął tego, podpisując ostateczne umowy w Londynie dyrektor naszej Estrady — Stanisław Cejrowski.

— Firma, do której należymy coś nam zapewnia w ogóle?

— Mis World Jersey Limited Office pokrywa część kosztów pobytu wszystkich uczestniczek w „mistrzostwach", a aktualna królowa — Mariacella Lebron będzie we wrześniu wręczać w Warszawie stosowny diadem najpiękniejszej Polce. To jej obowiązek, a takie konkursy musi obsłużyć w ponad 60 krajach.

— Gdyby Polka...

— ...zwyciężyła w Londynie? To przede wszystkim nie mamy jej przez rok w kraju. Jest ona wtedy do wyłącznej dyspozycji firmy, która decyduje w jakich imprezach ma wystąpić, w jakich pokazach, organizuje jej kontrakty filmowe, reklamowe, itd.

— Zejdźmy na razie na ziemię i krajowe podwórko. Jesteście już po eliminacjach w sześciu ośrodkach. Łódź jest siódmym. Jakie wrażenia na półmetku? Jakie własne typy?

— W każdym z ośrodków widzę finalistki, ale jak dotąd sądzę, że dużo szumu mogą narobić cztery dziewczyny m.in. z Olsztyna i Koszalina.

— A łodzianki?

— Cóż, poczekajmy aż się objawią w kostiumach, ale Raquel Welch chyba nie przyjechała...

— Właśnie, w klubach, na basenie, na ulicy, wszędzie spotykamy piękne dziewczyny. Tu ich nie ma. Dlaczego tak się dzieje, jak pan sądzi?

— To fakt. Nie oszukujmy się: znaczny odsetek dziewcząt stających w konkursowe szranki, delikatnie mówiąc, nie ma odrobiny samokrytycyzmu. Te najładniejsze, sądzę, są po prostu sceptycznie nastawione do całej imprezy. Ale ma ona przyszłość, zaręczam i jeśli uda nam się ją efektownie dopiąć do końca — w w przyszłym roku będzie o wiele więcej chętnych.

— Obyczajowa otoczka takiej imprezy też ma swój wydźwięk, zawsze kręcą się w pobliżu jacyś dziwni faceci, dziewczyny narażone są na różne propozycje...

— Chronimy je jak możemy, wszystkie przechodzą nazwijmy to, podstawowy instruktaż, gdzie zapewne otwieramy niejednej oczy opowiadając, pardon, kto to jest alfons i czym się zajmuje...

— Bo też pierwszych naiwnych nie brakuje zapewne...

— Oczywiście. Opowiadał mi szef jednej z estrad, jak zgłosił się do niego taki miejscowy Kalibabka, rzucił na stół plik zdjęć i radził się, które ma ze swych dziewczyn przysłać. Życie jest okrutne dla naiwnych, niestety. Pamiętam, jak członkowie jednego z naszych zespołów estradowych przebywając gdzieś na tzw. prowincji urządzili prywatny nabór do „miss Polonii" Prywatny konkurs, prywatne korzyści. Przegląd w garderobie, gdzie striptiz był podstawowym wymogiem, cieszył się wielką frekwencją...

Przerywamy rozmowę, bo pan Jurek wraz z przyboczną świtą musi teraz wyprosić wszystkich niepowołanych gości czyli nie reprezentujących firm, które zapewniły sobie ową wyłączność. Idzie to opornie, ludzie bronią się jak mogą, padają nazwy znanych firm, znane nazwiska. Szef biura organizacyjnego jest jednak nieugięty, za drzwiami znika prawie cała ekipa z Oświatówki, łódzkie „telewizory", jakby przewidując następstwa, sami wynieśli się wcześniej. Tylko chłopaki z „Expressu Ilustrowanego" dumnie tkwią na swych stanowiskach — są współorganizatorem regionalnego przeglądu.

Ale i moją obecność pan Jurek zbył dyskretnym milczeniem. Jest dobrze. Jurorzy rozpinają marynary, teraz będą emocje — te dziewczyny, te kostiumy, te wrażenia... A wybrać trzeba kilkanaście dziewczyn, które wystąpią w lipcu w otwartym już konkursie (chyba w Hali Sportowej), gdzie wybrana zostanie Miss i wice Ziemi Łódzkiej oraz Miss Publiczności.

No, zaczynamy. Po losowaniu kolejnych numerów pierwsza trzy dziewczyny nieśmiało wkraczają na oświetloną scenę. Niebieski konferansjer z każdą po kolei wdaje się w pogawędkę. Co porabia na co dzień, jakie plany na przyszłość, dlaczego zdecydowała się kandydować...

Pani Beata lubi sport, zwłaszcza przepada za siatkówką, pani Jadzia jest salową, a pani Cecylia — pielęgniarką *(Mogę panu zrobić zastrzyk — rzuca rezolutnie w stronę konferansjera).*

Dziewczyny w skąpych strojach plażowych defilują przed stolikiem, obrót w lewo, w prawo, włosy do góry, no, a teraz trochę tańca. Z głośników leci sympatyczny Włoch ze swoim „O cherie, cherie...", a dziewczyny wywijają aż miło.

— Bardziej żywiołowo, rączki w górę, zróbmy coś z włosami — podpuszcza prowadzący.

Następna trójka. Pani Małgosia zdecydowała się dziś rano, chce się sprawdzić, a poza tym marzy o wyjeździe do Anglii. Pani Edytka studiuje w Politechnice, a pani Krysia otworzy zakład fotograficzny, choć pragnie zapisać się do damskiej sekcji kulturystycznej...

No, niestety, dwuczęściowe kostiumy odsłoniły to, co kryły spódnice i sukienki. Dziewczyny robią co mogą, jedne wolą stać profilem, inne jadą cały czas na wdechu. Ale na nic się to zda, fachowcy z jury dojrzą wszystko, bo i dziewczyny mają na wyciągnięcie ręki, tuż przed stołem.

Ale emocje prawie jak w Londynie, gorąco, panienki kręcą pupą pod dyktando Włocha wciąż miękko mruczącego „O cherie, cherie...", jurorzy palą jak lokomotywy, pepsi zaczyna już brakować.

Pani Ela chce zdawać na medycynę, pani Iwona denerwuje się w czasie spaceru po scenie („przepraszam, długo jeszcze?") pani Grażyna też ma globtroterskie zapędy, wspomina swoje uczestnictwo w konkursie na Miss Morza Czarnego dwa lata temu, ale zaraz zręcznie dodaje, że w Łodzi... jest lepsza organizacja.

Maturzystka ze Zgierza marzy o studiach na AWF, podobnie pani Basia, baletnica z „Harnama". Pani Ewa jest sekretarką w Urzędzie Miasta, a pani Iwona chce zostać piosenkarką, choć na razie pracuje jako kelnerka.

Pan Jurek biegnie w kierunku drzwi, by znów jakiegoś spragnionego damskiego ciałka faceta wyprosić. Wracając pochyla się nade mną:

— Ale patrz pan, u nas jednak ślepej kiszki ładnie nie umieją usunąć. Ile dziewczyn ma brzydkie blizny...

Jeszcze pani Dorota tłumaczy, dlaczego się nie śmieje, a pani Beata przekonuje jury, że traktuje imprezę jako dobrą zabawę i jest pani Ewa, „obstawiana" w kuluarach jako first lady dzisiejszego przeglądu. Dawna skromna „20" w kostiumie i na wysokim obcasie prezentuje się, no, zaryzykujmy — zdecydowanie najlepiej. Jest studentką, przed sobą ma egzaminy i teraz całkiem zręcznie przekomarza się z konferansjerem.

I to byłoby na tyle. Wypraszają nas za drzwi i jury obraduje. Super-hiper tajna narada przeciąga się.

— O czym oni tam tak debatują, nie dziwiłbym się, gdyby startowało ze sto dziewczyn — denerwuje się radiowiec.

Wybucha „bomba": dźwiękowiec z oświatówki zostawił włączony magnetofon i coś się tam z narady chyba nagrało, bo jest w trybie natychmiastowym wzywany na salę. Rzuca się zresztą sam jak ranny ryś z okrzykiem:

— Cholera, nie ruszajcie, „Kudelskiego" mi uszkodzą...

Wreszcie — ogłoszenie werdyktu. Do konkursu otwartego zakwalifikowało się w sumie 10 panienek plus rezerwowa amatorka damskiej kulturystyki (też panienka). Emocje sięgają zenitu. Zwyciężczynie, umiejętnie podpuszczane przez konferansjera szaleją znów w rytmie „O cherie, cherie...". Nareszcie koniec.

Dziewczyny ruszają do garderoby, ale dziennikarze jeszcze czekają. Teraz, na gorąco, pierwsze wrażenia — to jest to. Reporter „Expressu" domaga się listy z nazwiskami. Nawiasem mówiąc następnego dnia w popołudniówce ukazuje się zdjęcie triumfatorek z listą nazwisk i wymiarów, ocenianych „na oko". Wszystko zgodnie z regulaminem, który w stosownym punkcie głosi, że kandydatkom zapewnia się absolutną anonimowość i dyskrecję...

Szybszy od dziennikarzy jest jednak pan w garniturze blue. Gdy jako jedna z pierwszych ukazała się na sali już ubrana, owa „20" ojcowskim gestem wziął ją pod pachę i wdał się w miłą pogawędkę.

— Macie tu jakieś solarium, bo wie pani, trzeba się równo opalić, ale bez przesady, no bo szanse są spore...

Oj, cherie, cherie...

No, dobra, z naszej strony nie będzie pan miał problemów — jeden z szefów łódzkiej „Estrady" zbiegł raczo ze schodów — *oby tylko warszawiaki nie oponowali. Wie pan, właściwie trzy firmy mają wyłączność...*

Wiedziałem. Akcja poszukiwania polskich piękności to temat-rzeka, temat-samograj. Bardzo czujnie też, do organizacji konkursu Miss Polonia włączyła się telewizyjna „dwójka", warszawski „ekspresiak" i radiowa „trójka". Na zasadzie wyłączności. Na pupie, nawet w kostiumie zawsze można zarobić (oczywiście mam na myśli wyłącznie opisywanie jej wymiarów). Można zarobić jeszcze lepiej i spokojniej, gdy zaklepie się wyłączność tematu dla siebie. Potem już wystarczy zakupić miarę krawiecką...

W klubie „Test", gdzie zgodnie z prasowymi anonsami miały się o godzinie 10 rozpocząć wstępne eliminacje w konkursie o tytuł „Miss Ziemi Łódzkiej" jako pierwsi zaczęli szaleć filmowcy. Silna ekipa z oświatówki szybko poszatkowała salę zwojami kabli, zmontowano kamery, potężne reflektory. Jeszcze mikrofony, próba świateł, huknęła na chwilę muzyczka z kolumn głośnikowych. Przygotowania przebiegały sprawnie, jakby wszyscy chcieli udowodnić, że jest to temat ich życia. A może tylko uzasadnić swą obecność na sali?

Pojawiło się także kilku facetów bez kabli, którzy skromnie zajęli miejsca pod ścianami. Za chwilę zaczęła się jednak akcja *„Dokumenty do kontroli, proszę"* i nie wszyscy się ostali. Na razie, zamiast szumnej akredytacji, uzgodnienie z dyrekcją — wystarczało. Zostałem pozostawiony w spokoju, wraz z notesem i regulaminem konkursu. Ten ostatni zaś dość szorstko i obcesowo — w jednych, a wręcz komicznie — w innych punktach określał kogóż to za parę chwil będę mógł podziwiać. Że bezdzietna, Polka, panna w wieku 18—25 lat — to i dobrze, choć osobiście nie mam nic przeciwko rozwódkom czy uroczym, młodym mamom. Ale co oznacza *„brak jakichkolwiek oznak inwalidztwa"*? Czy organizatorzy mieli na myśli również kalectwo umysłowe? A jak kandydatka garnitur zębów ze szklanki wyjmie, to co? Eliminujemy czy nie? Ech, nieprecyzyjne te przepisy szalenie...

Dyskretnie za to bardzo organizatorzy dają do zrozumienia, że niestety, dziewczyny, które w młodym wieku zeszły już z drogi cnoty nie mogą dostąpić konkursowych zaszczytów. Bowiem warunkiem uczestnictwa jest *„sposób bycia i obyczajność, które nie sprawią problemów organizatorom konkursu..."*. Tak, że uwaga dziewczyny: luźno, swobodnie, ale znów ostrym słowem nie rzucać, po stołach nie skakać, a jeśli już zadać się z jurorem, to tak, by *„nie sprawiać problemów"!*

No cóż, regulamin rodzimego konkursu jest — jak się później dowiedziałem — żywcem ściągnięty z regulaminu „Miss World" i stąd te urocze określenia.

Mieszane, warszawsko-łódzkie jury wciąż jeszcze nie zajmuje miejsca za prezydialnym stołem, gdzie znalazły się i kwiaty, i pepsi. Wszyscy gotowi, wyznaczona godzina dawno minęła, pod ścianą przycupnęło kilka dziewczyn.

— Oho, zjawiły się „miski" — rzucił ze śmiechem jeden z elektryków, wywołując natychmiast pierwsze komentarze wśród zdecydowanie męskiej publiczności.

— Stary, a widziałeś tę Julkę, co koło mnie mieszka? — doleciał tekst gdzieś od strony pochylonych nad magnetofonami dźwiękowców z WFO. *— W co byś ją nie ubrał — dziewczyna z najwyższą klasą, a jeszcze lepsze wrażenie przy rozbieraniu. No a zobacz te „papuaski"...* — chichotali na wyścigi.

Faktem jest, że kilka panienek, które speszone przemknęły po chwili do ukrytej za sceną garderoby nie mogło wywołać zachwytów. Przeciętnej urody, może trochę bardziej krzykliwie ubrane — to wszystko.

— No, stary, za żadną z tych bym się na ulicy nie obejrzał — skwitował krótko znajomy radiowiec. Pochylony nad magnetofonem szeptał coś po chwili o zasadach imprezy do „sitka" swego „Uhera".

Jeszcze parę minut musimy poczekać — jurorzy nie zdążyli na czas, z powodu awarii samochodu i ponoć pędzą wynajętą taksówką gdzieś spod Włocławka. Znów „kontrola biletów" Ekipa porządkowa ma pełne ręce roboty z przedstawicielami brzydszej połowy ludzkości, których jak magnes przyciąga dziś do „Testu" wizja dziewczyny w bikini.

Wreszcie są. Krótkie powitanie, próba mikrofonu *(„raz, dwa, czy, cztery..."),* kamery gotowe, wszystkie „halogeny" na scenę — i zaczynamy. Szpakowaty pan w letnim, błękitnym garniturku o wyglądzie podstarzałego pożeracza niewieścich serc prosi wszystkie dziewczyny na estradę. Z głośników leci Jean Michel Jarre ze swą kapitalną sambą, a one wychodzą gęsiego, przerażone, spięte, choć niektóre starają się nadrabiać miną. Konferansjer wita, prawi dusery. Pełna gama: od wystraszonego dziewczęcia w grubych okularach do przeciągającego się wampa — blond, rzucającego wokół powłóczyste spojrzenia. Wpada biegiem spóźnialska. Wskazują jej garderobę, jeszcze zdąży, jeszcze ma szansę...

Z tyłu robi się coraz ciaśniej. Drzwi bynajmniej nie zamknięto na głucho, toteż przybywa dyskretnie panów spragnionych widoku damskich wdzięków, a także pań — zapewne w celach konfrontacyjnych.

Niebieski konferansjer, tokując do zgromadzonych dziewczyn wyraźnie jest w swoim żywiole. Tłumaczy dlaczego jury takie męskie, prosi o permanentny uśmiech, sugeruje jakoby *„szerzej — szczerzej"*. Wieje infantylną grozą, ale cóż — właśnie leci kabarecik...

Zostaje pierwsza piątka dziewczyn na scenie. „1" do mikrofonu. Dowiadujemy się, że na zielonooką blondynkę „przy kości" w czarnej sukience mówią w domu Azor albo Ptyś. I rytualne teksty konferansjera:

— Niech pani w poprzek przejdzie, i spacerek pod muzyczkę, proszę bardzo. Dobrze, teraz proszę stanąć w rozkroku i wykonać szybki obrót wokół osi. Tak, teraz profil; no niech nam pani rozpuści włosy, podgarnie je jedną ręką do góry, o tak i wolno się obróci. I dziękujemy...

I już „2" — Beata, 164 cm wzrostu. I piruet i profil. Siedząca za mną, w mroku właściwa publiczność jest bezwzględna, to nie szarmancki pan w garniturze który pocieszy, ciepłym głosem podeprze, a gdy dziewczę niemal wali się na ziemię w piruecie, wytłumaczy, że to na pewno wina linoleum. Ci z tyłu prychają, dogadują, bezpieczni w ciemnościach zaśmiewają się co chwilę z tanecznych i słownych popisów panienek na scenie.

— Zobacz tę w tych lornetkach, no po co tu dziecko przyszłaś? — leci ciut za głośno, bo aż dźwiękowcy sykają, że im się nagra.

A na scenie przewija się gama numerów, typów i typasów. Basia, 172 cm, włosy — *„tył mój, przód tleniony"*, ale piruety śmiga bez kłopotu. Aha, tańczy w „Harnamie".

— Jest pani jakby weteranką — rzuca zręcznie konferansjer-blue. O, Beatka zupełnie bezkrytyczna: te krzywe nogi. Ewa zdejmuje okulary do piruetu. Spódniczka krótka, więc w trakcie obrotów miga w światłach kawałek pupy.

— No to może jeszcze raz... (prowadzący).

— Ee, może przejść... (szepty z tyłu).

— No niech się pani obróci, lekko, tak jak posąg — (znów pan w błękitach.)

I kolejna piątka na scenę. „Jury" za moimi plecami już zadecydowało: — „11" wchodzi do ćwierćfinałów, „12" i „15" — co najwyżej występ w repasażach. A przerażona „13" w świetle reflektorów gęsto się tłumaczy, że lubi trzynastkę, bo jej szczęście przynosi. Konferansjer czarująco:

— Kto wie, kto wie...

A w głębi damski głos:

PS. Życie lubi figle. Godzinę później czekając na autobus wręcz oniemiałem na widok pięknej wysokiej brunetki stojącej dwa kroki obok. Uśmiechnęła się przyjaźnie po paru minutach byliśmy już znajomymi. Było sympatycznie do momentu gdy opowiadając jej wrażenia z turnieju piękności spytałem czy nie myślała o uczestnictwie. Spojrzała na mnie co najmniej drwiąco:

— Wie pan, mnie wystarczy, że ogląda mnie jeden chłopak. Mój chłopak...